

Inches 1 2 3 4 5 6 7 8
Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

Colour Chart #13

DANES
-PICTA
.COM

Blue

Cyan

Green

Yellow

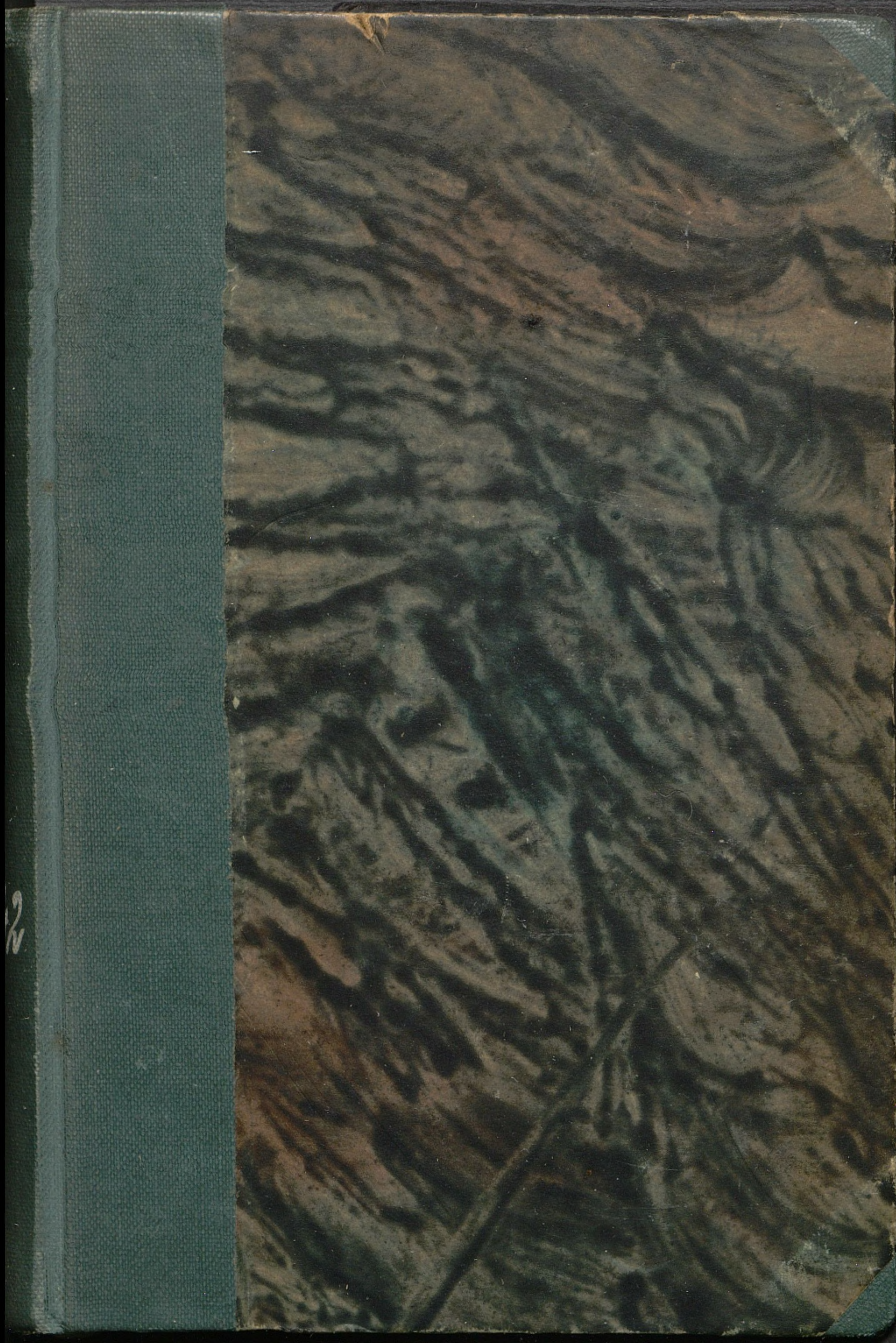
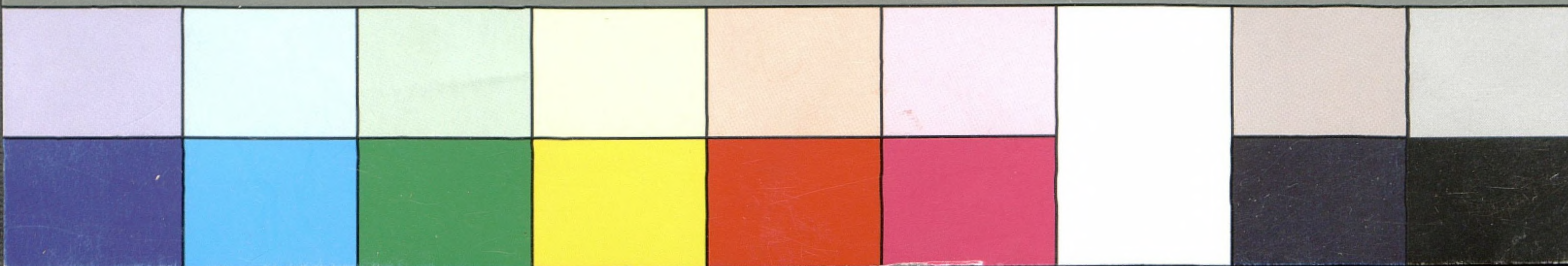
Red

Magenta

White

3/Color

Black



A

1

2

3

4

5

6

M

8

9

10

11

12

13

14

15

B

17

18

19



R



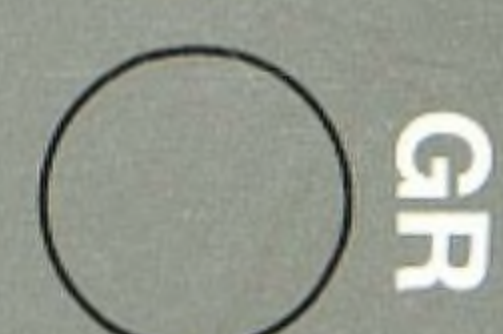
G



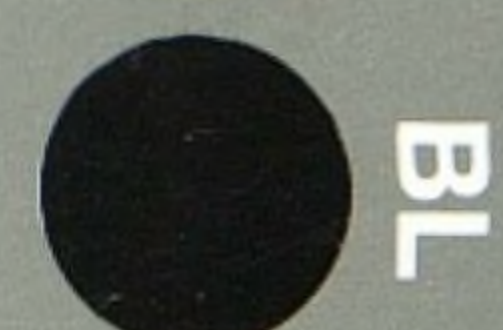
B



WH



GR



BL

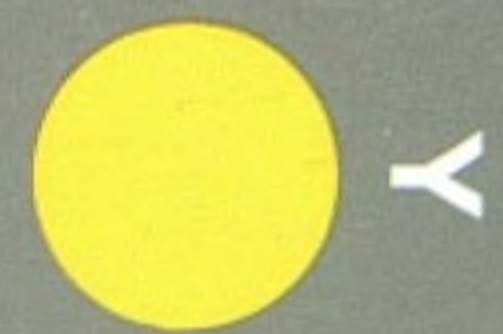
Grey Scale #13



C



M

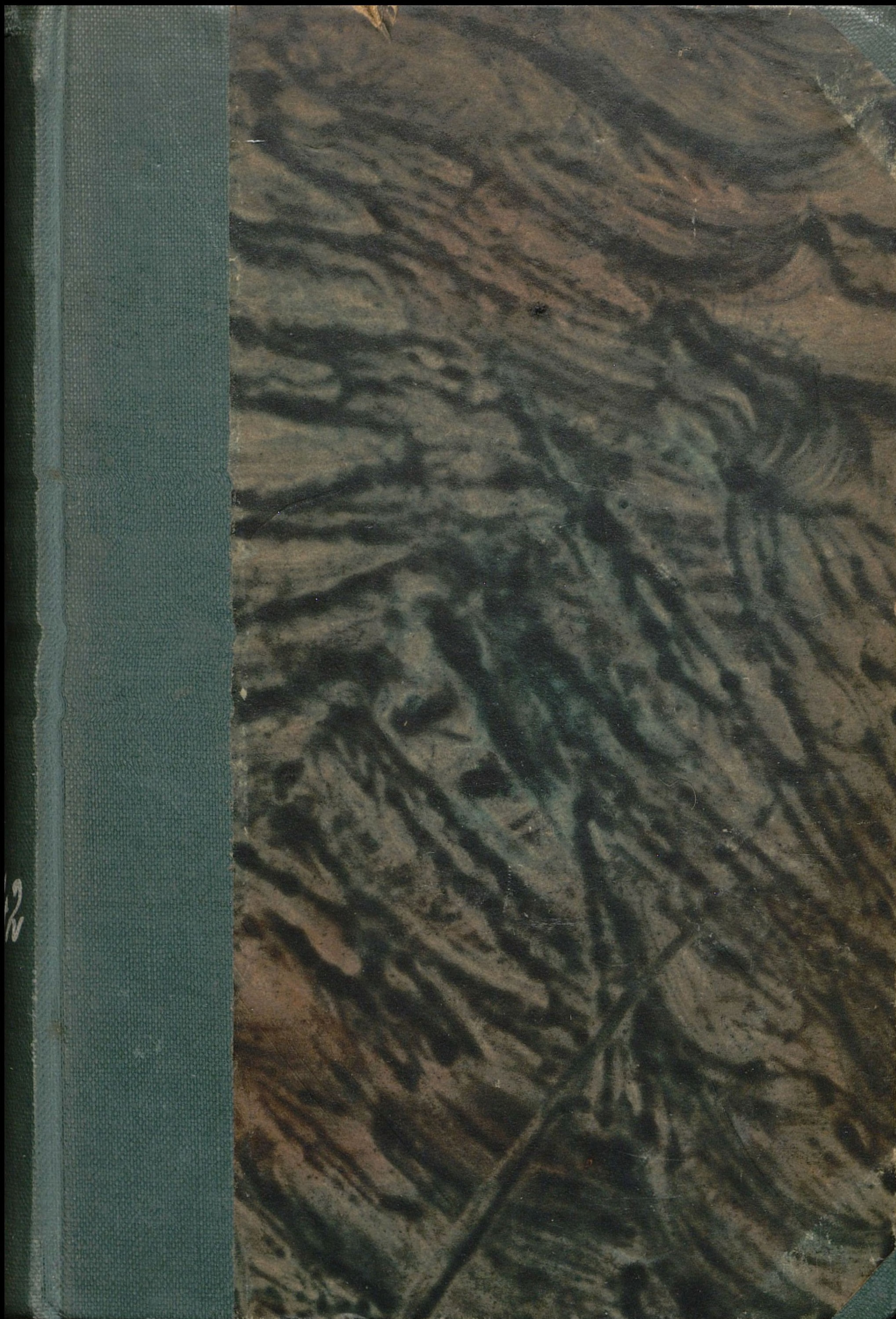


Y



K

DANES
-PICTA
.COM





JERZY SCHWARCENBERG-CZERNY

B E M A K I

GAWĘDY ŻOŁNIERSKIE

BEMAKI

JERZY SCHWARCENBERG-CZERNY

BEMAKI

GAWĘDY ŻOŁNIERSKIE

INST. WYD. »BIBLIOTEKA POLSKA«

884-3

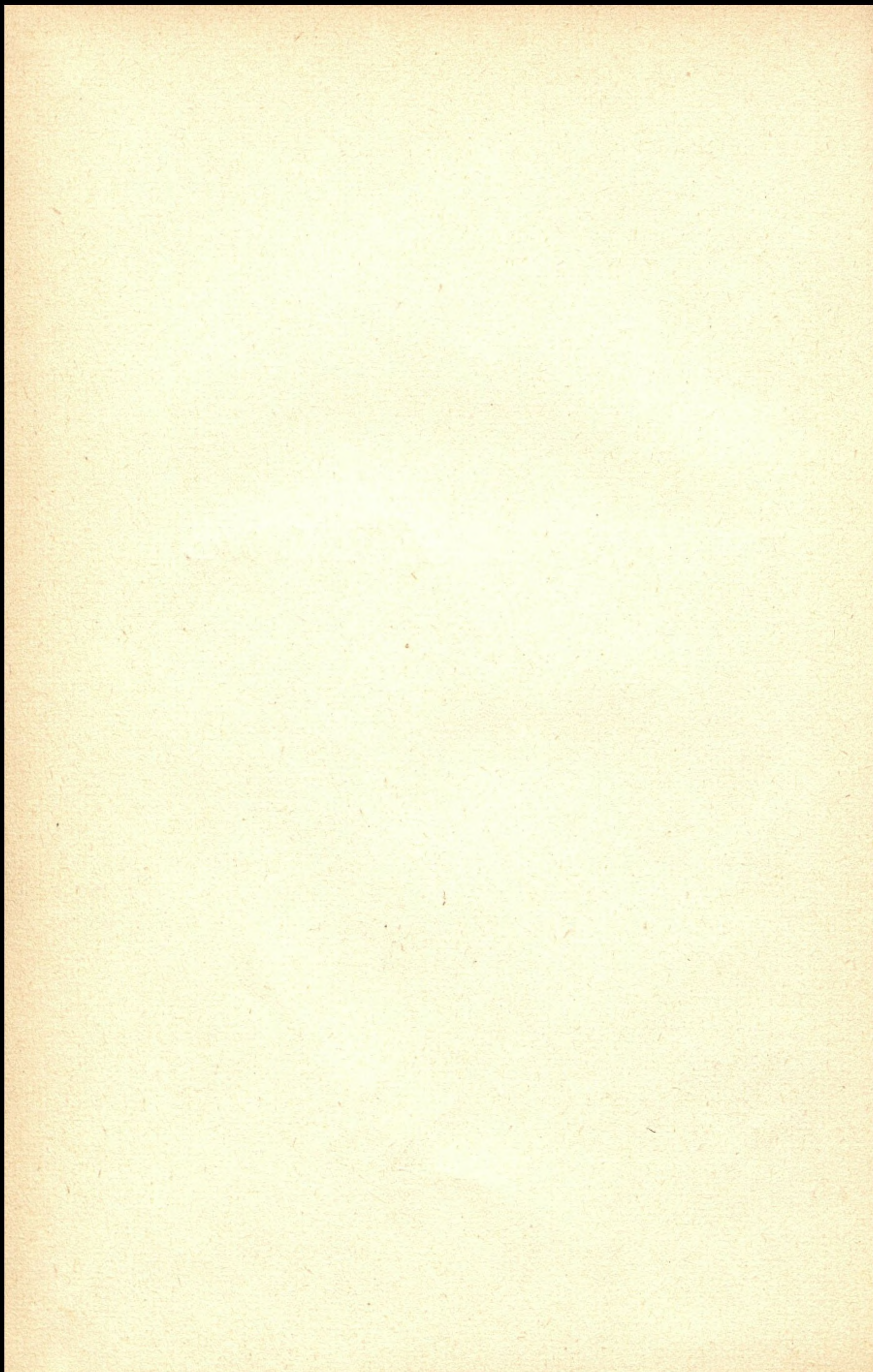
15/1/21

DRUKIEM
ZAKŁADÓW GRAFICZNYCH
„BIBLIOTEKA POLSKA“
W BYDGOSZCZY



I

GAWĘDY LEGIONOWE



OBYWATEL CAP

Jeszcze przed wojną podarował ktoś Związkowi Strzeleckiemu w Krakowie parę koni z wozem; a ktoś kiedyś znów..., lub może jakiś inny trafił się powodem... dość że przy tym pierwszym polskim taboryckim zaprzęgu znalazł się cap.

Całym tym ruchomym mieniem Związku Strzeleckiego opiekował się podeszły już w lata obywatel Tułacz. Tułacz, jak to już z nazwy wynika, świat cały obszedł i nie z jednego pieca chleb jadł, a miał i ten honor, że nosił miano „Pierwszego w Polsce taboryty”. Taki chłop, już 80-kę liczący, zdawało by się, nie będzie zawzięty na byle zwierzątko, a nieprawdopodobieństwem było, by w ciągu całych długich lat żywił urazę do capa. A jednak tak było. Tułacz choć stary, ale jary jeszcze, z humorem lata swoje znosił i lubił wspominać stare czasy, ukazując światu nad miarę szeroką gębę. Ale nie daj Bóg, aby ktoś w takich

chwilach największej wesołości Tułacza, wspomniał capa; gęba scieśniała mu się z szerokiego uśmiechu w wąską, zaciętą szparę, z oczu padały złe błyski, z ust zaś sypał się różaniec perłowych słów...

Rankor widoczny i wiecznie trwały czuł stary Tułacz do capa; dumny był ze swego wychowanka a ten nawet mu się nie opowiedziawszy — po prostu — jeszcze nim pierwsze strzały z bliska usłyszał, zwał „psiapara“ i nikt go już więcej nie widział.

Cap jednak, choć krótko „w szeregach“ leguńskich przebywał, zasłużył sobie na pamięć przemyślnością i nawet „obywatelem Capem“ został nazwany przez aklamację, czym przypieczętowano więzy koleżeństwa.

Bo też obywatel Cap, nie był zwyczajnym capem; do żołnierki i wojaczki pociąg miał, a tylko nieszczęśliwy los zrządził, że zszedł z tej drogi, bo w poprzek jego wojennej ścieżki stanęła dorodna, młoda koza... A było to tak:

Kiedy Obywatel Komendant ogłosił strzelecką mobilizację, do Oleandrów zbiegła się wiara. Zjechali się strzelcy, zjechał ze swoim wozem i ob. Tułacz, a z nim naturalnie cap. Dzisiaj po Oleandrach nazwa jeno została; na miejscu tym wielkie gmachy się wznoszą i gdzieś na Justowskiej Woli, cztery filary z głównego dawnych Oleandrów budynku jeszcze leżą, czekając lepszych czasów... Wtedy zaś na przestronnych placach,

między budynkami Oleandrów było gwarno i rojno, a w tym roju młodych zapaleńców kręcił się ze swobodną paradą cap — zawierając pośpiesznie znajomości... Tak więc pierwsze lody zostały przełamane i cap stał się popularnym, tym bardziej że zapalał wielką przyjaźnią do całej strzeleckiej gromady.

Wreszcie ruszyły strzeleckie kolumny z Oleandrów. Za IV Batalionem ruszył z wozem ob. Tułacz, a z Tułaczem cap. I tu, wśród drogi, zaczęły naszemu capowi *rosnąć rogi*. Capowi najwidoczniej znudziło się taboryckie życie, a może mu ktoś na ten temat szpetnie przygadał, bo od wozu stronił, a do Tułacza meldował się tylko wtedy, gdy „fasung“ owsa koniom wydawał. Jednym słowem nasz cap przeszedł z „Taborów“ do linii, i być może, że gdyby w tych czasach istnieli strojni Beliniacy, pewnie by barwnym mundurem pociągnięty przystał do tej formacji. W tym jednak układzie stosunków i warunków nasz cap przystał „do piechoty“...

Początkowo nasz cap lojalnie się ustosunkował do szarej strzeleckiej gromady i w czwórki się wpychał, będąc najmłodszym rekrutem... *Ale* niedługo to trwało; rekruckie wyszkolenie raz dwa przeszedł, no i mistrzów swych prześcignął, bo ani myślał „kurzeniem“ papierosów się zadawał, ale prymkę „jak stary“ żuł i nawet śliną żółtą nie pluł, tylko ją wraz z prymką łykał. Ta umiejętność widocznie tak go w dumę wzbiła, że

się nad resztę wywyższać zaczął, do czwórki już nie wstępował, tylko na przód się wypychał z obywatelem Wyrwą na czele krocząc... Czasem znów na drodze przystanął, przemaszerowującą kolumnę obserwując, przejeżdżającemu Tułaczowi protekcyjnie łbem kiwnął i na maruderów czekał do pośpiechu rogami naganiając. Widocznie co najmniej — podoficerem został, albo się sam awansował, bo widomego znaku funkcji „zielonego sznurka“ nie nosił... Ale zmyślny był ten obywatel Cap — na szarżach się znał — sitwę tylko z szarżami trzymał, nigdy swych rogów na nich nie stawiał, ani im też nimi groził...

Tak się te sprawy jakoś ułożyły, że bez protestów żadnych ob. Cap funkcję swoją pełnił i zdawało by się, iż już mile tym połechtany na awans czekać będzie, w karierze wojskowej widząc swą przyszłość... Stało się jednak inaczej... a przyczyną tego Chęciny...

Chęciny... już w brzmieniu tej nazwy tkwi coś niesamowitego, nie dlatego, iż stoją tam zwaliska starego kasztelu, w którym mistrz Twardowski z diabłem swe rozprawy prowadził — ale że wszelkie chęci budzić się tam muszą, a dowodem tego choćby nasz cap, który tam właśnie miłosne chęci odczuł i „przyżeniwszy“ się gdzieś do koziego chlewa, zdezerterował z strzeleckich szeregów...

I dziwić się tu ob. Tułaczowi, że taką zawziętą urazę do swego capa w sercu przez długie lata

nosi i złością pamiętliwą siwą głowę zaprzęta... Wiadomo przecież, że gdzie kozy, tam przy nich żydowiny mieszkają, a cap szczodra Tułacza ręką pogardził, na żydowską miotłę przeszedł, ród kozi żydowinom pomnażać się podjął.

Kto tam jednak wie, jak było naprawdę — bo ja skłonny byłbym przypuszczać, że ob. Cap padł ofiarą temperamentu, zapędziwszy się gdzieś między domów opłotki za kozim wampem, przyłapany na gorącym uczynku, został zmuszony do wejścia w związki małżeńskie... I myślę, że właśnie cap czuł do końca życia srogi żal do strzeleckiej braci za to, że go nikt z tej ciężkiej opresji nie wyratował, bo chęci bez względu na to, jak wielkie, nie mogły mu zastąpić żołnierki.

STRACHY ADIUTANCKIE

Alarm ! — Wezwanie, na którego dźwięk porzuca przedmiot swej miłości najczulszy nawet kochanek. Wezwanie, co wstrząsa ciałem niby elektryczny prąd...

Z domów wybiegają żołnierskie postacie — to i owo dopinają w drodze — klną !... Coś dopiąć się nie chce, czegoś brakuje — coś pomykiciło się w rynsztunku...

Spieszą na plac zbiórki... Alarm !...

Alarm ! — Zbiegają się na placu żołnierze z różnych stron. Dopiero był pusty... Najpierw dały się słyszeć odgłosy kroków, potem zjawili się ludzie...

Alarm ! — Pojedyncze postacie tworzą szyki.

Sznur za sznurem, z pochrzęstem rynsztunku, brzękiem manierek wyciągają się szeregi. Padły słowa komendy — szeregi zwinęły się, zgęstniały. Kolumnę stworzyli i poszli... W ciemną noc

deszczową wsiąkła falanga łomocących ludzkich serc... Z dali dobiega jeszcze na plac zgrzyt żwiru rozgniatanego gwoździami butów i chlupot błota roztrząsanego miarowym krokiem piechura.

Poszli. Pochłonęła ich noc, przestrzeń i wielka niewiadoma jutra... Na plac pusty patrzyły wytrzeszczonymi oczyma okna domostw. Rychło jednak przymknęły powieki, zasnęły... Towarzyszył im poszum pościeli, stęk sprężyn i trzask sienników...

Kolumna ludzi, koni i wozów wysuwa się z gardzieli ulicy. Miasto wypływa na zewnątrz przelotne ptaki wojny... Siadły na chwilę gromadą, by spocząć, i wnet uleciały w szeroką przestrzeń...

Drogą na Tarnów idą z Nowego Sącza bataliony I Brygady. Przed chwilą prawie — dzisiaj w pułki złączone bataliony pod nowymi idą walczyć cyframi... Kręta i krwawa droga wojny wiedzie pułk 5 do miana „Zuchowatych“...

Psiakrew ! — Minęła nadzieja świątecznych wagarów... Za każdym krokiem zwiększa się

odległość od miasta... coraz większa przestrzeń dzieli od iskrzących ocząt dziewczęcych...

Psiakrew ! — Klnie kolumna ciągnąc wśród nocy w nieznane jutro...

Zakliczyn — Mieszna — Pleśna — Łowczówek. Większe lub mniejsze osiedla ludzkie, wzgórza, jary, wąwozy porośnięte liściastym lasem...

Bataliony złączono w pułki — II i IV, przyszedł 5 Legionów, z VI na lewym skrzydle, tworząc grupę operacyjną. Fleszer-Satyr dowódcą, ja adiutantem. Grupa zajmuje stanowiska, po nowym ataku obsadzając wzgórza Pleśny przecięte głębokim parowem, gdzie Pleśna bierze początek.

Sztab pułku doraźnie stwarzanej grupy istniał tylko w projekcie. Telefon był marzeniem; adiutant jak za dobrych napoleońskich czasów spełniał rolę telefonu, z tą tylko różnicą, że do tej czynności dodawał odrobinę własnego mózgu. Na własnych lub końskich nogach przebiegał przestrzenie — krążył wciąż między dowódcą, oddziałami i taborami.

Po nocy przedwigilijnej, tak obfitej w wypadki, zwycięskie ataki, świetne wyprawy patrolów, wstał jasny słoneczny ranek. Tego dnia najpierw leżały cicho naprzeciw siebie walczące linie wojsk. Nieprzyjaciół liczył straty, złatał porwaną sieć dowództw i frontu. Nasi odpoczywali po znoj-

nych godzinach nocy... A adiutant gnał już o świcie do taborów, by dostarczyć zapasu amunicji, zapędzić kucharzy do warzenia strawy.

Wracam od taborów z Mieszny przez las na przełaj, do Łowczówka. Idę sam topiąc stopy w rdzawo-złotych zwałach bukowego liścia, wzrok mój ściga pojedyncze liście i blaszki pomykające przed stopami. Nagle — gdzieś blisko siebie wyczuwam stojącą w poprzek drogi jakąś zaporę... Podnoszę wzrok — zgłupiałem i nie wierzę oczom własnym... Przede mną o kilka kroków z karabinami w ręku stoi siedmiu rosyjskich żołnierzy...

Strach! Mimo woli ręka chwyta za pistolet... trzeba strzelać, dać znać o niebezpieczeństwie... Cóż może kryć parów w głębi lasu? Jakiej siły forpocztą jest tych siedmiu żołnierzy?... Nie tak jednak diabeł straszny, jak go malują. Nieprzyjacielski patrol na widok pistoletu krzyknął: „Nie strelajcie pane!“ i rzucił broń. Wyjawszy zamki i zasadziwszy sztyki na odwrót kazałem wziąć ją jeńcom...

Ha! i adiutanci pułkowi też mogą brać jeńców, ale widać ja pierwszy takiego „czynu“ dokonałem, bo się austriackie trepy napatrzeć nie mogły. Ale co stracha miałem, tom miał, a ten pod Łowczówkiem był pierwszy.

Wróciłem właśnie z dowództwa austriackiej dywizji, gdzie odstawiłem jeńców. Siadam w chacie

naszego dowództwa odpocząć. Fleszer siedzi przy oknie i pisze. Dzień cudny, słoneczny. Nic nie wskazuje na to, by toczyła się jakaś bitwa; linie drzemą jeszcze. Nasza chata stoi na szczycie wzgórza i jest najbliższa nieprzyjaciela z grupy rozsiadłych tu domów. Przed nami nieco niżej sfalowana powierzchnia leśna. W głębi widoczna wieś Pleśna, dalej Tuchór... Z tamtej strony muszą nas widzieć jak na dłoni... Na razie jednak panuje spokój.

W słońcu błysnął dragoński hełm austriackiego rotmistrza, który wszedł do nas, chcąc z bliska poznać legionistów...

Nieprzyjaciół jakby tylko czekał na to. Z błysku hełmu wywnioskował, że w naszej chacie mieści się główne dowództwo, nastawił więc armaty i plunął salwą granatów. Jedna — druga — trzecia wali się to hałaśliwe nieszczęście na naszą cichą i prawie pustą chatę. Granaty ryją wokół ziemię rzucając gradem ziemnych brył, kamieni i żelaza... Trach! palnął granat w chatę i... rozwalił zestawione w kozły karabiny łączników... Trach! trach! zarył się znów pocisk prawie pod podwaliny chaty. Drży zrab cały aż belkowanie tańczy. Jak trafia, z chaty zostanie tylko kupa połamanych bierwion. Trzeba opuścić dom.

Fleszer, dziwny, nieopanowany twór, kłębowisko zszarpanych, zdartych na strzępy nerwów, legł pod gruszą i wije się w nerwowym ataku, który chce zdławić nadludzkim wysiłkiem woli. Stra-

szną tę twarz wykrzywia wściekłość, że nie może opanować cielesnych drgawek... Rotmistrz dragonów nie zniósł tego widoku, spotęgowanego potwornym akompaniamentem wybuchających granatów, zerwał się i z panicznym lękiem na twarzy pomknął przez pole w las...

Nie zniosłem tego i ja... Jakiś potworny lęk ułapił za łeb i gnał mnie w ślady rotmistrza... A rotmistrz dopadł koni stojących w lesie i odjechał galopem... Zostałem sam i przyszło otrzeźwienie, a z nim wstyd i wyrzuty sumienia...

Wróciłem pod gruszę rosnącą przy domu, gdzie Fleszar już opanowawszy swe nerwy siedział oparty o pień, a powrót w to gniazdo ognia był stokroć cięższy niż przebywanie w nim. Lecz trzeba było siedzieć tu. Major Fleszar hartował w ogniu swoje nerwy; chciał przecie, więc musiał być żołnierzem... Musiał przez nakaz woli własnej, przez chęć opanowania niezależnych od siebie odruchów i dlatego był największym bohaterem...

Znów noc. Nadszedł rozkaz z austriackiego dowództwa, by brygada nasza rozpoczęła stopniowo odwrót, zwijając linię od prawego skrzydła. Wiozę rozkazy batalionom naszej grupy znacząc skrawkami dartych papierów drogi odwrotu dla poszczególnych grup.

Pierwszy zwija linię batalion Olszyny Wilczyńskiego, drugi Grudzińskiego. Lewoskrzydłowy Monastarskiego pozostaje na stanowisku zaginając prawe swe skrzydło aż do chwili zupełnego wycofania się brygady.

Rozkazy już wydane. Wracam do dowództwa i tu zastaję rozkaz odwołujący poprzednie zarządzenie. Jadę na pysk w dół, by wstrzymać Olszynę, niestety, spotykam tego już na skraju lasu, powtarzam rozkaz. „Niemożliwe — mówi — kompanie już są tuż, w okopach nieprzyjaciela“...

— „Trudno — mówię, — odwrót wstrzymany — jadę do Grudzińskiego!“

Oślizgłą, gliniastą, stromo spadającą drogą, wyznaczoną na odwrót batalionowi Grudzińskiego jadę z niepokojem w sercu, by zdążyć na czas... Jestem już na dnie jaru, po drodze nie spotkałem nikogo, a więc są jeszcze w okopach. Wiążę konia u drzewa i pnę się na przeciwległy stok jaru — jak najprędzej trzeba z tej strony dać pomoc Olszynie... Jestem już na górze — jeszcze kilka kroków i wskakuję w okop... Pusty... biegnę w prawo — pusty... w lewo — pusty... Na głowie włosy zjeżyły mi się tak, że pewnie czapkę uniosły... Sam — sam, tu daleko już teraz od swoich, tam przy koniu moim w parowie pewnie wróg już czyha... Jedyny jednak ratunek ten koń. Skradam się doń ostrożnie jak urodzony Indianin... jestem wreszcie opodal. Wytrzeszczam oczy, nadsta-

wiam uszu. Cicho. Wypatruję konia — widzę go wreszcie — wyraźnie czerni się jego postać na małej polance. Koń stoi spokojnie, łeb ma opuszczony, drzemie; a więc nikogo obcego nie ma w pobliżu. Dopadam wierzchowca, gorączkowo zrywam wodze z uwięzi i na nic już nie bacząc w panicznym strachu rwę pod górę do swoich. — Ale już dobrze pięłem się w górę, gdy za mną huknęło parę strzałów... Czy do mnie nie wiem — zatrzymałem się dopiero przy biwaku batalionu kpt. Berbeckiego...

Nie osiwiłem wówczas, ale zgubiłem derkę spod siodła. Był to trzeci strach, — rodzony brat tamtych dwóch...

STOWYHOROSZ

I. X. 1915 r.

Rozsiąpiła się jesienna plucha. Deszcz nieustanną mgławą chmurą moczy świat dookoła. Wciska się ta obmierzła mraka popod żołnierskie płaszcze, wiatrem podszyte, cieknie z czapek za kołnierze, syczy obleśnie w szwach butów...

Drogą wołyńską, błotnistą, miękką sunie wśród nocy kolumna wojska i klnie... To I Batalion 5 pp. Leg. wyciągnięty z zacisznych kwater dąży marszem pospiesznym na pomoc Austriakom. Klnie, bo taki jest żołnierski zwyczaj, pora i aura odpowiednia; jakąż rozkoszą jest leże w suchej chacie w taki czas; i „sprzymierzeniec“ nie wart wiele: co najmniej niedojda, któremu zawsze trzeba pomagać i to właśnie wtedy, gdy powinno by się wypocząć... Nic dziwnego więc, że parszywą wydaje się dola żołnierska i każdy uczciwy żołnierz kląć musi; tak trzeba i basta.

Idą. Chlupie pod nogami błoto, rozjeżdżone kołami wojennych wozów. Zadudniła pod tupo-

tem nóg mostwina i kolumna wkroczyła w miejską ulicę...

Miejska ulica. Miasto. Pożal się Boże, miasto ! I to sławne, wielokroć w komunikatach wojennych wymieniane, miasto Kołki... Gdyby nie to, że jednak miejscowość ta szumną a dumną nazwę miasta nosiła, nikt by tym mianem zwać się jej nie odważył. Tym bardziej nie nazwano by tego wsią.. Bo przecie jest to po prostu dziura odrapana, brudna, gdzie żyje gromada brodatych kóz, a przy niej brodaty zastęp synów Izraela...

W „ulicę“ tego „miasta“ weszła kolumna; gdzieniegdzie tylko — blask pałający z oświetlonych okienek — znaczy jasną taflę kałuży; reszta bajor, zasiedziały w brukowych miskach czai się zdradziecko wśród gęstwy nóg... Przekleństwa sypią się tym obficie. Żołnierz jest wyraźnie zły — bo psiakrew — co za miasto.

Tuż do wylotów „miejskich ulic“ przypiera puszcza. Kolumna wsiąka w nią, niknie w leśnym gąszczu i mrokach. Wreszcie postój. Na mokrej ściółce leśnej, pod grubo-kroplistym opadem dżdżu z liści drzew rozkłada się przemokła kolumna. Taki miły kemping w rezerwie korpusu...

Dnieje. Wstające słońce rozjaśnia świat. Zwolna, — im bardziej się rozwidnia — niebo przeciera się z nawisów chmur...

Już dzień. Słońce szpadami ostrych jaskrawych promieni przeszywa gąszcze kniei, lśni łzawy obwis deszczowych kropli tysiącem światła na rdzawych

blaszkach liści... Jak na pociechę wstał dzień jasny, słoneczny. Tylko w dole, pod okapem koron, kłębi się jeszcze mgła z parującej w promieniach słońca, uśpionej kolumny...

Pobudka ! — Wstawać !

Nie tylko w piosence, lecz i na jawie nikt: „Z wygodnej pościeli nie dźwiga się rad...” A pościel każda, choćby tak mokra, jak ta w puszczy wołyńskiej, jakże jest wygodna... Trudno jest opuścić wygrzane ciepłem własnego ciała puszczańskie barłogi, zerwać się i iść... Ale mus woła, więc „auf“...

Idziemy dalej, na kwatery...

Nocne, dzikiemu zwierzowi wydarte leża, zamieniono na ludzkie osiedla wkopane w ziemię... Nawet luksus daje się tu odczuć...

Początkowa krzątanina, zwykła przy objęciu nowego stanowiska, ustaje jednak rychło. Następuje drugi etap snu; przerywają go, jakże miłe dla ucha wezwania: „Kawa“ ! — „Zupa“ ! — O ! w chwilach takich oko błyska weselem, ruchy stają się różne... Jakżeś miła w czasach wojny godzino obiadu !...

Mija dzień. Mrok zwolna otula ziemię. Rozbłyska coraz więcej obozowych ognisk otoczonych wiankiem ciemnych sylwetek, rośnie gwar rozmów i piosenek. Zwykły odgłos wieczornego „asamblu“... Wre w kociołkach kawa przemysłowością zdobyta. Jakże różnie tę czynność wykonać można. „Frajer“ lub głupi gotuje konserwową kawę

na łapu capu; natomiast znawca, oblatany człek, wie, że smak kawy warzonej z konserwowej kostki, wzmaga się przy długim jej gotowaniu i pilnym zbieraniu szumu. Gotowanie obozowej kawy — przeistacza się w misterium... Oto jakiś wyga milczkiem, w skupieniu, jakby nabożeństwo celebrował, zbiera szum z okiem utkwionym w kłębiący się war...

Wreszcie kawa gotowa — odstawiono z ognia kociołek. Kawa ustać się musi — pomaga do tego wpuszczenie kilku kropel zimnej wody. Następuje chwila odprężenia... Dokoła ogniska wybucha nagle gwar, komplementa sypią się w stronę uważnego, pilnego celebranta... Podział nektaru, znów chwila pełnej namaszczenia ciszy i nowy wybuch salonowej konwersacji przerywanej rozgłośnym siorbaniem trunku. War parzy nigdy niewyparzone pyski. Sypią się tłuste słowa anegdot i conceptów... „Asambl“ wieczorny w pełni...

W tę błogą nocną godzinę wdziera się nagle zgrzyt: Alarm! Paskudne słowo, zawsze nie na czasie... Zawsze bowiem psuje jakąś zabawę, zrywa chwilę miłej sjesty, lub zgoła brutalnie wyrzuca z leży...

Więc znowu marsz. Marsz w ciemnościach bez możliwości obserwowania drogi, wybijany stukotem nóg utykających na wrosłych w drogę korzeniach, lub potknięciami na drewnianej mostowinie rzuconej przez błotną topiel.

Polanka. Kilka chat majaczy na gołoborzu; to siedziba dowódcy dywizji kawalerii austriackiej.

Nie czują się zbyt pewnie, więc wezwali pomocy. Na razie więc rezerwa. „Kempingujemy“ na polance ale już z całym komfortem. W szopach jest siano, na dworze pogoda, stożki namiotów w szereg wyciągnięte okryły zachodnią część polany.

Na leśnej polanie wokół leśniczówki Stowyhorosz zaległa cisza. Sen utulił pyską gromadę wojów...

Nagle ciszę nocy przerywa trzask karabinowej palby i wrzask setek gardzieli: uraaa !

Uraa ! — Uraaa ! — rozlega się na polanie tryumfalną nutą. Wdziera się w szopy i namioty wraz z interpunkcją świstu kul...

Tutaj już zbyteczne okrzykanie alarmu. Nieprzyjaciel wdarł się na wschodni skraj polany. W mroku błyskają smużki ognia wytryskające z końców luf... Żołnierska gromada zerwana ze snu, pod gradem kul, w szalonym pośpiechu nakłada mundury i części rynsztunku. Gdzie buty, psiakrew ! Plączą się sznurowadła. Portek już nie czas kłaść. Tylko pas, ładownice, karabin... Prędko — prędko ! Bo już kapitan Sław-Zwierzyński wrócił z dowództwa dywizji i nagli do zbiórki.

Nieprzyjaciel zaatakował znienacka pozycje austriackich ułanów, wdarł się w nie i prze zwycięsko naprzód... Nie trzeba objaśnień, sytuacja widoczna jak na dłoni... Czy chcesz, czy nie — musisz iść do kontrataku; jedyna droga w tył przez bagna, zatarasowana cofającymi się śpiesznie wozami...

Sław głośno wydaje rozkazy:

— Do kontrataku! Kompania trzecia czoło, czwarta schodem na prawo, pierwsza i druga schodami na lewo. Kierunek wzdłuż drogi północny wschód.

W gęste tyraliery uszykowały się kompanie i wparły się w las świecąc białą gaci, nieokrytych sukniem portek... Naprzód! —

Jeden mizerny batalion, drobna garstka, niepełna 400 bagnatów staje przeciw nawale wroga idącego w rozpędzie, wroga, upojonego zwycięstwem. To już koniec. — Trzeba jednak zginąć z honorem.

Walimy w las, byle prędzej. Zewrzeć się i skończyć z tym wszystkim. Kostek Aleksandrowicz dowódca 3 kompanii nastroszył sumiasty, konopny wąs i rzuca mi w ucho ponury prognozyk: „Przepadło...” Ale dla dodania sobie i ludziom ducha, oderwania się od ponurych przeczuć intonuje pieśń; podchwytuje ją reszta kompanii. Pieśń stara furmańska, jakby specjalnie ułożona do tak dramatycznej sytuacji... Wkrótce rozbrzmiewa nią cała puszcza:

Czy to z góry czy pod górę
zawsze ciągną cztery szkapy,
a która ma zły charakter,
to ją batem — wio — przez kark!

Hej wio! wiśta - wio - hetta wiśta - wiśta wio!
hej wio! wiśta - wio - hetta wiśta - wiśta wio!

Końcowego „prrry“ nie zdołała kompania dośpiewać, bo w gąszczu, nos w nos natknęła się na zbitą gromadę nieprzyjaciół...

Huknęły strzały, blisko, bliziotko, prosto w pysk. — Zaraz po pierwszej salwie padł Kostek Aleksandrowicz i z ziemi krzyczy do mnie:

— Czerny obejmuj komendę! Nosze! Nosze! Nie chcę niewoli!

Sytuacja jest beznadziejna. Nieprzyjaciół przygotowuje się do ostatecznego ataku, zbija się w grupy szturmowe... Już, już ma ryknąć ponure u r a a a, gdy wpada mi myśl szczęśliwa, żadnym systemem walki nie przewidziana:

— Padnij! strzelać!

Parę szczęśliwie w tym miejscu leżących wykro-
tów ratuje sytuację. Nieprzyjaciela dezorientuje brak widocznego przeciwnika, a strzały nasze miotane z bliska w gromady chybić nie mogą. Zwija się, skręca linia nieprzyjacielskich grup szturmowych. Rażeni nieustannym ogniem tak, jak stoją w skupiskach, padają w trawy, by chyłkiem w tył pełznąć. Teraz my górą! Inicjatywa ujęta w nasze ręce każe przeć w przód. — Zwarły się szeregi w walce na kolby, bagnety. — My z góry waląc, na wyprostowanych stojąc nogach, oni słabo ciosy parując z leżącej pozycji...

„Pardon!“ — „Pardon!“ — rozlega się w borze. Rzucanie broni jeszcze wymowniej to głosi... Za cofającymi się niedobitkami trwa pogoń... Szaleje w tłumie, walczy z wściekłością rozbija-

jąc kolbą głowy w czerepy Duda Wincenty, były czeladnik rzeźnicki z Przemyśla. Wali zapamiętane, aż kres rzezi kładzie kula zbłąkana, waląca z nóg Dudę, starszego strzelca Pierwszej Brygady...

— Stać! Okopać się!

Wstrzymałem rozbieganą w pościgu trzecią kompanię, bo tam na prawo za moim skrzydłem płaczą się jeszcze grupy rosyjskich żołnierzy. I czwarta kompania ze Stykiem Stachiewiczem nie nadążyła rozmachowi trzeciej. Świętoniowski, komendant prawoskrzydłowego plutonu, daremnie szuka łączności... Wśród nas znajduje się grupa kilkudziesięciu jeńców — nie daj Boże, aby się spostrzegli w sytuacji i zorientowali w naszej sile. Zdławia nas przecie... Na lewo trochę lepiej. Wprawdzie i tu łączność z drugą kompanią zerwana, ale lewe skrzydło kompanii przypiera do wielkiej, trawą zarosłej polany dającej widok szeroki. Gdzieś tam właśnie słysząc odgłos walki przy stanowiskach zabranych Austriakom armat. Zapewne odbijają je teraz kompanie pierwsza i druga pod Narbutem Łuczyńskim i Hejecem.

Ciężką sytuację wysuniętej głęboko w przód 3 kompanii ratuje dobiegająca w tej chwili tyraliera i pułku ułanów austriackich z pułkownikiem Łosiem na czele. Ta pomoc przyszła w samą porę, wzmocniła nasze szeregi uszczuplone stratami i konwojowaniem jeńców. Naszych rannych już jeńcy ponieśli. Kostek-Aleksandrowicz, choć

ciężko ranny, z noszy swoich pistoletem zaganiał gromadę jeńców.

Wreszcie oczyściliśmy przedpole i flanki — w przód ruszyły patrole. Bitwa zakończyła się naszym zwycięstwem. Odbiliśmy ogółem 8 armat, 9 karabinów maszynowych i wzięliśmy przeszło 500 jeńców, choć walczące przeciw nam oddziały rosyjskie, stanowiły wyborowe pułki Syberyjskiej Brygady Strzelców, tak zwanej: „Żelaznej Brygady“.

Tylko w wołyńskiej puszczy wzniosły się znów wzgórki mogilne. A w trzy lata później urosła na cmentarzu krakowskim bratnia mogiła: kapitana Kostka-Aleksandrowicza. Zmarł od tej rany otrzymanej pod Stowyhoroszem po trzech latach konania na szpitalnym łóżu.

MIĘDZY STYREM A STOCHODEM WRE CZTERODNIOWY BÓJ

Różne były „fasony” wśród „Zuchowatych”. Zasadniczo ogólny „fason” pułku był rubaszny, pełen temperamentu, zadzierzysty, jak życie żołnierskie bez jutra. Cieszyli się „Zuchowaci” sławą bitnego i pełnego humoru żołnierza. Śpiewali „Zuchowaci” sami o sobie, śpiewali o nich inni. Oto gazeta okopowa „Konferencja pokojowa”, organ bratniego i p. p. brygady, zamieściła o „Zuchowatych” wesoły czterowiersz:

Bez gaci kudłaci,
w gaciach zuchowaci !
Nikt na tym nie traci,
Kto ma takich braci !

Ukazał się on z racji bitwy pod Stowyhoroszem, w której większość legionistów walczyła dosłownie w gaciach. Spodnie zdarły się na nic, a świeżo otrzymany „fasunek” mundurowy składał się tylko z kompletów jaegerowskiej bielizny.

Wiara nie przejmując się zbytnio sytuacją, wdzie-
wała na siebie obcisłe, ciepłe, jaegerowskie gacie
i paradowała w nich niczym w gwardyjskich
spodniach. Nikt nie myślał nawet okrywać nie-
skazitelnej bieli tych osobliwych spodni złachma-
nionymi, zdartymi na strzępy mundurowymi port-
kami.

W tych to „gwardyjskich portkach” szli „Zu-
chowaci” do ataku jak na bal.

Myślę, że gdyby któremuś z żołnierzy 5 p. leg.
wypadło wejść wprost z tych poleskich bezdroży
właśnie w takich białych spodniach do salonu,
nie zawahałby się ani chwili. Wszedłby z tą
samą butną i niefrasobliwą miną, z jaką prome-
nował po okopowych rowach.

Te spodnie jaegerowskie, to paradowanie w nich,
było jednym z przejawów pułkowego „fasonu”.

Były także inne przejawy „fasonu”. Tak na
przykład w czasie walk na Wołyniu i Polesiu,
walk ruchomych, do specjalnego fasonu nale-
żało, ażeby oficer szedł do ataku bez broni, a tylko
z nahajem, którym prał nieprzyjaciół po łbach.

Były też arcywesole przejawy. Każda zabawa,
bez względu na osobę i godność gospodarza, który
ją urządzał, musiała się kończyć „demolowa-
niem” lokalu.

Kiedy padało hasło „demolować” ! — wówczas
wśród najlepszej zabawy, nawet najmniej przy-
tomny opój, odstawiał niesioną do ust czarękę
i poczynął działać.

Jak takie „demolowanie“ wyglądało, niech świadczy o tym święcone u Beliny. Na uroczystość tę przyjechało pięciu delegatów 5 p. p. leg.

Gdy już różni mówcy wyczerpali tematy swych oracyj, powstał delegat piątaków i barwną swą mowę w zupełnie niespodziewanym punkcie zakończył okrzykiem „Demolować“.

Posłuszna rozkazowi delegacja „Zuchowatych“ ruszyła z miejsca do czynu.

Na pierwszy ogień poszły zapasy, które przez drzwi i okna rozdano żołnierzom. Potem przyszła kolej na inne rzeczy, a skończyło się wszystko na rozebraniu całej chaty gościnnego gospodarza i złożeniu wszystkich belek, desek, krokwi, ram okiennych i drzwi na jeden stos.

Humor był przy tym taki, że porwał do czynu gospodarzy, którzy pomagali w demolowaniu, zachęcając się wzajemnie do działania.

Były jeszcze inne wymogi pułkowego fasonu. Każdy oficer wracający z urlopu, winien był całą drogę z „zadupia“ na front odbyć w nowiuteńkim mundurze i wejść do okopów w wytwornych szatach, takich, jakie noszono tam, dokąd dolatywał oddalony tylko huk dział i karabinów.

Hołdując wszystkim nakazom pułkowego fasonu zjawiłem się i ja, wracając z urlopu w dniu 3 lipca 1916 roku na Polskiej Górze w nowiuteńkim mundurze, uszytym w pracowni sławnego naonczas krakowskiego krawca wojskowego, Teufla.

Miałem błękitną bluzę z błyszczącymi guzikami o kołnierzu ozdobnym wężykami wykonanymi ręcznym haftem. Miałem czarne spodnie z czerwonymi wypustkami, srebrne rapcie u szabli, srebrny temblak i... lakiery (!!!).

Fason był... Fason najoczywistszy... niezrównane zestawienie elegancji z okopową latryną...

Pan Teufel z Krakowa odniósł triumf na całej linii. A był ten triumf tak wielki, że dzieło jego, zresztą jak wszystko co wielkie, minęło bardzo szybko. Już dnia następnego musiałem pożegnać się z pięknym mundurem i to na zawsze. Powodzenie tego pozafrontowego kostiumu było tak wielkie, że każdy chciał go dotknąć. Macano z przodu, z tyłu, i wyżej i niżej.

Mam wrażenie, że żadna kobieta, jeszcze nie cieszyła się takim powodzeniem...

Ten mundur przypominał ludziom, że poza ich plecami jest świat inny, gdzie nie świszczą kule, nie pękają granaty, nie ma wszy, nie ma brudu, nie ma straszliwej żołnierskiej poniewierki.

Wieczór przeszedł na pogawędce z towarzyszami broni. Splatały się wieści z kraju z wieściami okopowymi. Różaniec wrażeń, przeżyć i wypadków nizano na jedną nitkę.

W ziemny, okopowy schron wojenny wkradł się błysk salonu... Twarde, znojne życie kretów ziemnych ćmił blask... moich lakierów...

Na froncie wypadki biegną szybko po sobie.

Wczoraj, przedwczoraj i przed dwoma jeszcze dniami schwytano jeńców... Inni przyszli się sami poddać.

Wszyscy przynosili te same wieści. Mówili, że lada dzień rozpęta się burza.

Na nasz odcinek wróg przygotował generalny atak. Dziś było jeszcze nasze, a jutro — kto wie... ?

Wstał taki szary, jak zawsze, dzień. Letni, ciepły dzień. Niebo rozpogodziło się rychło i wisiało nad nami jak błękitny namiot. Zdawało się, że nic nie zmąci pogody tego dnia.

A jednak musiało się coś dziać niezwykłego naprzeciw nas, coś, co dyżurnemu kazało mnie obudzić.

Była godzina 4 rano. Spojrzałem zaspanym wzrokiem przed siebie w stronę nieprzyjacielskich okopów, ponad którymi płynęły wolno bagienne opary. Pod błękitem nieba majaczyły długie sylwety balonów.

A więc to dziś ! Dziś walna rozprawa... ? Obserwacyjne balony, te oczy armii dają nieomylny znak.

Dzisiaj !!!

Okopy na Polskiej Górze obsadził I baon 5 p. p. „Zuchowatych“.

Pozycje nasze ze względu na ukształtowanie się terenu, były dla nas ze wszech miar niedogodne.

Ściśle byliśmy związani z prawym sąsiadem, zajmującym najwyższe wzniesienie góry zwane „Madiarenstützpunkt”. Obrona naszych stanowisk była zależna od obcych sąsiadów, w dodatku takich sąsiadów, których nie byliśmy pewni.

„Reduta Madiarska” wznosiła się wysoko ponad naszymi pozycjami, górując nad nami w terenie blisko 10 m. Mamy przed sobą liczne „martwe pola”, osiągalne ogniem tylko z pozycji węgierskich.

Nasz batalion zajmował odcinek 3 km długi. Na lewym skrzydle linia okopów załamywała się nad bagnistą łąką niemal pod kątem prostym. Prawe skrzydło przytykało do siodełkowatego zagłębienia góry, gdzie znajdował się cmentarz wsi Kostiuchnówka.

Druty kolczaste jak pajęczyna zasnuły krzyże cmentarne.

Na lewo, poza bagnistą łąką, na grzędzie biegnącej prostopadle do frontu, siadły dwie wrogie reduty: „Reduta Piłsudskiego”, obsadzona przez plutony 5 batalionu (III. 5 p. p.) i naprzeciw niej, w odległości około 40 kroków, rosyjskie „Orle gniazdo”.

Między nami i bratnimi batalionami brygady bagno... Za nami bagno, przez które rzucono dwa mostki, łączące nas z komendą pułku i rezerwą. Mostki te stały pod flankowym ogniem nieprzyjaciela, skrytego w „Orlim gnieździe”.

Na prawo silna reduta, obsadzona przez żołnierzy austriackiego „Landszturmu“.

Jeżeli „landszturmiści“ puszcza — jeżeli nie wytrzymają naporu — los nasz będzie przesądzony.

Podnoszę wzrok pełen troski ku reducie...

Pozycja nasza rozpada się na poszczególne części ugrupowane w głąb.

Pierwsza linia wysuniętych w przód placówek miała za zadanie zmuszenie nieprzyjaciela do rozwinięcia się na dalszym przedpolu i osłonięcie głównych sił przed niespodziewanymi dywersjami patroli, oraz utrudnienie nieprzyjacielowi przedwczesnego zorientowania się w przebiegu głównej linii okopów.

Drugim członem pozycji była główna linia obronna, zaopatrzona w schrony, „lisie jamy“ i mieszkalne ziemianki.

Trzecim wreszcie członem pozycji był podwójny rząd okopów rezerwowych, połączonych z główną linią szeregiem okopów ryglowych. — Okopy te miały dać opór nieprzyjacielowi, gdyby wdarł się on do okopów przedniej, głównej linii.

Wszystkie linie rezerwowe miały własne ochronne zasieki druciane oraz schrony przeciwgranatowe.

Bój wisiał w powietrzu... Dyżurne sekcje rozpoczęły przedbitewną krzątanie... Służbowi rozkładali pod strzelnicami ładunki karabinowe, granaty ręczne, oraz wszelki rynsztunek wojenny. Niedługo bitwa. — Placówka wysunięta wprzód,

trwa na miejscu, obserwując pilnie ruchy nieprzyjaciela... Atmosfera napiętego oczekiwania... Nerwy grają...

Zaczęło się to o godzinie szóstej rano. Do okopów przybył obserwator artyleryjski z pruskiej baterii.

Siedzieliśmy właśnie przy śniadaniu, częstując posiłkiem pruskiego artylerzystę...

Zrazu plunęły ogniem i żelazem lżejsze działa... Szukały drogi dla cięższych pocisków.

Niewiele jeszcze dział biło. To tu, to tam padł granat lub rozprysnął się w powietrzu szrapnel. — Głupstwo...

Stopniowo coraz to nowe, coraz to cięższe, poczęły padać pociski. — Stopniowo, lecz stale wzmagало się nasilenie ognia, bijącego w nasze okopy.

Wróg nabrał pewności strzału!

Crescendo piekielnego chóru rosło, aż huk wybuchów zlał się w jeden stały przeciągły grzmot, przerywany tylko na ułamek sekundy.

W tych krótkich, jak mgnienie oka przerwach, słyszeć było jęk, świst, turkot, zgrzyt, warkot i trzask — przejmujący jazgot żelaznych drzazg prujących powietrze.

Przeciągły, pełen grozy śpiew śmierci...

Trrach ! — Błysk, huk, kurzawa rzuconego piachu wpada w rozbite okno ziemianki, przysłania na moment widok. — Zaledwie zrzędniała nieco, już idzie druga fala...

Granat urwał róg ziemianki, sypnął piachem w pudełka konserw i obsypał nim skiby pokrajanego chleba.

Przerwano śniadanie...

Trzeba opuścić przytulny „home“ i pchać się w wąskie, mroczne czeluście „lisich jam“,

Wąski, pochyły chodnik wiedzie do okopów pod ziemią, by po dojściu na kilkumetrową głębokość, wąskim korytarzem przebiec wzdłuż okopów i wybiec na wierzch pochyłą sztolnią.

Sześć metrów pod ziemią... Tam w górze świeci jasne słońce i ziemię pali upał letniego dnia. Tu ciemność i chłód grobu.

Na górze bezustanny zgiełk, bezustanna krzątania pracowitych, szukających żeru pocisków... Grzmot wybuchów, jazgot rozprysniętych czerepów żelaznych, kłębowisko ziemi wyrzucanej wybuchami w górę.

Tu grobowy spokój, leżących w bezruchu żołnierskich ciał. Cichy szept rozmów i szelest osypującego się bezustannie piasku, przeciekającego strumykami przez szpary pułapu...

Cicho tu w „lisich jamach“... Z zewnątrz dola tuje stłumiony huk. Szparami w pułapie płyną bezustannie strumienie piasku, spadając na głowy, ręce, piersi... Te drobne strumyki piaszczystych

ziarenek świadczą o tym, że tam w górze w okop biją pociski, jak pracowite młoty kowali.

Mówią jeszcze o czymś... Mówią, że gdy pocisk zawali wejścia do jamy, pogrzebie nas żywcem...

Jęczy powietrze, darte na strzępy, kłębi się chmura pyłu, stęka kaleczona granatami ziemia...

Złożone przed wiekami, przed wielu, wielu tysiącami lat żółte ziarna piasku, rwie brutalna siła i przesypuje z miejsca na miejsce.

A przez tumany piasku przez żółtą brudną kurzawę, patrzy na ziemię złofę zazwyczaj słońce... jakimś rudym, złym spojrzeniem.

Przez dwanaście godzin szedł na pozycje huraganowy ogień. Przez pół doby były bez przerwy baterie ciężkich dział.

Dwanaście godzin huk, trzasku, wycia, świstów, furkotu, jęków i tumanów szaro-żółtego pyłu.

Dwanaście godzin szalonego pochodu śmierci, szukającej żeru omackiem wśród dzikich błot i piachów Polesia.

Moja kompania (trzecia) zajęła stanowisko na prawym skrzydle, tuż przy podnóżu ufortyfikowanego kopca, pozostającego w rękach węgierskiego „Landsturmu“.

Dzieli nas od Węgrów przestrzeń zadrutowanego cmentarza i stromego zbocza kopca, umocnionego na szczycie betonowymi schronami, kryjącymi szybkostrzelną armatę i dwa karabiny maszynowe.

Miotacz min i baterię karabinów, wyrzucających granaty, umieszczono za lewym skrzydłem kompanii. Mają one razić nieprzyjaciela, kryjącego się na martwych polach frontu.

Na lewo ode mnie zajęła pozycję kompania czwarta pod dowództwem por. Styka-Stachiewicza wzmocniona dwoma karabinami maszynowymi, ukrytymi w schronie betonowym a kierowanymi przez ppor. Wrońskiego.

Dalej rozciągnęła się kompania pierwsza pod dowództwem por. Narbut-Łuczyńskiego. I wreszcie dalej, na lewym skrzydle, kompania druga pod dowództwem por. Hajeca. Prawie na styku między kompanią pierwszą i drugą, w betonowym schronie ustawiono dwie szybkostrzelne karta-czownice. Schron zbudowano na dość znacznym pagórkowatym wydęciu terenu.

Przed okopami ciągnęło się uprawne, zasiane żytem pole, a nieco dalej sady znaczyły miejsce, gdzie przed rokiem była wieś Kostiuchnówka...

Na jednym z drzew bocianie gniazdo... Para boćków tu, wśród kośby śmierci, wiodła wesoły żywot oddana tylko trosce utrzymania przy życiu i wychowania młodego pokolenia.

Ironia losu...

W gnieździe zostały trupy młodych bocianiąt... Przyszły żer dla wron, kruków, sów i jastrzębi...

Jest już godzina 6 wieczór. Nie słychać huku wybuchów, tylko powietrze dudni nieustannie.

Dudniąca fala pocisków krok za krokiem sunie w głąb, idąc od wysuniętych ku przodowi redut poprzez główną linię obronną, pnie się na stoki Polskiej Góry. Zsuwa się po przeciwnych jej zboczach, tonie w bagnie, by znów wspiąć się wzwyż i zarzucić ogniem i żelazem „Polski Laszek”.

Dudniąca, upiorna fala ognia...

Za parawanem pyłu, za zasłoną pocisków prze do szturm piechota. Prą tysięczne szeregi wojsk !

Trzy pułki w zwartych kolumnach ! Dwanaście tysięcy bagnietów ! Dwanaście tysięcy przeciwko sześciuset ludziom.

— Ataaak ! Do strzelnic !

Dzwonią alarmowe żelaza zawieszonych szyn... Zaroily się ulice miasta okopów zapyłonymi żołnierskimi postaciami. Wysunęły się ze strzelnic kąśliwe żądła karabinów. Gotują się na odparcie żywej fali zalewu, upartej, konsekwentnej w pochodzie, a przeważającej liczbowo.

Jeden walczy przeciwko dwudziestu.

Na druty prze ciżba ciał. Przednie szeregi napierają na tylne. Idzie fala za falą, naciska i zgniata zaporę. Atakujący rzucają na druty koce i płachty...

Wkrótce pod zwaliskami ciał żywych i martwych nikną zasieki drutów. Patrzą ku nam czerwone

twarze tysiącami par oczu, lśniących dzikim, obłędnym spojrzeniem...

Granatem w tłum czerwonych twarzy! Gradem kul zasypać gorejące żądzą mordy oczy.

Granatem! — Kulą śmiertelną pluć w ciżbę przed siebie!

Wre bój zawzięty o życie, o przyszłość, o honorową śmierć!

Ręce puchną od ciągłego otwierania zamków, rozpalone lufy karabinów parzą dłonie, bolą ramiona bite kopnięciami kolb.

Po zapyłonych, brudnych twarzach płyną strumyki potu, znacząc jasnymi kreskami swój bieg...

Coraz podbiega do mnie ten czy ów rekrut, podając zacięty karabin, który stał się bezużytecznym kawałkiem ciężkiego kija. Rozgrzane igliczne główce przylegają ściśle do karbów komory, a pył wraz z tłustym osadem tworzy zwarte lepiszcze. Biję obcasem po gałkach zamków i radzę:

— Wyczyść komorę wybuchową i zamek...

A wróg napierający jest już w drutach!

„Madiarenstützpunkt“ ciągle milczy upiornie...

— Dziesięciu ludzi na górę! Wyciągnąć drani za uszy! Niech się bronią psiekrwie!

Brak rąk do walki, rąk do posiewu śmierci...

Jeden na dwudziestu!... Nie można stać bezczynnie! Żołnierz walczy sprawnie, z zaparciem, bez nadzoru. Obsługa miotaczy min mdleje z wyczerpania.

Wyskoczyłem na wierzch okopu... Trzeba pracować granatami! Miotać je jak najdalej. Tu na okopie widok lepszy i swobodniejszy zamach... Każdy rzut skuteczny, bo pada w tłum. Każdy wybuch przynosi ulgę, każdy niewypał napawa wściekłością. Bić! Bić! Bić! To jedyna przemożna myśl, która panuje nad duszą. Bić i nieść śmierć!...

Nagle ktoś chwytą mnie za nogę i ciągnie w dół. Staję w chodniku okopu.

To Jagmin-Sadowski, komendant pierwszego plutonu bezceremonialnie przywołuje mnie do porządku.

— Jesteś komendantem kompanii. Musisz wiedzieć wszystko! Patrz tam!

Patrzę w stronę wyciągającej się ręki.

Nieprzyjaciel zajął „Madiarenstützpunkt“... Kopiec reduty oblepiony zwałem leżących tuż przy sobie ciał. Nie ma jeszcze wroga w okopach, czai się pod strzelnicami betonowych schronów.

— Jagmin, bierz dziesięciu, piętnastu ludzi i kontratak od linii rezerwowych okopów! Szybko, prędko! Załoga okopów na prawo zwrot! Strzelać! Kierunek „Madiarenstützpunkt“!

Jagmin rozwinął na naszych tyłach swoich ludzi do ataku. Posłałem mu jeszcze dziesięciu na pomoc, o którą prosił przez ordynansa.

Szczeńciem od drutów sprzed naszego frontu cofnął się nieprzyjaciel. Prawdopodobnie spostrzeżono zajęcie reduty... Doszli do wniosku, że dalszy atak zbyt ciężki.

Dało mi to możliwość zajęcia się wyłącznie odbiciem zajętej reduty. Kontratak skutkuje. Fala Rosjan cofa się za druty.

Widzę sylwety moich ludzi, wspinających się pod górę. Czachowski rozwinął swój trzeci pluton na cmentarzu i ogniem flankowym wspiera Jagmina. Już ludzie Jagmina wskakują do reduty... Po chwili wzdłuż ganków biegnie wiadomość:

— Kompania ósma drugiego baonu kontratakowała na prawo. Są w okopach!

— No, nie tak straszny diabeł, jak go malują i z takich opresyj można się wydostać.

Opróżnienie okopów przez nieprzyjaciela potwierdziła nieprzyjacielska artyleria, biorąc je znowu pod ogień działowy.

Chwila wytchnienia. Idę do dowódcy baonu Sława-Zwierzyńskiego z raportem o przebiegu walki... Proponuję, by zażądał obsadzenia „Madiarenstützpunktu” kompanią drugiego baonu.

Rozmowa trwa dłużej.

Tam na górze Jagmin z naszymi ludźmi... Przed frontem na razie spokój. Można więc posilić się i odpocząć.

Zdołaliśmy uzyskać nowe połączenie telefoniczne z pułkiem.

Pułkownik Berbecki daje szczegółowe zarządzenia odwrotowe... Widocznie nie ma nadziei...

Wracam do kompanii. Powoli zapada zmierzch. Patrzę w górę na redutę Madziarów, upatrując swoich żołnierzy i oczom nie wierzę.

Okopem łącznikowym od wysuniętej ku przodowi redutki-placówki ciągnie spokojnie, nieprzerwanie sznur rosyjskich bagnatów, których charakterystyczne ostrza wysterczają nad okopem.

Przesuwa się ten sznur cienkich ostrzy i niknie w głównym okopie.

— Gdzie Jagmin? Gdzie jego pluton?

Nieprzyjaciel cichcem zajął pozycje węgierskie i nikt o tym nie wie.

Instynktownie patrzę w tył, czy od strony Polskiego Lasku nie dają jakiegoś znaku, z którego można by było poznać, że wiedzą już o tym i chcą przeciwdziałać. Ale spojrzenie moje zatrzymuje się ze zgrozą w tylnych rezerwowych okopach.

Tam, w tych okopach z tyłu czają się czerwone twarze i błyszczący gęsty rząd sztyków.

— Trzecia kompania odwrót! Ganek ryglowy piąty, biegiem!

— Prędzej, prędzej chłopcy! Odciąć im możliwość dalszego pochodu! Prędzej!

Jest już za późno. Długa droga krętymi chodnikami okopów i ganków...

Trzeba wyskoczyć na wierzch i biec na ukos!... Ale już wszystko za późno... Komendant 4 plutonu Kruk, biegnąc górą na czele swych ludzi, wskoczył do ganku, zbiegającego się z okopem tyłowym... Wprost w biegu, tak całkiem z bliska, dostał postrzał w pierś... Widzę, jak z pleców ранnego buchnęła fontanna krwi.

Za późno ! za późno !... Biegnę do ziemianki komendy baonu. Nic tu jeszcze nie wiedzą...

Sław, opierając głowę na rękę, leży na pryczy ziemianki...

— Moskale na tyłach ! — wołam nachylając się nad otworem wejściowym. My się przebijamy !

Moja kompania, chcąc przejść ku swoim poprzez własne zasieki linii rezerwowej, musi wyrąbywać sobie przejście wśród wrogów.

Plączą się nogi w zwojach drutów, ciężko jest biec po wyrwach granatów.

— Naprzód, naprzód ! Ku swoim, na most przez bagno !... Naprzód !

Ale i tu już za późno ! Nieprzyjaciel zajął i obsadził most. Wzdłuż dawnych pozycji od strony węgierskich okopów prze ku nam atak flankowy !

Nie ma już wyjścia... Ludzie zbaranieli... U krańca okopów na lewym skrzydle stanęła żołnierska gromada w bezruchu. Zastygła w dziwnym szaleństwie i w niepojętej determinacji...

— Niech się dzieje co chce, co chce... Żołnierz trwa, patrząc rozgorączkowanymi oczyma na nieprzyjacielską cizbę...

— Do kontrataku ! Naprzód ! — wołają oficerowie. Ale nikt i nic nie może wyrwać z tego dziwnego stanu żołnierzy.

Z okrzykiem „Hurra“ ruszają oficerowie naprzód.

Wiedzie ich rozpacz, prowadzi ich polskie junackie szaleństwo. Na pewną śmierć...

Idziemy do kontrataku... Cienka linia 13 oficerów zbrojnych tylko w pistolety... Cienka linia przeciwko chmurze wroga...

Idziemy z impetem, bezrozumni szaleństwem, które nie zna przeszkód, ni zapór. Szaleństwem, które wierzy, że wszystko złamać musi... Złamięmy, albo zginieemy. Wszystko jedno, co się stanie. Porwiemy jednak swym czynem gromadę żołnierską, znieruchomiałą tam na flance... Wyrwiemy ją ze śmiertelnego zachłystu !...

Idziemy naprzód ! Rwiemy, jak w szarży kawaleria !

Strzelam w błyszczące przede mną oczy i niewstrzymanym pędem biegnę w przód !

Aż nagle... Nagle, dźwięk iglicy bijącej w próżnię... Trzaskowi zamku nie odpowiada huk wystrzału... budzę się z zapamiętania...

Tuż przede mną stoi wróg. Pusty pistolet obciąża tylko garść !

Już nie ma czasu ni myśleć, ni wstrzymać się w rozpędzie...

Z rozmachem pędzącego ciała walę się na żołdata... Widzę przed sobą czerwoną, wrażą twarz... W pysk walę lufą ciężkiego „Steyera“...

Przedemną pustka... Jak i kiedy wyginęła atakująca linia nieprzyjacielska, nie zdaję sobie sprawy...

Patrzę na prawo wzdłuż naszej linii i nie widzę wroga. Sami swoi...

Sław-Zwierzyński daje w tej chwili rękoma znak do odwrotu... Wracamy...

W tej szalonej tyralierze brało udział trzy-nastu oficerów. Szliśmy tak: Od lewego skrzydła najbliższej naszych okopów siedłem ja, dalej Rowecki, Busse, Styk-Stachiewicz, Sław-Zwierzyński, Nehring, Hajec, Mazur-Sękara, Stefański, Münnich, Koc Wacław, Czachowski i Bończa-Karwacki.

Nie wszyscy jednak doszli do swoich.

Padł Sław, padł Nehring, padł Busse, Bończa-Karwacki. Ciężko ranni zostali Stefański i Czachowski, który dopiero nad ranem następnego dnia przyczołgał się do nowej linii za bagno.

W drodze powrotnej pobieglem wzrokiem ku gromadzie żołnierzy, która ocalała, wyłamana z bezruchu, pracowicie torowała sobie drogę na most. Jak snopy zboża imane na widły, tak wznosiły się parte ostrzami bagnetów i padały z chlupotem w bagno ciała żołdatów...

Droga do lasu wolna... Zmierzch szary otulał ziemię... Pamiętny zmierzch 4 lipca 1916 roku.

Ale nie danym nam było wytchnąć ani na chwilę w okopach za bagnem...

Jakąś luką wdarł się oddział wrogów aż w „Polski Laszek”...

Wyrzucono go kontratakiem.

Zbiórka kompanii na nowych pozycjach przedstawia się opłakanie.

Kompania moja wieczorem dnia 4 lipca liczy zaledwie 39 żołnierzy i dwóch oficerów. Brakuje trzech dowódców plutonów: ppor. Nehringa (pluton 2), sierżanta Witolda Czachowskiego (pluton 3) i sierżanta Kruka (pluton 4).

Ppor. Jagmin-Sadowski odnalazł się w Polskim Lasku, dokąd wycofał się z kilku ludźmi wraz z kompanią ósmą.

Chodzę rozmyślnie wzdłuż okopów, wypytyując żołnierzy o tych, czy innych zaginionych. Staram się, rozmawiając, uchronić mych podkomendnych i siebie od zaśnięcia.

Ta garść ludzi, tworzących obsadę odcinka, to wyczerpane do cna ludzkie łachmany.

Zasypiają rozmawiając... Ciągłe trzeba potrząsać żołnierzami i budzić ich ze snu... A za każdym razem ten i ów otwiera oczy, bełkocąc: — „Ja nie śpię“... Potem opuszcza głowę na piersi i zasypia...

Szczęściem wśród nocy przychodzi nieszczęśliwy rozkaz odebrania okopów na „Polskiej Górze“.

Szczęśliwym był ten rozkaz tylko o tyle, że wyrwał żołnierzy z opanowującego ich snu... Nadzieja powrotu do wygodnych okopów podniecała każdego. Nieszczęśliwy był w tym sensie, że nie przyniósłszy żadnych realnych korzyści, zabrał wiele istnień ludzkich...

Jest godzina druga w nocy... Do ataku ruszają przez Polski Most trzy kompanie drugiego baonu 5 p. p. i baon 6 p. p.

Baon drugi atakuje w kierunku na „Madiarenstützpunkt“. Batalion 6 p. p. na prawo w kierunku na dawne pozycje węgierskie.

Wdzieramy się do okopów, wyrzucamy z nich nieprzyjaciela !

Nie mamy jednak sił do odebrania całej dawnej linii, a tym samym nie ma mowy o utrzymaniu się na pozycjach, wydartych z rąk wroga.

Masowy kontratak rosyjski, grożący oskrzydleniem, zmusił nasze kompanie do odwrotu.

Znowu obfite żniwo śmierci...

Padł zabity komendant 6 kompanii por. Koneczny, ciężko ranny został komendant 5 kompanii por. Tungus-Zawiślak, padli ranni ppor. Sowa i Styczyński.

Daremny był wysiłek wobec przeważającej liczby nieprzyjacielskich oddziałów.

Jest noc... Śmiertelnie zmęczeni, jesteśmy na naszych pozycjach. Patrzymy w stronę nieprzyjacielskich linii.

W pewnej chwili z mroków nocy, idąc od błot, wyłania się postać, wlokąca się o szczudle zaimprowizowanym z karabinu... Bezwładnie wlecze nogę...

To sierżant Witold Czachowski, ranny w nogę podczas pierwszego kontrataku... Przez wiele godzin szedł straszliwą drogą krzyżową wśród błot i bagien pod ogniem szalejącym po obu stronach okopów...

Kończy tę drogę na rękach swoich żołnierzy. Nie ma już sił, by iść dalej, nie ma sił w skrwa-wionym ciele, by opanować ból ciężkiej rany...

Ponieśli go na tyły...

Za chwilę znowu wyłania się z błot inna mara...

Skulona, złamana postać żołnierska posuwa się ku nam chwiejnym krokiem.

— Stój! Kto idzie?

— Swój! Kwaśniewski...

To doktor Mikołaj Kwaśniewski, lekarz i baonu, niedawno jeszcze szeregowiec, pełniący liniową służbę w szeregu. Lekarz, który celowo zataił swój zawód, chcąc walczyć z bronią w ręku...

Teraz wraca z błot... Opatrując rannych, opóźnił swój odwrót i pod osłoną nocy przekradł się ku nam przez błotną topiel. Odbył wielogodzinną drogę, wśród zachłannych, chwytliwych bagien. Z munduru spływa strugami czarne, cuchnące błoto...

Zarłoczne poleskie błoto, błoto-grabarz... Ileż to istnień żołnierskich pochłoneło... Ileż to żołnierskich ciał tkwi w jego topieli...

Tam na „Polskiej Górze“ raz wraz wybucha krótka strzelanina. To broni się ppor. Warski, zamknięty w granatniku z rezerwowym pluto-

nem i kompanii... Nie zawiadomiony o nagłym odwrocie, broni dostępu do siebie wrogom...

Nad ranem kilka wybuchów granatów, czy też min, a potem śmiertelna cisza świadczą, że nie poddał się żywy...

Godzina 8 rano... Znowu straszny potworny ogień artyleryjski... !

Na skrócony odcinek lecą ciężkie pociski ze stu dział... !

Sto ciężkich dział bije celnie potwornymi granatami minowymi w okopy.

Jęcząc jak potępieniec, nadbiega granat od strony wroga, spada na okop, ryje głęboko ziemię i tam dopiero wybucha, wyrzucając olbrzymie słupy ziemi, ognia i błota.

Zryty cmentarz legionowy w Polskim Lasku przedstawia pełen grozy widok dantejskiego piekła.

Wyrzucone z ziemi i poszarpane zwłoki ludzkie, deski trumien leżą szerokim kręgiem...

Stare sosny wyrwane z korzeniami, połamane krzyże, ludzkie piszczele i czaszki z resztkami gnijącego ciała, leżą w potwornym nieładzie...

Nieznośny zaduch trupi, zmieszany z odorem zgniłych bagnisk i oparzelisk, wraz z lotnym piaszczystym pyłem, tłoczy się w nozdrza i krtań...

Nie wiem już kto... Czyjeś usta, czy też wiatr...
Ktoś przyniósł straszliwą wieść...

Może to był wiatr... W bitewnej wrzawie nie
słyszeć przecież wyraźnie słów... Ale w mózgu
zrodziła się tragiczna świadomość.

Hajec zabity! Porucznik Hajec, komendant
drugiej kompanii... Wesoły, beztroski Hajec...

Przecież kilka godzin temu w jego okopie, gdzie
znalazł śmierć, jadłem z nim śniadanie. —

Niedawne wspólne przeżycie odbiera wieści
realność rzeczywistości...

Hajec znikł! — Rozszarpane granatem człon-
ki rozrzucił wybuch po lesie! Nie rozpozna i nie
złoży nikt strzępów jego ciała...

Hajec, dusza i współnik bojowych fanfaronad,
jeden z zawadiackich „muszkieterów gwardii“, prze-
stał istnieć i grobu swego mieć nawet nie może...

Wśród gąszczy i traw bieleją kości. Czyjeż są
one? Któraż z nich do ciebie należy, kolego?...

Zmęczony śmiertelnie żołnierz nie może już
stawiać oporu...

Luzują nas... Luzują kompanie i pułku
piechoty...

Luzowanie pod ciężkim ogniem artyleryjskim
trwa 5 godzin...

Z dwóch kompanii i p. p. w czasie luzowania
ubywa 20 ludzi.

Nie spostrzegłem nawet, że jestem ranny...
Dopiero kapitan Dąb-Biernacki zwrócił mi uwagę
na skrwawioną rękę...

Szczęśliwie rana, aczkolwiek obficie krwawi, jest lekka, powierzchowna... Drzazga przecięła, jak brzytwą mięsień na skraju lewej dłoni... Należało założyć tylko opatrunek... Szkoda zawracać tym głowę Kaplickiemu...

Idziemy w tył.

Będziemy pili wodę, będziemy jeść, a może, może i spać, tak dobrze spać... Próżno marzymy o chwili wytchnienia i snu.

Po 36 godzinach zgiełku pocisków prujących powietrze, tkwienia w piekle słonecznego żaru, w kurzawie, piachu i rojowisku brzęczących upiornie odłamków żelaza, bez kropli wody w ustach, suniemy w tył drobnymi grupkami na drżących, osłabionych nogach, dźwigając z trudem własne ciała czarne od brudu i lepkiego potu.

Nie można marzyć o chwili wytchnienia. —

Wróg prze masami nowych, wypoczętych sił!
Wczoraj napierała setna dywizja, dziś atakuje 77!

Pełno luk w naszym froncie, przez które przecieka wróg, jak wartki burzliwy potok poprzez szczeliny grobli...

W pomoc piechocie biegną obydwie pułki ułanów. Próżny już jednak wszelki trud...

Nieprzyjaciel wparł się kolumnami w Polski Lasek.

Kolumna atakujących dostała się pod komendę pułku.

— Urra! Urra!...

Sztab wybiegł z ziemianki i suchym trzaskiem rewolwerowej palby odpowiada na wrzask atakującego tłumu.

Cofa się sztab... Berbecki, komendant pułku, Trapszo i Borek adiutanci, doktor Kaplicki, lekarz pułkowy, ordynansi Cybulski i Radwański, telefoniści...

Ktoś w szeregach rosyjskich poznał Berbeckiego... Może to był jego dawny podkomendny z japońskiej wojny...

— „Ławi komandira Berbeckawo!” — przebiegło wzdłuż linii.

Na odsiecz sztabowi biegnie ósma kompania z porucznikiem Dechaux.

— Prędzaj! Prędzaj!

Komendant pułku to sztandar, to duch oddziału...

Dopadli! Płotem żywych ciał odgradzili dowódcę od wrogów.

Trach! Traach! — salwa na moment wstrzymuje kohortę goniących wrogów. Zyskujemy cenne dla życia sekundy, cenne chwile dla honoru pułku.

Hej!... Łatwo jest wiać niewstrzymanym pędem, biec w tył, byle dalej, byle najdalej odnieprzypaciela...

Lecz jakże ciężki, jak trudny jest marsz, gdy bagnietami trzeba odpierać tłoczącą się za nami ciżbę.

Znikły gdzieś szeregi austriackich pułków, wsiąknęły w mrok leśnych głuszy...

W Lasku Polskim, w kurzawie wciąż wznoszonego pyłu płytko wkopana w ziemię dymi kuchnia polowa warząc strawę dla walczących oddziałów. Przy kuchni krzątają się nieustrudzenie dwaj Dudkowie: Mikołaj i Michał. Nieustrudzenie, mimo gradu pocisków, pilnują ognia i kotłów, by nie przypaliła się strawa. Wtem pod kuchnię podsunęła się gromada atakujących Moskali; kucharze, którzy właśnie w tej chwili chochlami i warzechami w kotle manipulowali, rzucili się do obrony kuchni tą bronią w ręku trzymaną. Karabiny i bagnety zwyciężyły jednak i u kół dymiącej kuchni leży ciała kucharzy Mikołaja Dudka ojca i Michała Dudka syna, po których banda atakujących wtargnęła w okop kuchni, by złopać gotową strawę...

— Legiony, to żołnierska buta... Legiony, to straceńców los !...

W ogniu, we krwi, w bitewnym zgiełku, wykuwają się słowa pieśni, hymnu Brygady...

Tam oto zalana przemożną falą wroga drobna grupa kilku ludzi uległa w walce wręcz... Wytrącono broń z umęczonych rąk. Nie ma ratunku przed przemocą ! Trzeba iść w niewolę !

Trzeba iść... Ale z dumą, godnością... boć legun nie podnosił rąk w górę.

A gromadzie rosyjskich żołdatów spieszno skorzystać z okazji usprawiedliwionego odejścia w tył.

Chcą popędzić jeńców, zmusić do szybszego marszu.

Nie spieszo jednak pojmanym opuszczać plac boju. Markotno odejść, oderwać się od swoich... Tak przecież jeszcze są blisko...

Szeregowy Stachoń Tomasz, góral z Poronina, odwraca w tył głowę. Tak mu ciężko odejść, nawet spod ognia. Ciężko odchodzić nawet spod ognia własnych towarzyszy...

Powoli odwraca głowę do swoich... Za nimi, za towarzyszami broni, tam, gdzieś hen, daleko, góry rodzinne jawią się jasnym zwidem w słonecznej poświacie...

Może przecież została choć jedna szansa powrotu...

Wtem, nagle krwi strumień uderza do głowy. Butną, orlikową twarz czerwieni rumieniec wstydu...

Żołnierz konwoju, przynaglając jeńców do pośpiechu, uderzył go kolbą w pośladki... Uderzył jego, żołnierza Pierwszej Brygady! Jego, co w walce uległ tylko przemocy. Jego, który bił i zabijał tak długo, jak długo drżące dłonie mogły utrzymać broń.

On, krew z krwi, kość z kości „Zuchowaty”, tej zniewagi ni znieść, ni darować nie może!

Schylił się, schwycił z ziemi wytrącony przed chwilą karabin i kolbą jak młotem, roztrzaskał czerep śmiałka!... a jednocześnie dziesiątki bagnatów przeszły jego pierś...

Na placu legło ciało Tomasza Stachonia, żołnierza Pierwszej Brygady, a z dziesiątek ran sączyła się strugą czerwieni serdeczna krew, kreśląc na piachu słowa żołnierskiej buty i chwały:

— „Legiony, to żołnierska buta... Legiony, to straceńców los !...“

Wiatr chwycił słowa, krwią na piasku pisane, a świst kul śpiewał melodię...

A echo dalekich, górskich, smrekowych borów odpowiadało pełnym gorzki refrenem:

— „Waszych nie chcemy łez — ani pukamy do kies... Uznanie wasze zbyt nam też — jechał was pies ! — jechał was pies !...“

Cofamy się ! Zmieszane oddziały walczą o każdą piędź ziemi. W krwi wrogów, w zwałach trupów na wargach zwycięzców kona uśmiech triumfu.

Znowu rowy ryglowej pozycji: Włoczek — Lasek Saperów...

Do nocy trzeba dać opór...

Na prawo, opuszczony przez sąsiedzkie austriackie pułki, walczy bohatersko z nawałą wroga trzeci pułk piechoty legionowej.

Bagnetem, kolbą toruje sobie drogę, ale nie może wyjść.

Ostatnim wysiłkiem walczą żołnierze jeszcze o skraj „Polskiej Góry“. Wparli się w ciżbę, jak

bezsilne dziecko, w rozkrzyczany, pijany jarmarczny tłum.

A tłum, jak kleszczami ścisnął wątłe ramiona, zdusił i rozdeptał dziecko...

Ze zdrętwiałych, nieruchomych rąk wypadła broń.

Niewola... Komendant pułku, Minkiewicz, dzieli los swoich żołnierzy...

Zapadła noc. Świat okrył się żałobnym kirem. Przysłonił twarz czarną płachtą, rwaną długo błyskami strzałów...

Jękliwe — Urrea! drży nieprzerwaną falą dzikich głosów...

Utrzymanie pozycji ryglowej: Saperski Lasek — Włoczek staje się niemożliwe.

Grozi wbicie klinu między bataliony pierwszej brygady a 4 p. p. leg., zajmujący pozycje na styku okopów ryglowych i umocnień trzeciej linii, ciągnących się za bagnami Garbachu.

Pod osłoną nocy oddziały wycofują się na trzecią linię.

Jesteśmy w rezerwie. Już późno po północy zajmujemy ziemianki w Nowym Jastkowie.

Jest woda... I możliwość krótkiego dwugodzinnego snu w mundurze...

Zaledwie wschód słońca rozjaśnił niebo, budzi szeregi natarczywa pobudka. Stajemy na sztyw-

nych nogach... Zdrętwiałe mięśnie za każdym ruchem sprawiają nieznośny ból.

Zebrane szeregi zwolna odzyskują możliwość ruchów...

Stoimy na drodze, biegnącej górą ponad okopami 5 batalionu brygady (III 5 p. p. leg.). Dowodzi nim kapitan Olszyna-Wilczyński.

Droga naszego odwrotu biegnie przez lasy na Kunińskie Chutory i młynarską osadą nad Maniewką. Stąd biegnie na Czerewachę, Trojanówkę, Czersk, za Stochód.

Stoimy na drodze tuż za pozycjami. Lukami między konarami drzew widać przedpole: „Lasek Saperski“, „Polski Lasek“ i odcinki „Polskiej Góry“...

Wzrok biegnie ku tym miejscom, które tak nagle opuścić trzeba było...

Do brygady przydzielono batalion bawarskiego pułku piechoty. Dorodne młode chłopaki, butne, znamienicie i czysto umundurowane... Przed 36 godzinami spod Verdun wysłano ich tu, do nas. Myślą, że przyszli na festyn...

Idą do ataku w kierunku na linie: Lasek Saperski — Włoczek. Przestrzegamy ich przed zbyt wielką pewnością siebie. Machają lekceważąco rękami i naśmiewają się z „Rusów“...

Poszli wesoło, junacko wysunęli się za druty kolczaste, rozwinęli i na chwilę zniknęli za garbem terenu.

Zniknęli po to jedynie, by rychło, śpiesznie grupami z powrotem dotrzeć do nas...

Takich mas atakujących wojsk nie widzieli na froncie zachodnim. Przekonali się na własnej skórze, że pogardzany „Rus” to jednak potęga masy ludzkiej, której nie dorówna liczebnością żadna armia. Przekonali się, że chcąc walczyć skutecznie przeciw tym masom mniejszą siłą, trzeba obrać inną taktykę. Trzeba górować szybkim ruchem, który by dawał przewagę nad ociężałością rosyjskich sił. Trzeba górować nad ich myślową biernością... Długa bowiem jest droga, od wrażeń i przeżyć tej wielkiej masy do mózgu rosyjskich dowódców... Długa i powolna powrotna droga rozkazów...

Wycofał się batalion Niemców, a w ślad za nim ruszyły do szarży trzy pułki rosyjskiej kawalerii.

O chwilę za późno, o chwilę, która pozwoli Niemcom wejść pod osłonę naszego ognia. O tę chwilę, która pozwoli poprzez schodzących w dół Niemców, na otwarcie wolnego obstrzału dla naszych karabinów.

Spod osłony „Saperskiego Lasku” wysuwają się pułki, idących ławą szwadronów...

Kłus...

Ciszą odpowiada nasza linia, by przedwcześnie nie trwożyć wroga.

Brzoza szybko wtacza armaty w okopy. Maszynki przygotowują nerwowo pasy amunicji.

Piechur na wierzch wywala z ładownic ładunki,
by nie marudzić później...

Krótki galop !

Cisza... Jeszcze nie czas... Czasem tylko od
cofających się Niemców padnie strzał... Dodaje
to bodźca szarży. Łatwy kąsek przed oczyma.
Jeźdźcy widzą dokładnie plecy cofających się „Ger-
mańców“. Jeszcze jeden krok, jeszcze drugi...
Już tylko 500 kroków... Błysnęły w słońcu ostrza
szabel... padły słowa długiej, śpiewnej komendy...
Konie wyciągnęły się w galopie, jak struny...
Szwadrony płyną w szalonym galopie...

Pierwsze szeregi dopadły doliny. Miękki grunt
łaki chwytą bijące o ziemię kopyta końskie, ha-
muje bieg i zagęszcza szeregi...

Celownik 300 !

Linia gruchnęła morderczym ogniem. Jakaś
nuta wesela brzmi w takcie strzałów. Rozbiegła
się na ochotnika w okopy kolumna naszego pułku.
Zerwane z juk maszynki wtórują hukowi armat.
Zniknęło zmęczenie. — Zniknęło senne odrę-
twienie. Każdy chciał wziąć udział w braniu
odwetu...

Na bagnie zgiełk, chaos, gmatwanina końskich
i ludzkich ciał. Wrzask, ryk, przekleństwa, kwik
i trwożne rzenie koni, fontanny czarnego błota.

A karabiny maszynowe grają nieustannie...
Plują kartaczami armaty, chrzęszczą karabiny
w rękach piechurów. Trzęsie się linia, cały las
zanosi się straszliwym chichotem ognia...

Za strugi przelanej legionowej krwi, za ciała poległych towarzyszy, za mękę naszą, za przymus odwrotu, wgniatamy w błoto wasz triumfalny bieg!... Po naszych karkach nie przejdą wasze konie... Śmierć, w wasze ślemy szeregi!...

Idziemy w tył... musimy iść! Lecz nie uciekamy złamani!

Oczy błyszczą weselem i żołnierskim zadowoleniem. Spłaciliśmy krwawo długi!

Znowu zbiera się marszowa kolumna naszych batalionów.

Już trzeba opuścić linię Garbachu. Na lewo od 4 pułku załamały się austriackie oddziały.

Batalionem niemieckiej piechoty osłania komendant Piłsudski nasze odkryte lewe skrzydło.

Znowu grozi oskrzydlenie... Przed naszym frontem nieprzyjaciół przerażony zmieceniem trzech pułków kawalerii, zastygł w bezruchu.

Idziemy na Rarańczę, Legionowo, Kunińskie Chutory...

U młyna nad Maniewką krótki nocny postój. Niewiele w nim wypoczynku. Zmęczone, żołnierskie ciała drgają i rzucają się w krótkim, gorączkowym śnie.

Noc cicha, letnia, ujęta w czarnym kloszu nieba błyskającego światłem nieruchomych gwiazd.

Uszy pełne bitewnej wrzawy... Ciągłe ponad głowami zawisa zwid lecącego pocisku. Ciągłe nawiedza uszy omam świstu lecącego granatu...

Tu!... Tu!... Wprost w głowę kieruje się pocisk... świdruje do mózgu... To ten, to ów, we śnie zrywa się, uskakuje w bok i kryje przed grozą wybuchu...

Słuchowy omam, zwid pocisku, jakby na jawie lecącego, opanował kolumnę... Nawet na jawie, w marszu, panuje wszechwładnie ta złuda... Pryskają na boki postacie, uchylają się głowy, kulą się ludzie...

Chwila powrotu do cichej rzeczywistości, by potem znowu, za chwilę popaść w zbiorową halucynację... Dziwna jest ta halucynacja, a tak wyraźna, tak pełna rzeczywistej grozy, że się jej oprzeć nie można...

Nogi ciężą ołowiem, potykają się na korzeniach drzew... Droga wśród lasów, w ciemną, letnią noc upiorną idzie kolumna, drgająca ciągłym rozbiegiem ciał...

Idziemy tuż za batalionem Niemców na Zachód. Tam, gdzieś za Stochodem, patrzy w naszą stronę nadzieja snu i wypoczynku...

Batalion za batalionem, kompania za kompanią idą w tępych odrętwieniu, zasłuchane w straszne głosy halucynacji...

Ledwie widoczna droga wiedzie na skryty wśród lasów młyn nad Czerewachą. Odwrót zasłaniają pułk i szwadrony Beliny. Gdzieś za nami, okryte

czernią nocy idą czujne sekcje, plutony, kompanie odwrotowej osłony... Za nimi czai się ostrożny, pamiętający krwawą nauczkę, wróg.

Wtem kolumnę przeszedł dreszcz...! — Cwa-łem wzdłuż kolumny, naprzód ku Niemcom, przebiegli konni...!

— Stój!...

Drgnęła kolumna w oczekiwaniu czegoś nieznanego, co się czai wśród ciemnej nocy...

Zmylono drogę odwrotu. Zwiodła Niemców szeroka, wyjeżdżona droga, idąca w bok ku południowi. Odeszliśmy blisko dwa kilometry od szlaku ubezpieczonego odwrotu... Trzeba zawracać...

Straszny to cios dla umęczonych ciał i nóg... Szmata drogi, szmata zbytecznych kilometrów. —

— W tył zwrot!... Kolumna idzie w odwrotnym marszowym porządku... Świta...

Zaledwie ruszył z miejsca wąz marszowy, biegną od czoła wzdłuż kolumny jakieś głosy, a równocześnie targnął powietrzem trzask salwy karabinowej...

Krótki chaos nagłego zaskoczenia, niepewność kierunku ataku, niepewność skąd grozi zasadzka...

Ten i ów chwyta karabin i strzela w las na oślep!

— Nie strzelać! Nie strzelać! Trzecia kompania rozwinięta w przód na lewo! W tyraliery na lewo w skos!

Orientując się w sytuacji, gorączkowo wydają rozkazy i obsadzam gaj brzozowy na wzgórzu. Za mną, łącząc na lewo, rozwija się batalion Niemców...

Cisza... Nie widać atakujących linii wroga. To tylko mały patrol konny korzystając z okazji zgutował zasadzkę.

Od miejsca, gdzie doszło czoło kolumny, nadlatuje ponura wieść:

— Pułkownik ranny ! — Major zabity ! —

Niczego los nam nie oszczędził... Trzeba było tak głupiej przyczyny, ażeby aż tak ciężkie ponieść straty... Trzeba było, ażeby na czele odwrotowej kolumny znalazł się sztab i zanim zdążyły wyjść w przód patrole, stanąć oko w oko z drobnym nieprzyjacielskim podjazdem.

Pułkownik Berbecki, widząc przed sobą ciemne sylwety jeźdźców, zapytał:

— „Stój ! Kto idzie ?”

Z grupki jeźdźców, stojących w cieniu nadbiegła odpowiedź:

— „Swai !... ruskij narod ! Kniaz Trubskoj !”

Jednocześnie plunęła salwa... Ruszyła grupa jeźdźców i zniknęła w ciemnościach nocy...

A strzały, oddane z bliska były celne. —

Padł, trafiony w serce, major Wyrwa-Furgalski, padł ciężko ranny pułkownik Berbecki, lżej ranni zostali lekarz pułkowy dr Kaplicki i adiutant i baonu ppor. Rowecki.

Berbeckiemu kula rewolwerowa przeszła pierś, przebijając się tuż obok serca — pół centymetra od serca i centymetr od łuku aorty... Cudem uszedł z życiem.

Wzięły pułkownika drżące z umęczenia ręce żołnierskie, poniosły go na rozciągniętym płaszczu.

Jakże mało pozostało sił w biednych, umęczonych ciałach ludzkich... Dobrano dwudziestu najtęższych ludzi, a ledwie unieść mogą ciało pułkownika. Trzymają się nadludzkim wysiłkiem... Co chwila trzeba zmieniać tragarzy...

Nie ma sił, ażeby nieść ciało zabitego Wyrwy. Zniesiono je z drogi, zostawiając na uboczu i przymknięto oczy garstkami piasku...

— Trzeba było porzucić te zwłoki kochanego kolegi, by dać możliwość życia reszcie...

Jak żałobny kondukt pogrzebowy sunie kolumna... Uginają się kolana, drętwieją palce niosącym.

Wreszcie wybawienie... W galopie dobiega nas zaalarmowany szwadron z Beliną na czele, a za nim nadjeżdża bryczka z Brygady...

Złożono pułkownika na bryczkę. W tył, ku miejscu starcia, spieszą ułani po ciało majora.

Nie mogli jednak dotrzeć. Szybkie sotnie kozackie już weszły na trop pościgu... Ogary poczuły rannego zwierza...

Na piaszczystym wzgórzu, wśród borów, w kępie brzozowego gaju, w uroczysku Glomina, samotna stoi mogiła, usypana rękoma obcego żołnierza... Chociaż obcy, chociaż wróg, spełnił rycerską powinność...

Na wzgórzu stoi samotna mogiła wśród borów, a wiatr z Zachodu niesie ku niej muzykę dalekich,

swoich stron... W takt wiatru ziele chyli kwietne
głowy, ziele, co soki życia wypilo i trwa...

Kolumna schodzi po stromych stokach wzgórz
w dolinę Czerewachy. Nie koniec jeszcze męki,
ale tam, po drugiej stronie rzeczki, nadzieja chwili
wytchnienia...

Idzie kolumna... siłą bezwładu toczy się z góry...
jeszcze kilka kroków...

Z nadludzkim wysiłkiem wloką się nogi.

A nad szumiącą wodą Czerewachy, płynącą
wartkim strumieniem z koryta na koło, stoi dobrze
znajoma postać....

Z bolesnym trzaskiem w krzyżach prostują się
plecy ugięte pod ciężarem broni... unoszą się
w górę ręce, wlokące się niemal po ziemi... Duch
woli chce przemocą wyprzeć z oczu rozpacz zmę-
czenia... Nogi starają się bić rytmiczny takt
marszu...

Spod krzaczastych brwi patrzą oczy, badające
każdą twarz...

— Zmęczyliście się chłopcy? — „Bardzo zmę-
czeni?” —

— „Nie !... Nie !...” Twarde słowa protestu
z wysiłkiem, krzykliwie wybiegają z piersi na
spiekłe wargi... Słowa samozaparcia i żołnier-
skiego kłamstwa ! Kłamstwa — bohaterstwa !...

Przecież może liczy na nas...? — potrzebni jesteśmy do posunięć Jemu tylko wiadomych...

— „Nie! Nie zmęczeni!”...

— „To wypocznijcie trochę... przetrzepali was mocno...”

Na ziemię, na rozkoszną, wilgotną ziemię, tuż nad strumieniem wody, z głuchym jękiem, jak gdyby dobytym z jednej potężnej piersi, wali się kolumna...

Te setki umęczonych ciał walą się na ziemię, jednoczesnym ruchem, jakby tworzyły jedno wielkie cielsko ciężko rannego zwierza, nie mającego już sił na to — by żyć...

Woda... cudowna woda Czerewachy. — Pieściwie gładzi strudzone, lepkie od potu ciała...

Woda! — Cudowna jej moc! — Wyciąga ból z członków, krzepi i odświeża...

Po wzgórzach, rozrzuconych za wodą szerokim wachlarzem, czuwają bratnie bataliony brygady... Czuwają nad spokojnym snem strudzonych swych braci.

Nad gromadkami śpiących stoją grupy niemieckich żołnierzy. — Cicho podchodzą, na palcach, by nie przerywać snu... Patrzą z jakimś dziwnym, miękkim wyrazem oczu.

Już wiedzą wszystko. Z nabożeństwem patrzą na garść ludzi, na resztę pułku „Zuchowatych”

tych, co mieli odwagę zaprzeć się niehumanitarnej
udręki swych ciał... tych, co przed chwilą byli
gotowi iść w bój, chociaż nie mieli już sił na to,
by stopy unieść w górę.

W chłodnej wodzie Czerewachy tkwią rzędem
opuchnięte, czerwone, znaczone siną siecią żył —
nogi. Ponad wodą chwieją się sennie ciała, drżące
migotliwym odbiciem w toni...

Nad snem czuwają na wzgórzach placówki
bratniego pułku. Tu nad spokojem ich snu czuwa
nawet niemiecki żołnierz... — Tam nad ciałem
śpiącego, młodego leguna, pochyla się głowa
przykryta „pikelhaubą“ i... odpędza gałązką
natrętne muchy z twarzy...

I znowu marsz...

Kradzione chwile, minuty snu niezdolne są
usunąć zmęczenia...

Lecz oko Wodza, Jego głos i zimnej wody
strumień działały cud. Żwawiej sunie kolumna,
rozpierzchły się gdzieś słuchowe halucynacje, oczy
rozbłyły żywym blaskiem.

Idziemy na Trojanówkę, Czersk, za Stochód do
Smolar. Idziemy tym samym szlakiem, którym
rok prawie temu szliśmy zwycięskim marszem na
wschód.

Prawie rok temu jako komendant plutonu idąc
w awangardzie przechodziłem ten Stochód po
moście zaimprovizowanym z siana.

Nietrwały, chwiejny, zapadający się w głąb most umożliwił nam jednak przejście przez liczne odnogi Stochodu, z zamoczeniem najwyżej dokolan.

Za mną dążyła reszta kompanii z ówczesnym jej komendantem por. Kostkiem Aleksandrowiczem ¹⁾).

Tu z piaszczystych wzgórz leżących opodal drogi, obserwowałem ruchy nieprzyjacielskich szwadronów, obsadzających ogrody wsi Czerska. Tu spotkałem się z pułkownikiem Rydz-Śmigłym, maszerującym ze swym pierwszym pułkiem do ataku na Czersk i na skrajnej jego flance wziąłem ochotniczo udział w ataku.

Cichy dworek w cieniu drzew i dostojnej koronie warzyw. — Krótka utarczka w sadzie dworskim i obejściu, a potem serdeczne, naprawdę serdeczne głosy powitania. Zdumienie i radość maluje się na twarzach gospodarzy, gdy w zwycięskich oddziałach prących do ataku poznają polskich żołnierzy.

Cisną się w pamięci wspomnienia przygód przeżytych w ciągu jednego roku na przestrzeni znacznej połaci ziemi, objętej strugami wód Styru i Stochodu.

¹⁾ Porucznik Kostek Aleksandrowicz, komendant 3 kompanii 5 p. p. leg., padł ranny w nogę w bitwie pod Staryhorozem 30 września 1915 r. Z rany odniesionej w tej bitwie, zmarł w szpitalu garnizonowym w Krakowie w marcu 1919 r. Zmarł po prawie czteroletnich męczarniach. Pochowano go na cmentarzu rakowickim.

Powrotna fala wspomnień na znoej drodze
odwrotu...

Trojanówka...

Tłok taborowych wozów, armat, koni i ludzi.

Chaos organizacyjny, taktyczny i strategiczny.
Wir ogłupiałych oddziałów, pozbawionych komend, związków i łączności. Stado płochliwych owiec, pozbawione pasterskiego kija i szczekających owczarków...

Spokojne wkroczenie naszych oddziałów i wieść o przybyciu wyższej komendy robi wrażenie, wnosząc pewne uspokojenie w płochliwą, demoralizowaną bandę. —

Poszczególni komendanci oddziałów, istniejących i nieistniejących, cisną się do Komendanta prosząc Go o rozkazy.

Komendant Piłsudski zarządza natychmiastową ewakuację Trojanówki.

Mieć tuż za plecami ten ogłupiały, zdjęty paniką motłoch, to niezbyt miła i bezpieczna sprawa.

Wyciągnęły się długim nieprzerwanym węzem wozy i armaty, kierując się ku zachodowi...

Na przedpolu Trojanówki, chroniąc austriacki bałagan, rozłożyły się kompanie i pułku. Brygada, jak troskliwa kwoka, okryła swymi skrzydłami płochliwą gromadę kurcząt...

Otrzymujemy rozkaz odmarszu za Stochód. Idziemy. — Równolegle z nami ciągnie drogą sznur zaprzęgów.

Na razie marsz odbywa się spokojnie. Tylko stukot kół i tupot kopyt, bijących w drewnianą mostowinę drogi, odbija się echem o nieruchomą ścianę boru.

W pewnym momencie, wypuszczone gdzieś z uwięzi luf kozackich armatek, wybuchnęły wysoko ponad miasteczkiem szrapnele. —

Taki sobie nieszkodliwy „fajerwerk“...

Gdzieś w dali po polach, czy ogrodach, rozsiały się niby groch szrapnelowe kulki, a obłoczki dymów, niczym małe chmurki, zawisły w powietrzu...

Wystarczyło to jednak, ażeby w austriackiej, tchórzliwej bandzie wybuchła bomba. —

Skotłowały się na drodze zaprzęgi. Jeden przed drugim chce się naprzód wysunąć. Zawadzają sobie wzajemnie, sprzęgają się ściśle bokami, tarasując drogę!

Ten i ów chce wyjechać przed nas. Wykrzywiona panicznym strachem gęba wyrzuca nieartykułowane dźwięki!

Bagnet i lufa, wymierzona w pierś, zmuszają bałwana do skręcenia w bok, gdzie wóz grzęźnie w bagnie.

Odcina taki konie od wozu, wsiada na nie i oklep wieje na zbity pysk...

Tumult, rwetes, krzyk! Panika ogarnęła zarówno szeregowych jak i oficerów.

Jakiś bohaterski „taborycki” rotmistrz na gwałt chce zrobić z nas dla siebie zastłonę.

— „Also die Infanterie Truppe auf mein Kommando!”...

Nie dokończył biedny „taborycki Napoleon” swoich słów. Dostał postrzał po łapie od rozsierdzonych legunów, którzy w ten sposób przywoływali bandę do porządku.

Niewiele to jednak pomaga. Chociaż uspokoiło najbliższych, tyły prą gwałtem!...

Najeżona bagnetem kolumna idzie spokojnie i śpiewa. Idzie, zbierając po drodze wojenny łup, rzucany przez „sprzymierzeńców”. Leżą na drodze stosy bagażu, skrzyń, kufrów, rynsztunku. Każdy bierze dla siebie, co chce i unieść zdoła.

Nasz tren bojowy wzięty między oddziały piechoty idzie równo, spokojnie i pęcznieje nabytkiem.

Wiara śpiewa, kpi ze strachliwej bandy i cieszy się nieoczekiwaną zdobyczą. Podobno porzuconą kasę znaleźli legionieści. Nikt tego nie widział, nikt nie liczył banknotów, lecz uparta wieść przebiegła kolumnę, mówiąc, iż paczki banknotów utonęły w leguńskich chlebakach...

Austriacy zapłacili legionistom haracz...

A piewca bohaterskich czynów wojsk austriackich, wojenny korespondent wiedeńskiej „Die Zeit” pisał pod datą 7 lipca:

„Dzięki bohaterskiej postawie naszych wojsk oraz trwającej od kilku tygodni suszy, opróżnienie terenu na wschód od Stochodu odbyło się sprawnie i bez strat, tak, że nie uroniliśmy ani jednego wózka, przechodząc na przygotowane z góry linie obronne. W oddziałach nieprzyjacielskich daje się zauważyć demoralizacja spowodowana dzielną i nieustępliwą postawą naszych wojsk“.

Nad Stochodem stanęły znowu warty...

Łąki, przedpola, okryte nocnym całunem, roją się pochodem widmowych kolumn...

— Stój, kto idzie ! ?

— Swoi !... Śmierci Bataliony !

— Dokąd idziecie ! ?

— Budzić przyszłość ! Sumienie narodu ! Przy was stać na straży wiecznym wspomnieniem mogił naszych...

30 GODZIN W PUŁTUSKU

Tak tylko 30 godzin bawiłem w Pułtusk i w tym czasie zdążyłem poruszyć całe miasto, zaniepokoić je poważnie, a jednocześnie mile połechtać. A stało się to przypadkiem, jak zwykle w takich razach.

Historię tę opisał już dawniej mistrz pióra: Kaden-Bandrowski, ale że znał przebieg tegoż wypadku jeno z opowieści, więc ja dziś za pióro chwytam i chcę przebieg tego zdarzenia jako jego, że się tak wyrażę, autor — opowiedzieć wiernie.

Jak wszystkie wielkie historie tak i ta ma banalny początek. Żadne znaki ani na niebie ani na ziemi nie zwiastowały, by coś wielkiego zdarzyć się miało i właściwie nic wielkiego się nie zdarzyło. A jednak to, co dnia ostatniego grudnia 1916 r. przypadkiem wynikło, żyje we wspomnieniu mieszkańców Pułtuska i im też przede wszystkim historię tę opowiadam, by z czasem nie urosła do nie-

bywałych rozmiarów, jak to zwykle dzieje się z wieścią każdą żyjącą w legendzie.

Działo się to, jak się już rzekło, dnia 31 grudnia 1916 r. — a więc w tak zwaną i tradycyjną noc sylwestrową... W ulice miasta wjechałem gdzieś około godziny 22 jadąc omnibusem z Nasielska. Wracalem ze szpitalnej garówki do swego pułku. Informacje na prędcie zdobyte głosiły, że gdzie jak gdzie, ale w restauracji „Cioci” Szpondrowskiej zawsze kogoś ze swych towarzyszy pułkowych znajdę. Skierowałem się więc tam pierwszej, nim jeszcze zdążyłem rozejrzeć się po mieście, co zresztą było dość trudne ze względu na panującą ciemność. Sądzę zatem, że ten brak szacunku dla sławnego grodu wybaczą mi jego mieszkańcy, a to tym łatwiej, iż głodny byłem nie tylko w ścisłym tego słowa znaczeniu, lecz dokuczał mi głód osobliwy, głód ujrzenia — swoich.

Tak tedy znalazłem się u Cioci Szpondrowskiej, gdzie znalazłem „swoich” z Rokitą-Maksymowiczem na czele. Po różnych domach gościnnych mieszkańców grodu, rozplynęła się pułkowa wiara, tu jednak trzech muszkietarów wiernie dzierżyło straż... Ja zaś wpadłem, jak by się to rzekło brydżowym językiem, na czwartego. A gdzie Rokita tam i piosenka, więc też zaraz i czwarty przybył do chóru. Przecie to był „Sylwester”... Śpiewaliśmy, śmiali się, opowiadali sobie różne kawały i wieści... Miejscem naszego zebrania była salka przechodnia mieszcząca się między salą bufetową a dużym

pokojem jadalnym. Siedziało tam jakichś dwu Niemców-sztabowców — (plecionki przyozdabiały ich ramiona). Pili. Cóż czynić mieli w noc specjalnie na ten cel przeznaczoną? Nie wiem już, kto z kogo przykład brał, czy my z nich, czy też oni z nas, bo i myśmy też za kołnierz nie wylewali. Słowem pili Niemcy, piliśmy i my, a cienka ściana oddzielała nas od siebie w pewnym tylko stopniu, bo szeroko rozwarte drzwi łączyły obydwie pokoje. Niemców było dwóch, a trzecim ich towarzyszem był biały buldog, który siedział przy stole na krześle, i w całym tym towarzystwie był jedyną trzeźwą osobą. Jak mi się zdawało, a nawet tego pewny byłem, alkoholu nie pił...

Niemcy, jak to Niemcy — pili na milczka, a my śpiewająco. Już nie tylko dlatego, że najlepiej się śpiewa przy szklance, ale głównie z racji, iż był tam najmilszy nasz Rokita.

Co za giez ugryzł sąsiadów naszych, nie wiem. Coś im jednak siadło na wątrobie, bo inaczej po jakiego licha szukaliby guza. Jeden ze sztabowców wstał i prowadząc buldoga na smyczy — zamierzał przejść przez nasz pokój do sali bufetowej. W tej chwili przy naszym stole było nieco ciszej, była to chwila wytchnienia przeznaczona, jak wszystkie takie chwile, na zwilżenie gardła. Niemiec szedł właśnie przejściem poza mymi plecami i zwrócił się z przemową do psa, nie mając lepszego powiernika dla wyładowania swego rozdrażnienia:

— „Weist Puffi — wir scheissen auf ganzes Polen...”

Tyle tylko zdołał wypowiedzieć mój Niemiaszek, bo w tej chwili znalazł się w moich łapach. A wtedy miał człowiek nieco krzepy. Bić nie biłem zanego mego przeciwnika, jenom tak jakoś zgrabnie uchwycić go zdołał, że Niemiaszek w górę podleciał, pies na smyczy zatoczył wielkie koło aż pod sufit i razem na ziemię spadli...

Ta historia, podrzucania i spuszczenia Niemca na ziemię powtarzała się raz po raz, a odbywało się to niezbyt delikatnie, za to na tyle skutecznie, że w pewnej chwili nieszczęsny „Puffi” zerwał się ze smyczy, porzucił pana i z głośnym skomleniem opuścił plac walki. Niemiec mój zaś dalej ciągi odbierał, systematycznie podnoszony z ziemi i znów o nią rzucany, z powolnym zbliżaniem się ku tylnym drzwiom wyjściowym wiodącym na podwórze... Tak „idąc” przeszliśmy już salę bufetową i sień dość długą kamieniem misternie wykładaną, a Niemiec ani jednego kroku nie przemierzył stopą, jeno całą długością swego ciała „auf” i „nider” bez komendy wyczyniając... Właśnie wyszliśmy na podwórze „ciocinego” obejścia i miałem skierować kroki w lewo ku Narwi, gdy wtem z cienia, na szczęście Niemca, wyłonił się major „Ryś” — Trojanowski. Jego to uczepił się mój „towarzysz”, jak topielec ostatniej deski ratunku, a poznawszy majora Rysia ryknął „Herr Major retten sie mich”... Major „Ryś” nie

znając przebiegu zajścia, a widząc Niemca w tak wielkiej opresji, krzyknął na mnie: „Czerny, co robisz ! puszczaj“.

Rozkaz jest rozkazem, ma siłę działania, a przy tym i mnie minęło uderzenie do głowy, więc Niemca puściłem. A ten, nie czekając, zemknął tak szybko, iżem się z nim nawet pożegnać nie mógł... Jenom majora Rysia zdołał poinformować, że Niemca utopić szedłem...

„Kampa“ jednak musiała być dobra, bo zwój papierów, które major Trojanowski niósł krwią był obryzgany, a „Puffi“ — ten Bogu ducha winny przypadkowy współwinowajca zajścia — tak umknął, że na drugi dzień daremnie szukał po całym mieście jego śladów ordynans Niemiaszka...

Tak to dla Niemców w Pułtusk, feralnie zaczął się rok 1917, a na ciche miasto padł blady strach w oczekiwaniu spodziewanych represji. Jednak skończyło się tylko na strachu. Milczał o przygodzie swojej mój Niemiec, milczał i jego towarzysze. Może tylko Puffi rozgłosił ową historię wśród psiego towarzystwa...

Dzień następny po wypadku onym był Nowym Rokiem, jak to zwykle po Sylwestrze bywa... Był on dla Pułtuska podwójnie uroczystym. Jako święto i jako Niemców zgnębienie. Ja z tej racji w glorii chodziłem i zdaje mi się jednak, że pijany byłem w on czas tylko ten jeden raz...

ROZMOWA Z KOMENDANTEM

Nim przystąpię do opisu mojej rozmowy z Komendantem, mającej miejsce tuż przed Jego aresztowaniem, cofnąć się pragnę nieco wstecz, by skreślić tło sprawy, z jaką wówczas, przy okazji pobytu Komendanta w Krakowie, przybyłem i w jakiej o radę Jego prosiłem.

Sprawa ta dotyczyła wydalenia mego z Legionów przez niemiecki sąd Generałgubernatorski, a spowodowało ten wyrok następujące zajście:

W początkach maja 1917 r., w czasie postoju naszego pułku w Rożanie n. Narwią, przybyła w chwili obiadu delegacja zaściankowej szlachty z prośbą o „interwencję” przeciw niemieckiemu patrolowi rekwirującemu żywność w zaścianku i dopuszczającemu się przy tej sposobności różnych gwałtów. Mjr Burhardt-Bukacki, ówczesny dowódca naszego pułku, delegował mnie do „zlikwidowania” tego incydentu. Do pomocy dobrałem

sobie trzech żołnierzy z kompanii Wira Kunasa na rowerach, a sam siadłem na furmankę przybyszy.

Dzisiaj nie spomnę już nazwy owego zaścianka, tkwią mi tylko w pamięci wspaniałe, rasowe twarze jego mieszkańców. Dzieliła zaścianek ów od Rożanu odległość około 20 km i tę przebyliśmy galopem dzielnym, karym ogierem. Pamiętam domy zaścianka na wzgórzu rozsiadłe i szmer wozów ładownych, wypełnionych mieniem jego mieszkańców, wjeżdżających z bocznej drogi na naszą w chwili, gdy dosięgaliśmy celu...

Scena dalsza rozegrała się błyskawicznie już na szosie. Wozy zostały wstrzymane — komendanta patrolu pytam o rozkaz rekwizycyjny podpisany przez generała Besselera.

Nie ma.

„Rugam“ soczyście, już po polsku, patrol i jego komendanta, twierdząc, iż bezprawnie działają. Wreszcie konkluduję:

„Aresztuję patrol — oddać broń!“

Komendant patrolu, butna jakaś sztuka, w odpowiedzi na moje wezwanie rzuca podkomendnym, bez żadnych wstępów rozkaz: „Schiessen!“ i sam broń do strzału gotuje.

Ja, na „chycika“ wypadłszy od obiadu, jestem bez broni; rzucam się tedy na mojego Niemca i staram się mu broń wyrwać. Szamoczemy się. Reszta Niemców, nim broń naładować zdążyła, wzięta została na cel przez moich żołnierzy, mających zawczasu broń nabitą.

Tymczasem zdążyłem wyrwać broń komendantowi patrolu, a na ten widok patrol rzuca karabiny — poddaje się. Wozy rekwizycyjne wracają do wsi, a ja z aresztowanymi i ich karabinami idę na posterunek niemieckiej żandarmerii, gdzie składam meldunek o zajściu i domagam się spisania protokołu, oddając w ręce żandarma aresztowanych i ich broń.

W moim mniemaniu byłem w zupełnym porządku, a postępowanie patrolu uważałem za samowolne nadużycie, bo właśnie kilka dni przedtem został ogłoszony rozkaz Besselera, dopuszczający przeprowadzanie rekwizycji tylko tym, którzy wylegitymują się rozkazem rekwizycyjnym, podpisanym przez samego generała.

Sprawa zdawała się zatem zlikwidowana bez żadnych nadzwyczajności i jeżeli spodziewałem się jakichś konsekwencji — to tylko wezwania na świadka przeciw komendantowi patrolu, gefreiterowi Johanowi Bochenkowi (!).

Stało się jednak inaczej. Zostałem postawiony przed sąd, a, broniąc się, powoływałem się na rozkaz gen. Besselera, przysłany i do formacyj legionowych. Zatem każdy, co rozkaz ten znał, winien był nie tylko zastosować się do niego, lecz również tępić objawy niestosowania się do zawartych w nim rozkazów. Poza tymi prawnymi momentami podnosiłem ponadto kwestię moralnego obowiązku przeciwstawiania się wszelkim nadużyciom, zmierzającym do krzywdzenia mych

współrodaków przez rozwydrzonego żołnierza niemieckiego. Na dowód tego przytaczałem fakt przeprowadzania wprost dzikiej rekwizycji przez patrol gefreitra Johana Bochenka.

Patrol ten tam, gdzie nic cenniejszego znaleźć nie mógł, z zemsty za zawiedzione nadzieje tłukł garnki z mlekiem, posztukując przy tym boleśnie lamentujące kobieciny, dla których, w tych czasach, nawet gliniany garnek był częstokroć majątkiem.

Inaczej na te sprawy zapatrywał się prokurator, jakiś major z Niemieckiego Korpusu Sądowego. W replice swojej z całym naciskiem podkreślił:

„Nikt nie ma prawa badać tego, co robi żołnierz niemiecki na zdobytej przez siebie ziemi. Tylko żołnierz niemiecki może sądzić czyny drugiego niemieckiego żołnierza.“

Sprawa moja zatem przedstawiała się niewesoło. Na razie sąd odroczył wydanie wyroku. O wyniku sprawy na moją niekorzyść dowiedziałem się w Krakowie, przeczytawszy jego sentencję w krakowskim „Naprzodzie“ gdzieś około 20 czerwca.

W tym właśnie czasie bawił w Krakowie Komentant po swych znanych wystąpieniach w Radzie Regencyjnej i rezygnacji z jej członkostwa.

Udałem się zatem do Komendanta na ulicę Szlak z prośbą o radę, jak mam postąpić, gdyż wyrok skazywał mnie na karne wydalenie z Legionów z nakazem natychmiastowego stawienia się do wojska austriackiego.

Do Komendanta wybrałem się z ppor. Porębą-Czuryłło. Komendant w tym czasie był widocznie przybity. Rozmawiając z nami już nie chodził, jak dawniej, po pokoju, gdy nadmiar myśli i planów, cisnących Mu się nieubłaganie pod czaszkę, zmuszał Go do wyładowywania tego nadmiaru gromadzącej się energii. Przeciwnie, po wysłuchaniu mej sprawy Komendant stanął; był wyraźnie smutny i po chwili dopiero rzekł:

„Cóż radzić ci mogę? Sam nie wiem, co będzie ze mną, gdy wrócę do Warszawy — dzisiaj jeszcze moje. — Ha, może najlepiej będzie: wracaj do pułku i siedź, dokąd cię nie będą łapać za kołnierz, a wtedy to cię pułk i skryć potrafi“.

Znów się chwilę zamyślił, po czym z większym ożywieniem i naciskiem powtórzył:

„Tak, wracaj do pułku i siedź!“

Potem zwrócił się do Czuryłły i zlecił mu ostemplowanie Swego dokumentu podróży na wyjazd do Warszawy.

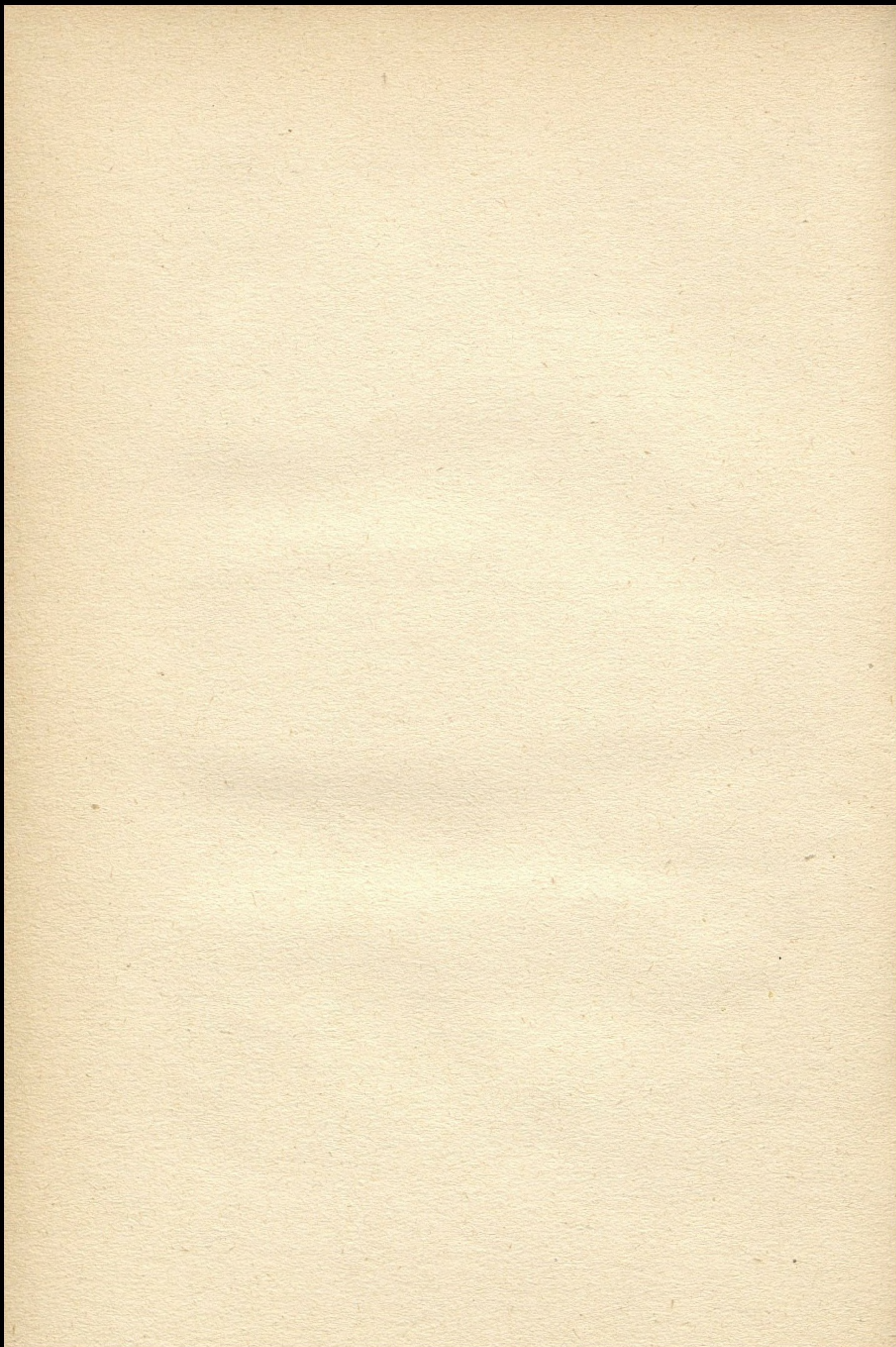
Gdy później dowiedziałem się o aresztowaniu i wywiezieniu Komendanta odniosłem wrażenie, że wtedy, gdy właśnie doradzał mi stanowczo powrót, sam postanowił również Swoją powrót, by wyjść naprzeciw temu nieznanemu jutru, które w Warszawie na Niego czyhało...

Kości zostały rzucone.

Komendant spalił za Sobą mosty — w Warszawie czekały już Nań więzy niewoli.

II

BEMAKI



MIASTO W ZASIEKACH Z SERC

Wyjdź o wieczornej godzinie na najwyższy szczyt miejskiego wzgórza, gdzie spośród zieleni drzew Wysokiego Zamku pnie się wzwyż kopiec, przeszłości pamiątka... Wyjdź na szczyt kopca i ogarnij wzrokiem rozłożone w podkowę grodziszcze. Lśni ono tysiącem latarni, a tam hen, gdzie w mrokach nocy giną światła szeregi, tam w roku onym piętrzył się wał dziecięcych serc, by w grodu ulice nie dopuścić wroga... W zasiekach z serc dziecięcych trwało miasto, ufne w moc swych obrońców... Lwi Gród w roku onym ciężarnym mnogością wielkich wydarzeń, na przełomie nowej, idącej wielkimi krokami, epoki, pisał krwią swych pacholąt historię nową, świadczącą, iż w lwim ciele lwie tylko może bić serce.

O Miasto — na dziesiątkach wzgórz rozsiadłe szeroko — tak miłe, iż nikt obojętnie nie może przejść poprzez jego uliczny bruk... Za serce

chwytasz każdego przechodnia, zostawiając w pamięci jego trwałe ślad.

Tak się w życiu moim złożyło, iż z murów Twoich wyszedłem na wielką wojnę w roku 1914, by obejść w koło granice przyszłej Rzeczypospolitej i wrócić w mury Twe stając w szeregu Twoich obrońców.

Pamiętne dni sierpniowe roku 1914, gdy poprzec ulice Twoje przewalał się tłum synów Twoich, a choć mundur najeźdźcy okrywał ich ciała, każda piosenka i okrzyk każdy drgał wielką miłością Ojczyzny i dziwną pewnością Jej zmartwychwstania...

Już wtedy wiał wiatr wolności przez ulic Twoich tunele; ciężki okres czteroletniej wojny zapadł w przeszłość koszmarną nocą ostatniego października 1918 roku, a ocknął się w przyszłość nową pierwszym rankiem listopadowym 1918 roku.

Ramionami dzieci Twych chwyciłeś Ty pierwsze, o Miasto, za broń, by walczyć o wolność Narodu i Państwa. Tyś jest przeto senatorem wśród miast Rzeczypospolitej i Twoja w Niej największa chwała.

BEMAKI

Wspomnienie z obrony Lwowa

I

Tyle lat już minęło, a jednak te czasy są dla mnie zawsze jednakowo bliskie. Pamiętam dokładnie, ze wszystkimi szczegółami, wydarzenia lwowskie, których byłem świadkiem i uczestnikiem.

Utarło się mylne przekonanie, że opanowanie Lwowa przez ruskie oddziały, rekrutujące się z wojsk austriackich, było zaskoczeniem społeczeństwa polskiego w kołach P. O. W. Tymczasem znano te zamiary, znano też austriackie kombinacje, które w związku z tym przeprowadzały władze wojskowe.

W czasie poprzedzającym wypadki lwowskie w listopadzie 1918 r. kryłem się w lasach dóbr „Podlwowskich“ hr. Potockiego, gdzie pod nazwiskiem Witolda Stankiewicza byłem zajęty jako

adiunkt lasowy. Rzadko przyjeżdżałem do Lwowa; poważną przeszkodą była znaczna odległość miejsca mego zamieszkania od miasta, a jednak wiedziałem o planach Rusinów.

Ostatni byłem raz we Lwowie gdzieś w połowie października. W tym to czasie kolega mój z legionów por. Deschaou uprzedził mnie o mających nastąpić wypadkach.

Rusini wyznaczyli uprzednio termin zajęcia Lwowa na dzień, zdaje mi się, 22 października. Obecnie przypominam sobie tylko dzień tygodnia: miało to być w piątek, ja zaś byłem we Lwowie w niedzielę, tuż przed, lub po 15 października. Nie wiem, dlaczego Ukraińcy odroczyli zamach o cały tydzień.

O dokonanym zamachu, dowiedziałem się dnia 30 października na stacji Chlebowice-Bóbrka. Widziałem jednak gromady żołnierzy Rusinów idących od strony Lwowa lub jadących natłoczonymi pociągami. Przypuszczałem więc, że znów z powodu rozplynięcia się ruskiej „siły zbrojnej“ zamach na Lwów pozostał w sferze zamiarów. Ważniejszą więc sprawą, niż natychmiastowy wyjazd do Lwowa, wydało mi się zorganizowanie na miejscu oddziałów z Polaków, jeńców rosyjskich, którzy pracowali w okolicznych lasach i majątkach. Na terenie powiatu było około 500 takich jeńców — mogłem więc ważyć się w razie powodzenia akcji na jego opanowanie. Jednak usiłowania moje spełzły na niczym, bo

jeńcy nie tylko nie okazali zapału dla moich planów, ale nawet zadenuncjowali mnie na posterunku żandarmerii w Chlebowicach. Szczęśliwie się dla mnie złożyło, że jedyny żandarm, Rusin, nie był na posterunku w czasie, gdy jeńcy składali swoje zeznania, żandarmi-Polacy zaś uprzedzili mnie o denuncjacji.

Podczas tych perypetyj przypadkowo zupełnie uświadomiłem sobie, że Lwowowi grozi poważne niebezpieczeństwo. Na stacji Chlebowice-Bóbrka zobaczyłem przejeżdżające transporty doskonale uzbrojonych i umundurowanych Strzelców Siczowych. Postanowiłem więc nazajutrz, 3 listopada, wczesnym rankiem udać się do Lwowa.

Konie już czekały i ja byłem gotów do odjazdu, gdy nagle na leśniczówkę zjechał furmanką patrol ukraiński, złożony z kilkunastu ludzi, celem przeprowadzenia rewizji. „Adiunktówka“, w której mieszkałem, stała po przeciwnej stronie drogi, naprzeciw leśniczówki. Z okien mego mieszkania mogłem więc obserwować zachowanie się patrolu. Zastanawiałem się co robić. W domu miałem sztucer Manlichera, dubeltówkę i pistolet repeterowy „Steyer“ dużego kalibru, szablę i całe umundurowanie legionowe. Nie wiedziałem, co mam robić. Czekać na patrol i rewizję nie chciałem, zabrać broń i skryć się w lesie — wyglądało na ucieczkę przed byle bandą, „wygarnąć“ z okna mego mieszkania do wychodzącego z leśniczówki patrolu i dopiero ustępować w las przed naporem,

było aktem beznadziejnym. Znajdowałem się przecież w morzu ludności ruskiej, ba, nawet mój furman czekający z końmi na podworcu był Rusinem, kapralem-dezerterem z wojska austriackiego. Gajowy Fedko, zamieszkujący drugą połowę adiunktówki także był Rusinem. A jednak coś przecież trzeba było przedsięwziąć.

Decyzja przyszła nagle, pod wpływem gniewu i to nie tyle rozumna, ile szczęśliwa. Stało się to w chwili, gdy patrol po opuszczeniu leśniczówki, i ograbieniu zarządcy lasów p. Gałuszki, któremu zabrał jego cenną broń, kilkadziesiąt par butów robotniczych oraz wór wędlin, ucieszony cenną a łatwą zdobyczą, rozpoczął na terenie między moim domem a leśniczówką strzelaninę „na wiwat”. Wściekły wypadłem z mego mieszkania, podbiegłem do wiwatującego patrolu i rozpocząłem wymyślanie litanią soczystych słów. Jednocześnie wplotłem w tę moją modlitwę przekleństw pouczenie, że darmo nie wolno nikomu marnować amunicji, a kula choć w górę wystrzelona, wraca jednak na ziemię, gdzie zranić lub zabić może nawet kogoś z najbliższych wiwatującego patrolu.

Moje wystąpienie tak zdetonowało bohaterskich „mołojców”, że zapomnieli o rewizji u mnie, powiedzieli tylko nieśmiało, że nie powinieniem na nich krzyczeć, wsiedli na oczekującą na nich furmankę i pojechali do sąsiedniej wsi.

Tak więc broń moja została chwilowo uratowana. Ukryłem ją w wózku i pojechałem do Lwowa.

II

Jesień tego roku była wyjątkowo piękna. Może to takie zadośćuczynienie natury za nieudaną wiosnę. Dość miałem czasu, aby rozmyślać na takie tematy, gdyśmy wjechali na boczny trakt do Lwowa. Droga wiodła przez las, było ciepło i pogodnie. Patrzyłem i zachwyciałem się kontrastami barw czerwono-złotych jesiennych lasów i jakoś zapominałem i o broni, ukrytej pod moimi nogami w wiązce siana i o celu podróży. Nawet nie myślałem o mym niebezpiecznym towarzyszu: furmanie-Rusinie. Dopiero w pobliżu Lwowa, gdzieś na wysokości Pasiek Zubrzyckich, silna palba karabinowa wyrwała mnie z pogodnego nastroju. Później dowiedziałem się, że było to końcowe już stadium walki o stację Iskrową na Persenkówce...

O zmroku ucichł odgłos walki. Ciemno już było zupełnie, gdy wyjechałem na gościniec bity pod Sokolnikami. Lwów niedaleko. Wiedziałem, że w mieście nie znajdę pomieszczenia dla koni, zatrzymałem się więc na folwarku Bednarówka. Pomysł ten okazał się szczęśliwy. Opodal leżąca rogatka Stryjska obsadzona była przez Ukraińców. Oni też obsadzali stację Persenkówkę, Zieloną Rogatkę, Kulparków, tj. południowe krańce miasta, zamykając w ten sposób dostęp do niego. Cisza, jaka panowała, nie pozwalała zorientować się w rozmieszczeniu nieprzyjacielskich placówek,

nocowałem zatem na folwarku. Broń, na prośbę dzierżawcy folwarku, ukryłem na podwórzu w stogu słomy. Pewne wytyczne orientacyjne dał mi miejscowy kowal Polak. Nazajutrz wczesnym rankiem postanowiłem się przeprawić do miasta...

III

Następnego dnia, jeszcze przed wschodem słońca, wyszedłem przed dom, by furmanowi memu dać dyspozycję powrotu. Na bocznej drodze koło folwarku spotkałem idących od strony Sokolnik artystę malarza Gutowskiego i znanego mi b. chorążego artylerii leg., którego nazwiska jednak nie pamiętam. W rozmowie dowiedziałem się, że oni także idą do Lwowa, postanowiliśmy więc drogę tę odbyć wspólnie. Broń jednak radzili mi pozostawić, gdyż nie znaliśmy sytuacji, i nie mieliśmy dostatecznej ilości amunicji, łatwo przeto mogliśmy wpaść w ręce mściwego nieprzyjaciela. Rzeczywiście miałem tylko po kilka naboio do każdego rodzaju broni, schowałem ją więc — wśród konarów jednego z drzew, rosnących na obwodzie folwarcznego ogrodu. Na razie wybraliśmy drogę polną biegnącą od folwarku Bednarówka do Skniłówka i Skniłowa. Idąc tą drogą wzdłuż frontu nieprzyjaciela, a poza jego plecami, mogliśmy się orientować w lukach i możliwościach przejścia przez front.

Tak dotarliśmy aż do drogi Sokolniki—Bogdanówka, którą skierowaliśmy się do Kulparkowa. Tu wstąpiliśmy do restauracyjki, mieszczącej się naprzeciw bramy wjazdowej wiodącej do Zakładu Psychiatrycznego. Chcieliśmy się posilić i zasięgnąć języka. W chwilę po naszym wejściu do szynku, właścicielka jego gwałtownie zaczęła zamykać zewnętrzne drzwi i okiennice, oznajmiając nam ze strachem, że idą Ukraińcy...

Poprzez szpary w drzwiach widzieliśmy wybiegającą spoza ogrodzenia zakładowego kompanię siczowych strzelców. Oddział ten ustawiał śpiesznie karabiny maszynowe na gościńcu, zwracając wyloty luf w kierunku Lwowa. Reszta kompanii dążyła śpiesznie w kierunku przeciwnym. A więc odwrót...

Karabiny maszynowe kryły ruch piechoty. W odległości kilkudziesięciu kroków, ukryci za zamkniętymi drzwiami, musieliśmy beczynn timer patrzeć na niczym nie wytłumaczony ruch nieprzyjaciela. *Ze* złością myśleliśmy o swojej zbyt ostrożności i broni pozostawionej na folwarku. Wystarczył przecież tylko jeden strzał, by obsługa karabinów maszynowych nie mogła ich już zabrać, sądząc, że jest oskrzydłona.

Ruszamy natychmiast, skoro tylko można. Idziemy drogą po prostu zasłaną amunicją karabinową, granatami ręcznymi, ba, nawet częściami rynsztunku żołnierskiego. Wyobrazić można sobie panikę nieprzyjaciela. Nie dostrzegamy jednak

niebezpieczeństwa, które stało się przyczyną tej bezładnej ucieczki. Nagle, gdy wysunęliśmy się poza ostatnie budynki Kulparkowa, obsypał nas grad pocisków karabinowych: walimy się co rychlej w przydrożny rów, atakujący strzelają bez przerwy, nie ryzykując jednak opuszczenia dotychczasowych stanowisk i posunięcia się naprzód. Chusteczkami uwiązanymi na kijach, dajemy znaki poddania się, ale i to nie pomaga, widocznie zapal wojenny ogarnął całą linię. Pozostawanie na miejscu naraża nas na ryzyko powrotu nieprzyjaciela. Pełzniemy więc rowem w kierunku toru kolejowego, dosiegamy wykopu. Na torze leży trup, pod mostem kryje się kilka postaci. Wdrapujemy się na przeciwległą ścianę wykopu i stąd ponawiamy znaki chusteczkami. Nareszcie ustaje ogień. Ryzykujemy wyjście na wierzch.

Naprzeciw nas zrywa się cała linia atakujących, dziwnie małych postaci. Zrazu sądzimy, iż żołnierze ku nam biegnący posuwają się skuleni. Wkrótce jednak poznajemy pomyłkę. Żołnierze biegną wyprostowani, ale żaden z nich nie osiągnął jeszcze wzrostu dorosłego człowieka. To chłopcy.

Otacza nas ta „żołnierska“ gromada, wykrzykując cienkimi głosami. Mam wrażenie, że znajduję się na Wałach Hetmańskich wśród rozświergotanych wróbli...

Dowódcą tej ptaszkarni jest znajomy mój sprzed wojny, słuchacz Techniki ppor. Aślanowicz. Witam się z nim, objaśniam mu sytuację, jaka

obecnie panuje po tamtej stronie linii, nawzajem proszę o informacje, szczególnie o podanie mi miejsca postoju jakiegoś dowództwa obrony Lwowa.

Aślanowicz informuje mnie o wszystkim, wskazuje równocześnie widny w dali budynek szkoły Sienkiewicza. Zdawało by się, że nareszcie nic już na nas nie ciąży, że jako wolni ludzie możemy samodzielnie skierować się do dowództwa. Niestety, podkomendni Aślanowicza nie chcą słyszeć o puszczeniu nas wolno... Formalnie przecież wzięli nas do niewoli, myśmy chęć poddania wyrazili białą „flagą” i gdy trafiła się im po raz pierwszy w życiu taka gratka, że pojмали trzech takich Budrysów, nie mogą dobrowolnie zrezygnować z widomej chwały zwycięstwa.

Nie obchodzi ich to, że rzeczywiście przed tymi kilkunastoma bachorami uciekła kompania wojska uzbrojona w karabiny maszynowe, ani też fakt, że żołnierzy tej kompanii ogarnęła taka panika, że nawet pasy z ładownicami rzucali, by ulżyć sobie w odwrocie. — Tego nie widzą, nie mogą nikomu pokazać i sami nawet nie będą oglądać owoców swego zwycięstwa. Za mało ich, by mogli przejść tor i obsadzić Kulparków. My trzej zaś — to przecież oczywisty znak ich zwycięstwa. Nie mogą serca dziecięce zrezygnować z przeżycia takiego triumfu. Nie pomagają nic ani nasze, ani Aślanowicza tłumaczenia, gromadka z zapalem świergoce wciąż jedno i to samo: „ale przecież wzięliśmy ich do niewoli“...

Nie ma rady, trzeba się poddać „przemocy”. Asłanowicz rezygnuje też z dalszego oporu i machnawszy ręką wyznacza 3 konwojentów. Ruszamy jako niewolnicy do dowództwa. Nie wiemy, czy śmiać się, czy z poważną miną, odpowiadającą nastrojowi chwili, kroczyć przed tymi trzema „siepaczami”. Nasze wzajemne pod tym względem wypowiedane uwagi przerywa nagle, dyszkantem rzucony rozkaz: „Nie wolno rozmawiać! W razie ucieczki strzelamy!” Słowo „strzelamy”, tak władnie było wypowiedziane, że musieliśmy się zastosować do rozkazu i na zawsze zrezygnować z zamiaru ucieczki.

Jesteśmy wreszcie w dowództwie. Eskorta nasza wprowadza swych „jeńców” do jednej z sal w szkole Sienkiewicza. Stajemy przed obliczem kpt. Zagórskiego. Nasi mali wojacy mieli jednak rację, jesteśmy jeńcami...

Kpt. Zagórski przeprowadza formalne badanie. Na moją uwagę, iż lepiej by było kazać pozbierać porzuconą na drodze kulparkowskiej amunicję, kpt. Zagórski odburkuje niezadowolony: „sami doradcy”. A gdy dowiaduje się, że wszyscy trzej jesteśmy byłymi Legionistami, a dwaj z nas w dodatku oficerami, jest wyraźnie niezadowolony.

— Nie trzeba nam oficerów, trupów nie ma kto grzebać, — powiada.

Z przerażenia włosy mi się jeżą, myśl potworna czepia się mózgu... Więc cała ludność Lwowa wybita. — Malcy, walczący tam na peryferiach

miasta, to widocznie ostatni Mohikanie tego grodu, a ten ponury kapitan sprawuje urząd Wojskiego nad trupami.

Z determinacją więc, jako przymusowy ochotnik-grabarz, proszę o łopatę. W tej chwili do sali wchodzi por. Deschoau. Wita się z nami zupełnie swobodnie. Nie jest widocznie tak źle... Ostatecznie por. Deschoau wybawia nas z opresji i prowadzi do kpt. Boruty-Spiechowicza. A tu dostaję rozkaz udania się na ulicę Bema i objęcia tam dowództwa nad poszczególnymi jednostkami, tworzącymi prowizoryczną linię bojową frontu. „W posagu“ kpt. Spiechowicz daje mi 30 ochotników. Resztę dnia spędzam w szkole Sienkiewicza, na organizowaniu i uzbrajaniu swego oddziału. O zmroku ruszamy autem ciężarowym na Bema; Gutowski przyłącza się do nas.

IV

Z ochotnikami moimi dojeżdżam do ulicy Królowej Jadwigi, gdzie znajduje się rezerwa placówki: róg ulicy Bema i Gródeckiej. Znajdujący się tu ppor. Jarzębiński objaśnia mi sytuację tej części ulicy Bema, po czym prowadzi do oddziału ppor. Kułakowskiego, mieszczącego się w magazynie prowiantowym na rogu ulicy Bema i Janowskiej. Znów otrzymuję objaśnienia co do sytuacji tej placówki, również informuje mnie ppor. Kułakowski, iż dowódcą prawej części ulicy Bema, tj.

od strony ul. Gródeckiej jest niejaki Ordon Śledziński. Zlecam wysłanie łącznika po Śledzińskiego, a tymczasem wysłuchuję historii walk na tym odcinku.

Dotychczasowy przebieg wypadków na ulicy Bema jest następujący: dnia 2 listopada mały patrol ochotniczy z podchorążym Pachuliczem na czele, idąc z ulicy Kordeckiego na plac Bema, zobaczył na rogu ul. Bema i Gródeckiej pluton ukraiński. Pachulicz, niezauważony przez Ukraińców, otworzył ogień na nieprzyjacielski pluton. Nieprzyjaciel po oddaniu kilku strzałów cofnął się w dół ul. Gródeckiej ku koszarom Ferdynanda, Pachulicz zaś tą samą drogą, którą przybył, wrócił w górę dzielnicy Gródeckiej. — To były pierwsze strzały, które padły na ul. Bema...

Dnia następnego tj. 3. XI. Pachulicz namówił kilku znajomych do stworzenia większego oddziału, by uderzyć na koszary Ferdynanda.

Wieczorem już z zaagitowanymi przez siebie do wspólnego działania patrolami, wyruszył tą samą drogą, jak w dniu poprzednim, na ul. Bema. W skład tego skonfederowanego oddziału weszły patrole: ppor. Jarzębińskiego, sierż. leg. Ordon Śledzińskiego, sierż. Stanisława Gila i rzekomego porucznika Mazura. Oddział ten liczył około 50 karabinów. Komendę nad nim objął, wie dziony młodzieńczym tupetem, Ordon Śledziński. W drodze spotkano oddział ppor. Kułakowskiego, który dążył też w kierunku ul. Bema.

Dokonano podziału obrębów działania i na placu Bema rozdzielono się, przy czym oddział kombinowany ze Śledzińskim skręcił na prawo, Kułakowskiego zaś na lewo. Obydwa oddziały po krótkiej walce zajęły: pierwszy — róg ul. Bema i Gródeckiej, drugi — róg ul. Bema i Janowskiej; w ten sposób powstał początek przyszłej linii odcinka Bema.

Oddział Kułakowskiego liczył około 20 ludzi, zatem obsada ul. Bema liczyła około 70 karabinów łącznie.

Dnia 4 listopada placówka Bema-Gródecka usiłowała zaatakować koszary Ferdynanda, dobierając jeszcze pewną liczbę przybyłych ochotników. Bazą wypadową były składy drzewa leżące przy ul. Gródeckiej naprzeciw koszar Ferdynanda. Atak ten jednak załamał się pod ogniem karabinów maszynowych, przy czym padło 4 zabitych. Jeden z zabitych, uczeń gimnazjalny niewiadomego nazwiska, został pochowany na parceli budowlanej róg Bema i Gródeckiej po stronie numerów nieparzystych.

W dniu tym, ppor. Kułakowski został zaatakowany od tyłu, tj. z góry ul. Janowskiej przez pluton ukraiński uzbrojony w karabin maszynowy. Ppor. Kułakowski rozbił jednak nieprzyjacielski pluton, zdobył jeden karabin maszynowy i kilka ręcznych.

Wieczorem tego dnia przybyłem na ulicę Bema.

Wspólnie ze Śledzińskim, w którym poznałem swego kolegę i sierżanta z Legionów, uplanowaliśmy ogólny atak na koszary Ferdynanda.

Plan działania był następujący: mały oddział miał zająć róg ulicy Wolność, aby kryć lewe skrzydło i paraliżować ruchy nieprzyjacielskie skutecznym ogniem flankowym. Do akcji postanowiono wciągnąć załogę Góry Jura: miała ona przez markowany atak na główny budynek koszar Ferdynanda odciągnąć pewną ilość obsady koszar na przeciwległą stronę budynku. Większość zaś sił moich uderzyłaby w kierunku na główny budynek koszar poprzez zabudowania obiektów koszar. Śledziński miał za zadanie porozumieć się z załogą Góry Jura.

V

Dzień 5 listopada rozpoczął się od ataku ukraińskiego na nasze pozycje od strony kościoła św. Anny w górę ul. Janowskiej. Atak odparliśmy.

Godz. 8 rano, czas, by rozpocząć planowaną akcję. Zawiadomiliśmy sąsiedni odcinek „Góry Jura” o przedsięwziętym ataku, prosimy też tamtejszego dowódcę kpt. Łozińskiego, by poparł nas markując atak na główny budynek koszar od ul. Gródeckiej.

Z trzema ludźmi udałem się do kamienicy przy ul. Wolność nr 5. Weszliśmy przez podwórze i ogrody Zgromadzenia SS. Felicjanek. Otworzy-

liśmy bramę, przebiegliśmy w poprzek ulicę, pozostając pod ostrzałem ukraińskiego karabinu maszynowego i dostaliśmy się do wnętrza bramy kamienicy Wolność nr 6. Brama jednak była zamknięta i nikt jej nie otworzył mimo kilkakrotnych natarczywych dzwonków. Poleciałem więc żołnierzom wejść przez okna na parterze.

Żołnierze wybili szyby i weszli do mieszkania na prawo od bramy. W tym momencie wypadł z koszar Ferdynanda patrol, złożony z 10 ludzi; zbliżają się ku nam szybko, aby nas ubiec, względnie nie dopuścić do zajęcia upatrzonego stanowiska. Widząc to, poleciałem żołnierzom dostać się jak najprędzej do kamienicy narożnej i zająć stanowisko w mieszkaniu na pierwszym piętrze, sam zaś pozostałem we wnętrzu bramy i ostrzeliwałem atakujący patrol. Padło 2 ciężiej rannych Ukraińców, których towarzysze zabierają do koszar, jeden lżej ranny postępuje za tamtymi. Wypad patrolu ukraińskiego został w ten sposób zlikwidowany.

Czekam, by moi ludzie dali mi znak, że zajęli stanowisko. Otrzymawszy go wróciłem drogą, którąśmy przyszli, do głównych sił atakowych. Ruszyliśmy do ataku zgodnie z planem ułożonym w nocy.

Prędko i łatwo zajęliśmy magazyny i stajnie koszar Ferdynanda.

Gwałtowność naszego ataku zupełnie dezorientowała nieprzyjaciela. Nie mogliśmy jednak prze-

biec małej odległości (30 kroków) dzielącej nas od głównego budynku koszar. Załoga „Góry Jura” ze swojego dominującego stanowiska, zasypywała kulami tę małą przestrzeń. Ogień flankowy, pod który weszlibyśmy, groził nieobliczalnymi stratami. Oddział nasz znajdował się w stajniach koszarowych. Naprzeciw, przez okna koszar, widzieliśmy przechodzących korytarzami żołnierzy ukraińskich z tobołami i karabinami na plecach. Widocznie nieprzyjaciel wycofywał się z koszar. Jednak, wskutek własnego ognia zaporowego, dostęp do koszar był niemożliwy.

Staję w szerokich drzwiach stajni, tuż koło mnie ppor. Kułakowski, dalej pchor. Klauzal, za nami kilku żołnierzy i przesyłamy znaki załodze „Góry Jura”. Nic to jednak nie pomogło. Przeciwnie, załoga tego bastionu, biorąc nas za Ukraińców, zostaje zdopingowana naszym widokiem i skierowuje ogień na nas. Pada ppor. Kułakowski i 5 żołnierzy. Zrozpaczony tak tragicznym i nieoczekiwanym załamaniem się naszego ataku, wybiegłem ze stajni, aby jak najprędzej dostać się na Górę Jura i przerwać morderczy ogień. Szczęśliwie dostałem się na ulicę Bema, tu jednak czekała mnie jeszcze jedna zapor. Byłem ubrany jeszcze po cywilnemu, w rękę zaś trzymałem karabin; nic więc nie wskazywało na moją szarżę ani piastowaną godność, przy tym żołnierze tej strony odcinka ul. Bema nie znali mnie wcale. Toteż, żołnierz pełniący służbę u wylotu ul. Bema

przy Gródeckiej wziął mnie za uciekającego z frontu łazika i zmusił do zatrzymania się. Nic nie pomogło moje tłumaczenie, ani podawanie szarży. Żołnierz z przekąsem powiada, silnie zaciągając łyczakowską gwarą: „A ta ja też rotmistrzem jestem, (ubrany był rzeczywiście w mundur austriackiego rotmistrza ułanów), tak odknaj z powrotem, bo kuksa kolbom dam, ta już“.

Nie ma na to rady, wszystko się dzisiaj sprysnęło przeciw nam! Gdy wreszcie odnalazłem Śledzińskiego i mogłem wreszcie pójść na Górę Jura, było już za późno. Nieprzyjaciel zorientował się w sytuacji i nie tylko wstrzymał ewakuację koszar, lecz silnym ogniem dał znać o swoim obronnym stanowisku.

Następnego dnia tj. 7 listopada zmarł w szpitalu na Technice ppor. Kułakowski, 2 ranni żołnierze skonali na miejscu; pochowano ich na podwórzu koszar koło Magazynu Sanitarnego.

Straty, zadane nam przez sąsiadów, zmusiły nas do wycofania się z rejonu zagrożonego ich ostrzałem.

Tak załamał się nasz atak i nie udało się pewne jak się już zdawało, zajęcie koszar Ferdynanda, koło których mieliśmy jeszcze kilka dni obficie przelewać krew. A był to ostatni moment, kiedy możliwe było zajęcie koszar, które podówczas jeszcze nieprzyjaciel obsadzał żołnierzem, rekrutującym się z małoideowych byłych żołnierzy austriackich pułków... Już następnego dnia nie-

przyjaciół, doceniając wagę placówki, obsadził obiekty koszar batalionem „Siczowych strzelców”, a więc żołnierzem doborowym i ideowo bardzo wyrobionym. Batalion ten zamienił koszary w twierdzę nie do zdobycia.

Wśród załogi „Góry Jura” nie było nikogo, kto by umiał instruować młodego i niedoświadczonego ochotnika; nie znalazł się nikt, kto by odpowiednio kierował wojennym animuszem oddziału. Powtórzył się jeszcze raz znany w wojsku austriackim w czasie wojny światowej fakt, że poszczególne oddziały walczyły między sobą. Winę za to ponoszą tylko oficerowie, posiadający mało zmysłu orientacyjnego.

W wypadkach tego dnia, jak i potem bywało, mścił się brak współpracy poszczególnych dowództw odcinkowych w przeprowadzanej akcji. Wielu osobiście nawet bardzo odważnych oficerów nie miało jednak warunków, potrzebnych do sprawowania dowództwa. Dowództwa obsadzano według potrzeb politycznych, a nie wojennych. Lwów składał ofiarę z życia dzieci-żołnierzy na ołtarzu walki partyjnej. Wiele trzeba będzie spalić kadzideł, by matkom łzy osuszyć. Będą miały pociechę: „Pamięć Lwowa o bohaterach”...

W ataku wyżej opisanym straciliśmy ogółem trzech zabitych i jedenastu rannych. Około 20 ludzi przerażonych wynikiem ataku — zdezerterowało. Moje uszczuplone siły zmusiły mnie do powrotu na pozycję wypadową i skrócenia linii;

musiałem to zrobić także dlatego, by przywrócić porządek w oddziałach.

W sytuacji, jaka się teraz wytworzyła, prawe skrzydło obsadziło kamienicę przy ul. Bema 2 (sierż. Gil i Śledziński), kamienicę 12 (chor. Hornung) i kamienicę 22 (śp. ppor. Wańczyk). Lewe skrzydło zajęło magazyn położony tuż przy ul. Bema (róg Janowskiej), Komendę Piekarni Wojskowej przy ul. Janowskiej, kamienicę Janowska 26 (róg ul. Wolność), oraz placówkę łącznikową: Zgromadzenie SS. Felicjanek przy ulicy Janowskiej.

Na tej części odcinka specjalnie dawał się we znaki brak dowódców dla poszczególnych placówek. Mogłem jedynie dysponować dwoma podchorążymi-legionistami, a to plut. Bogumiłem Rembowskiem i sierż. Walankiem. Pierwszy z 5 p. p. Legionów, drugi z 6 p. p. Leg. Ci dwaj ludzie w pierwszych początkach musieli pracować dosłownie na wszystkich eksponowanych punktach — mimo że ich wyczerpanie fizyczne i nerwowe dobiegało kresu... Trwali jednak z uporem — broniąc się z największym wysiłkiem przed załamaniem psychicznym. Wysilek fizyczny i moralny tych dwóch dzielnych ludzi ocenić może tylko ten, kto patrzył na nich w te dni, tak jak ja. Jasno zdawałem sobie sprawę z ich wyczerpania, a jednak słać ich musiałem na eksponowane i najodpowiedzialniejsze stanowiska. Niekiedy tylko wypełniając

braki, używałem do służby patrolowej i wypadów podchor. Alfreda Klauzala, pełniącego funkcję oficera gospodarczego całego sektoru i zgłaszającego się w każdej wolnej chwili na ochotnika. Ci trzech ludzie to początkowa obsada oficerska lewego skrzydła sektoru, ciągnącego się od placu Bema do ul. Wolność i pomnika Kapuścińskiego i Wiśniowskiego. Sektor Bema zawdzięcza im bardzo wiele.

Tej samej nocy Ukraińcy zaatakowali „Górę Stracenia“ i zmusili por. Abrahama do opuszczenia dotychczasowych stanowisk.

Groziło więc nam otoczenie z lewego skrzydła, gdyż „Góra Stracenia“ cofnięta jest dość głęboko w tył za tym skrzydłem. Wykorzystując więc przybyłe mi w tej chwili posiłki ze szkoły Sienkiewicza, przyprowadzone przez podporuczników Władysława Kasztelewicza i Stanisława Bieniawskiego, obsadziłem nimi młyn Thoma i ogród ss. felicjanek przy ul. Janowskiej. Jednak Ukraińcy nie utrzymali się długo na „Górze Stracenia“. Zaraz po północy por. Abraham kontratakiem wyparł nieprzyjaciela i odzyskał utraconą pozycję, co dało mi możliwość ściągnięcia z powrotem nadprogramowej ochrony lewego skrzydła i użycia tych sił na odcinku środkowym.

Na dzień 6 listopada zapowiedziano zawieszenie broni. Jednak wobec sytuacji, w jakiej znajdowało się moje lewe skrzydło oparte o róg ulicy Wolność-Janowskiej, wobec tego że oddziały por.

Abrahama pozostawały na szczycie „Góry Stracenia“, miałem flankę i tyły odkryte. W takich warunkach bezczynność z naszej strony byłaby karygodną. Respektowanie zawieszenia broni z mej strony było niemożliwe. O tym, że nie uznałem zawieszenia broni, daję poznać nieprzyjacielowi przez silne ostrzeliwanie jego pozycji przed i po godzinie, od której zawieszenie obowiązywało...

Jak to już nadmieniałem, w nocy otrzymałem od kpt. Boruty Spiechowicza uzupełnienie w ilości 2 oficerów i 23 żołnierzy. W tej chwili więc siły moje wraz ze zgłoszonymi w międzyczasie ochotnikami wynoszą przeszło 100 karabinów. Są więc one dość znaczne, a pozycje wzdłuż ul. Bema dogodne, projektuję więc znaczne przedłużenie lewego skrzydła. Jednak przed wykonaniem tego udaję się osobiście do por. Abrahama na Górę Stracenia: chcę interweniować, by swoim oddziałem obsadził przynajmniej podnóże Góry Stracenia tj. około pomnika Kapuścińskiego i Wiśniowskiego. Nic jednak nie uzyskałem. Por. Abraham wyraźnie oświadczył mi, że pozostanie ze swoim oddziałem na dotychczasowych pozycjach. Wobec tego zawiadomiłem go, że natychmiast zaczynam zajmować ulice leżące przed jego frontem, i proszę... by przynajmniej nie strzelał do moich ludzi w czasie utarczek, staczanych z nieprzyjacielem. Grupę wypadową poprowadził chor. Nekrasz, przybyły na mój odcinek w ostatniej chwili z rozkazu

kpt. Boruty Spiechowicza. Chor. Nekrasz w wypadzie swoim zajął i obsadził ulice: Kleparkowską po wylot Jachowicza i ulicę Rappaporta.

Po tej operacji odcinek mój od dnia 6 listopada składał się z trzech odcinków, a to:

I. Prawe skrzydło — „Bema-Gródeckie“ obejmuje ulicę Gródecką z rejonem patrolowym, składy drzewa Gródecka 35 i ulicę Bema od Gródeckiej aż do placu Bema. Rejon działania od kamienicy Bema 22, róg stajen przy koszarach Ferdynanda do ul. Gródeckiej. Dowódca ppor. Franciszek Jarzembiński, kwatera Bema 9, kuchnia tego oddziału, Ochronka SS. Felicjanek ul. Niemcewicza 1, Rezerwa — Gródecka 43, punkt opatrunkowy — Gródecka 45, komendant punktu ppor. dr. Katz. Żandarmeria odcinkowa: Królowej Jadwigi 2.

II. Środek - działający w obrębie magazynów koszar Ferdynanda, zajmuje na razie magazyn prowiantowy, komendę Piekarni Wojskowej i magazyn kawowy nr. 1. Dowódcą pododcinka — ppor. Kasztelewicz Władysław, kwatera dowództwa — magazyn prowiantowy. Punkt opatrunkowy — ul. Kordeckiego 17, komendantem punktu kierownik szkoły Kordeckiego Feliks Blajke.

III. Lewe skrzydło, ciągnące się od ul. Wolność-Janowska róg Kleparowskiej, następnie Kleparowska, Rappaporta, Jachowicza. Z placówkami stałymi, róg Wolność-Janowska 2, ul. Kleparowska, Rappaporta i Jachowicza. Dowódca

tego pododcinka — chor. Nekrasz. Punkt opatrunkowy — Szpital Żydowski, kuchnia dla tego pododcinka, jak i środkowego, w zabudowaniach Zgromadzenia SS. Felicjanek przy ul. Janowskiej.

Oddział sanitarny lotny: sanitariuszki: Zofia Karwaj, Wilma Bojanowska, Bojanowski Wiktor, Zgromadzenie SS. Felicjanek. Sprawy gospodarcze obejmuje pchor. Klauzal Alfred. Adiutantem moim: chor. Wolanek Erwin; ppor. Bieniawski Stanisław oficerem do specjalnych poruczeń.

Zdarzyło się kiedyś, właśnie w owym czasie, że stałem u wylotu ulicy Bema do ulicy Janowskiej, i obserwowałem teren. Nagle dech mi zaparło: halucynacja czy obraz realny?... Zjawia tylko, czy rzeczywiście prawdziwa postać sławetnego rycerza z Manchy kroczy ku mnie ulicą?... Za każdym jego krokiem słychać potężny rumor, tak jakby brzęczał blachami zbroi. Chuda, koścista postać, nakryta jest kopułą potwornie wielkiego stalowego hełmu, spod którego widać tylko koniec okazałego nosa i szerokie wargi. Szeroki pas skórzany, ozdoba stroju umieszczony jest gdzieś na wysokości mej brody. A za pasem rząd granatów ręcznych tworzy groźny różaniec. U pasa na skrzyżowanym przez ramię rzemieniu zwisa z jednej strony Mauser największego kalibru, z drugiej szabla, długa i szeroka jak miecz

katowski. Szabla ta wlecze się za mężem po bruku i sprawia potężny rumor. W rękę rycerz ma karabin z nasadzonym bagnetem i wspiera go jak kopię na ramieniu. Rynsztunku dziwnego męża dopełnia para skórzanych sztylp, otulających długie, chude piszczele, niby żelazne nagolenniki. Mąż ów podchodzi do mnie — zatrzymuje się — salutuje — melduje...

„Panie komendancie, stary rewolucjonista z roku 1905 Andrzej Pronaszko, czeladnik cechu św. Łukasza, zgłasza się jako ochotnik pod pańskie rozkazy, pragnąc wziąć udział w walce“.

Jestem wniebowzięty i dumny z nabytku. „Starego rewolucjonistę“ natychmiast przydzielam na placówkę najlepiej mu odpowiadającą tj. na ulicę Wolność... Z tym samym szczękiem oręża wyrusza rewolucjonista na pozycję w towarzystwie „mikrusa“, sięgającego mu niewiele poza kolana. W wieczornym mroku znika olbrzymia rycerska postać i towarzyszący chłopczyna — tylko długo słyszę szczęk szabli po bruku.

Na dzień 7 listopada przygotowujemy atak nocny. Z uporem dążymy do opanowania głównego budynku koszar Ferdynanda. Koszary te bowiem to klucz do reszty Lwowa. Przydzieloną mi do akcji armatę umieszczam na placu Bema tuż pod kamienicą 22. Gdy tylko noc

zapadnie, rozpoczniemy atak po uprzednim przygotowaniu artyleryjskim. Liczę, że przy strzelaniu wprost, działo, choć potwornie sfatygowane, (ma nawet tęgi brzuszek) zdoła jednak wybić nam w murach koszar jakąś możliwą do przejścia dziurę. Nadzieja jednak zawodzi. Pierwszy ładunek uszczelniany w lufie szmatami (działo rosyjskie, amunicja austriacka) zagważdża nasze działo, w którym tyle pokładaliśmy nadziei. Odkładamy więc atak generalny na dzień następny tj. do czasu, aż działo będzie można „odetkać”...

Tymczasem zaś, by nieprzyjacielowi nie dać wytchnienia, wysyłamy w przód patrole, z zadaniem markowania ataku, szczególnie silnie na odcinku środkowym. „Markowany” atak jednak przynosi realne korzyści. Zostają zajęte: magazyn „Sanitäts-Depots”, magazyn „Kawowy” nr 2, magazyn „Konserw mięsnych”, magazyn „Marmoladowy”, mieszczący się tuż przy bramie koszar od ulicy Janowskiej, a między głównym budynkiem a Domem katolickim, oraz od ul. Bema i Gródeckiej stajnie, z których wyprowadzamy kilkanaście koni i obsługę kilku Węgrów.

W ten sposób ppor. Kasztelewicz rozszerza znacznie zakres działania swojego pododcinka (środkowego) mając w tej całej akcji tylko dwóch rannych.

Dnia 8 listopada umacniają się oddziały na zajętych w nocy stanowiskach, nie pozwalając równocześnie spocząć nieprzyjacielowi ruchliwością

swoich patroli. Zdobyć nocna okazuje się nadzwyczajna.

Wszystkie zdobyte w nocy magazyny są pełne, a to: magazyn „Sanitäts-Depot” pełny drogiego materiału sanitarnego, jak kaset z narzędziami chirurgicznymi i mikroskopami, materiału opatrunkowego, koców wełnianych itp. (Część z tych zapasów zabiera komendant szpitala na Technice por. Domaszewicz, reszta zaś w kilka dni później, niestety, płonie). Magazyn „Marmoladowy” pełen jest konserw mięsnych, „Kawowy” konserw kawowych, poza tym zapasy grochu, kaszy, płatków kartoflanych itp.

Nad zapasami obejmuje dozór pchor. Klauzal Alfred, który poza przydzieloną mu funkcją gospodarczą, jak już wspominałem, bierze stale czynny udział w atakach, sam nawet organizuje patrole w kierunku pozycji nieprzyjacielskich, zapuszczając się aż pod Zakład karny „Brygidki”.

„Odetkaliśmy” wreszcie nasze działo i ustawiliśmy je na dawnym miejscu. Chcemy, aby oddało ono 20 strzałów, po których natychmiast wyruszą ze swych stanowisk dwie grupy wypadowe.

Pierwsza pod dowództwem ppor. Mellera zaatakuję główny budynek koszar Ferdynanda *) z pra-

*) Ppor. Meller został specjalnie odkomenderowany ze swoim oddziałem szturmowym, przez naczelną Komendę na odcinek Bema dla przeprowadzenia skutecznego ataku. Do stałej obsady odcinka ppor. Meller nie należał.

wego skrzydła. Aby uniknąć pomyłek w ciemnościach, zarządzam, aby tylko ta grupa znajdowała się w rejonie podwórza koszarowego. Druga grupa, pod d-wem sierż. leg. Rembowskiego zajmuje kościół św. Anny. Grupa ta ma za zadanie przeciąć nieprzyjacielowi drogę odwrotu, gdyby ten po zdobyciu koszar przez grupę pierwszą, wycofywał się w kierunku ulicy Kazimierzowskiej. Rezerwa pozostanie pod dowództwem ppor. Kasztelewicza w magazynie sanitarnym.

Wdarłszy się do koszar ppor. Meller da nam znak czerwoną rakietą. Dowódca rezerwy, mając do dyspozycji ppor. Bieniawskiego i chor. Nekrasza, dopiero wtedy udzieli mu pomocy.

Rozpoczynamy akcję. Działo oddało przewidzianą serię strzałów. Rembowski, zgodnie z planem, wyruszył i zajął kościół Św. Anny cicho, bez zwrócenia uwagi nieprzyjaciela. Na prawym skrzydle panuje niepokojąca cisza. Wraz z chor. Nekraszem badam sytuację spod kościoła św. Anny. Niestety, oddziały „Dyrekcji Kolejowej” nie zajęły rogów ulicy Zygmuntowskiej i Zamkniętej, jak to było przewidziane.

Kościół św. Anny zaś nie przedstawia żadnej wartości jako samodzielna reduta. Obsadzenie go miało więc sens jedynie wtedy, gdyby zajęte zostały także rogi ulicy Zygmuntowskiej i Zamkniętej.

W sytuacji, która się obecnie wytworzyła, trzeba opuścić kościół. Pozostawienie w nim oddziału —

to skazanie go na pewną śmierć. Tyły bowiem kościoła przylegają do obiektów zajętych przez Ukraińców. Tuż za kościołem brama, wiodąca z podwórza koszar, pozostająca bezwzględnie we władaniu nieprzyjaciela. Dostawa amunicji i żywności dla tej placówki będzie niemożliwa.

Na prawym skrzydle i w obrębie koszar niepokojąca cisza trwa dalej. Wydaje Rembowskiemu dyspozycję, by opuścił o świcie kościół św. Anny, o ile ul. Zamknięta i Zygmuntowska nie zostaną obsadzone przez oddziały „Dyrekcji Kolejowej”. Powracając spod kościoła św. Anny zostaje zaskoczony strzałami i gwarem dobiegającym z podwórza koszar. Gwar ten ma jednak kierunek bardziej na prawo aniżeli budynek koszarowy. Dzieje się coś nieprzewidzianego. Rzeczywiście akcja się nie powiodła.

Ppor. Meller opóźnił wyruszenie ze swoją grupą do ataku o całą godzinę. Nieprzyjaciel zaintrygowany spokojem po serii strzałów artyleryjskich, wysłał silny patrol zwiadowczy na podwórze koszar. Patrol ten na rogu stajen koszarowych natknął się na grupę ppor. Mellera. Ze strony ukraińskiej padły strzały. Jeden trafił karabin ppor. Mellera, a odbryzgi strzaskanego łożyska lekko kontuzjowały go w twarz. Oszołomiony nieprzewidzianym spotkaniem i strzałami ppor. Meller zawrócił i uciekł. Ludzie owczym pędem poszli za nim.

Na tym jednak nie kończą się niepowodzenia tego dnia. Dozorca domu Bema nr 8, Ukrainiec, widząc naszą porażkę oraz słabą obsadę tego domu, sprowadza o świcie do kamienicy Ukraińców. Zabito trzech ludzi załogi tej kamienicy, ze strony ukraińskiej padł tylko 1 żołnierz. Jednego z naszych Ukrainiec pchnął bagnetem tak silnie, że bagnet przebiwszy pierś wbił się w deski podłogi. Żołnierz nie mógł widocznie wyrwać bagnetu z drzewa i zostawił trupa przygwożdżonego do podłogi.

Dzień więc 9 listopada rozpoczyna się dla nas fatalnie. Zamiast rozszerzenia naszego stanu posiadania, musimy wypierać nieprzyjaciela z naszych pozycji. Placówka Bema 2 wycofała się do kamienicy Gródecka 14, róg ul. Piotra Skargi, skąd ostrzeliwała zajętą przez Ukraińców kamienicę Bema nr 8, aby uniemożliwić nieprzyjacielowi zajęcie dogodnych stanowisk w oknach. Pod osłoną tego ognia mały oddział pod dowództwem sierż. Gila przeprowadził kontratak. Sierż. Gil, obrzuciwszy granatami ręcznymi mieszkanie parterowe, wdarł się z kilkoma ludźmi do wnętrza domu i w ten sposób odzyskał utraconą pozycję. Wzięto do niewoli 1 Ukraińca, nazwiskiem Kohut, ukrytego w pace na węgiel. W czasie kontrataku poległa biorąca czynny udział w walce ochotniczka Balzerówna.

Na tym jednak nie skończyła się nasza udręka... Nieszczęścia zawsze chodzą w parze. — Nieprzy-

jaciel w dniu tym rozwinął działalność na całym froncie i dążył do przejęcia inicjatywy w swoje ręce. Sektor Bema był dla niego najniewygodniejszą placówką — tu więc skupiał swoje siły i parł do zlikwidowania choć części sektoru, a przede wszystkim do odzyskania ulic: Kleprowskiej, Majzelsa, Jachowicza i Rappaporta. Toteż mniej więcej w tym samym czasie, gdy moje prawe skrzydło likwidowało wypad nieprzyjacielski na ul. Bema, nieprzyjaciel zaatakował moje lewe skrzydło, starając się oskrzydlić mnie poprzez Górę Stracenia i koło pomnika Kapuścińskiego i Wiśniowskiego, przedostał się na ul. Wolność i wpadł na moje tyły. Chwilowo Góra Stracenia dostała się w ręce nieprzyjaciela. Na ul. Wolność wywiązała się zacięta walka. Z naszej strony padło 6 zabitych, między nimi ochotniczka Olga Stecówna. Jednak nieprzyjaciela wyparto i ścigano aż do ul. Pod Dębem. W akcji tej został ranny chor. Nekrasz i dwóch ochotników — umieszczono ich w Szpitalu Żydowskim.

Dowództwo lewego pododcinka po rannym chor. Nekraszu objął mój dotychczasowy adiutant chor. Erwin Wolanek. Tego samego dnia podczas walk o kamienicę przy ul. Bema nr 8 został ranny ppor. Czarnecki, który idąc w tym czasie z ulicy Kordeckiego na plac Bema, znalazł się pod ostrzałem nieprzyjacielskim.

Przed wieczorem zaś, gdy ukończono akcję na obydwu skrzydłach, samorzutnie przybył do nas

z pomocą podchor. Nowak Józef, komendant „Benzinfelddepot nr 4” na dworcu Czerniowieckim. Przeprowadził on ze sobą 40 ludzi swego oddziału, oddając ich mnie do dyspozycji, gdyż został zaalarmowany, że „Bem” jest w ciężkich opałach i nieprzyjaciel wdarł się w nasze pozycje.

Mimo że podchor. Nowak przybył już po zakończeniu akcji, niemniej jednak samorzutnym tym czynem zasłużył sobie na prawdziwą żołnierską podziękę. Skorzystałem z chęci i zapału dzielnego podchorążego Nowaka i jego ludzi i użyłem ich w nocy z dnia 9 na 10 do służby placówkowej przy ul. Bema nr 12 i 8. Stałą zaś załogę tych dwóch placówek zwolniłem na tę noc ze służby, dając jej po ciężkich przejściach ubiegłej nocy zasłużony odpoczynek. Oddział zaś pchor. Nowaka miał tę satysfakcję (jak sami później mówili), że jednak bił się na odcinku „Bema”.

Z chwilą, gdy ranny ppor. Czerniecki odszedł do szpitala, skończyła się fikcja jego dowództwa na tym odcinku. Odtąd nie wypuściłem dowództwa z moich rąk. Nie czyniłem żadnych wstrętów ppor. Czernieckiemu ze względu na naszą dawną znajomość i traktowałem go jedynie jako sympatycznego mi obserwatora bez żadnych praw i prerogatyw do dowództwa.

Było to zresztą zupełnie zrozumiałe. Moje prawa na odcinku były starsze, stopień służbowy też. Rozkaz „Komendy Naczelnej” przydzielający ppor. Czernieckiego jako dowódcę „Bema”

przypisywałem zupełnej nieznajomości sytuacji przez Naczelną Komendę, która nie orientowała się w obsadzie personalnej odcinków. Poza tym „Naczelna Komenda” była dla mnie do tej chwili instytucją nieznaną. Jak to już poprzednio zaznaczyłem, znałem jedynie kpt. Spiechowicza. Jego uważałem za komendanta obrony Lwowa, od niego otrzymywałem rozkazy i z jego rozkazu sprawowałem dowództwo nad odcinkiem „Bema”. Jak dalece „Komenda Naczelna” nie orientowała się w sytuacji, ani nawet w obsadach odcinków, jak wielki tam panował chaos orientacyjny i meldunkowy, jakimi „pantoflowymi” wiadomościami tam się karmiono, świadczy najlepiej poniżej przytoczony fakt:

Płk Mączyński w wydanych przez siebie *Bojach Lwowskich* na str. 236 podaje: „Abraham posunął się znacznie naprzód, dotarł nawet lewym skrzydłem aż po ulicę Słoneczną, prawym zajął św. Annę. Kazano mu utrzymać św. Annę i łączność z nią. Niestety, do następnego dnia z obsady tej nie pozostał... nikt. Wszyscy zginęli, a nie cofnęli się”.

Nie wiadomo, jaką drogą doszedł p. płk Mączyński do wiadomości, którą zużytkował w swoim dziele. Faktem jest, że por. Abraham w czasie między 2 i 22 listopada nigdy nie tylko do św. Anny ale i do ulicy Rappaporta nie dochodził. Wobec jego odmowy obsadzenia podnóży Góry Straceńca dn. 6 listopada ja byłem zmuszony obsadzić

ulicę Jachowicza i Rappaporta, przedłużając w ten sposób znacznie swoje lewe skrzydło. Przez zajęcie tych ulic odsunąłem daleko od św. Anny oddziały por. Abrahama. Św. Annę zaś, jak to już wyżej zaznaczyłem, zająłem i opuściłem bez strat w dniu 9 listopada, meldując o jednym i drugim rtm. Cieńskiemu. Stamtąd widocznie meldunek mój doszedł do Naczelnej Komendy w mocno zmienionej postaci: „Wszyscy zginęli, a nie cofnęli się“...

Ale nawet i takie przypuszczenie nie daje wyjaśnienia, bo w aktach obrony Lwowa znajduje się meldunek sytuacyjny, sprzeczny zarówno z relacją moją jak i śp. płk. Mączyńskiego. Meldunek ten oficjalny jest dla mnie zupełną zagadką, choć w każdym razie swoim brzmieniem dementuje wiadomość o zajęciu przez por. Abrahama kościoła św. Anny i tragicznie-bohaterską wieść o pełnym wybiciu jego oddziału w kościele św. Anny... Meldunek ten z dnia 9 listopada tłumaczy naiwnie a nieprawdziwie, że wiadomość o zajęciu kościoła św. Anny podałem mylnie, opierając się na meldunku jakiegoś pijanego podoficera...

W ten sposób sprawa kościoła św. Anny gmatwa się i zaciemnia w świetle sprzecznych relacji. Tych relacji mamy trzy: moją — o zajęciu kościoła przez Rembowskiego i opuszczeniu go na mój rozkaz. Wiadomość ta, jako oparta na logicznych dowodach i na prawdziwości zdarzenia musi budzić wiarę. Druga — podana w meldunku sytuacyjnym

przez rtm. Cieńskiego o pijanym podoficerze, śmieszna i dziecinna. Wreszcie na tym tle — tragiczna informacja śp. płk. Mączyńskiego nabiera cech melodramatycznych, zrodzonych jedynie w bujnej wyobraźni informatorów płk. Mączyńskiego...

Dzień 10 listopada mija dość spokojnie, chociaż ponosimy ciężkie ofiary. Przy ul. Wolność (stanowisko karabinu maszynowego) padło zabitych dwóch szeregowych i 1 został ranny. Bema Gródeckie ma 2 rannych w akcji patrolowej.

Nieprzyjaciół poniosł jeszcze cięższe straty ostrzeliwany przez naszą artylerię z Góry Jura. Jeden granat wpadł przez okno 1 piętra i wybuchł wewnątrz gmachu zabijając i raniąc ciężko kilku Ukraińców.

Placówka przy ul. Wolność ponosi wielkie straty. Spowodował je A. Pronaszko, który na własną rękę, bez uprzedniego porozumienia się ze mną, zmontował reflektor w facjacie domu, nie myśląc o tym, że cienka ściana facjaty nie jest osłoną przed pociskami karabinowymi.

Dzień 11 listopada przyniósł nam znów ciężkie straty. Na dzień ten był planowany generalny atak. Artylerię, która ma przygotować atak piechoty, ustawiono, wbrew mojemu życzeniu, na „Górze Stracenia“. Pierwsze 5 strzałów, które bateria oddała, padło w nasze pozycje. „Sanitäts-Depot“ płonie. Straciliśmy cenną i ważną dla nas pozycję i moc materiału sanitarnego. Trzeba rato-

wać co się da. Na pomoc do gaszenia ognia przybywa wojskowa straż ogniowa. Akcja ratunkowa przeprowadzona pod silnym ogniem karabinów maszynowych i ręcznych pełnej obsady koszar Ferdynanda jest nadzwyczaj ciężka. Pada 2 zabitych i 8 rannych.

Przed atakiem miałem wizytę delegacji „żołnierskiej” z prawego mego skrzydła, która w imieniu „Rady Żołnierskiej” zażądała ode mnie złożenia dowództwa w ręce pseudo-por. Mazura. „Delegacja” przybyła w pełnym uzbrojeniu, z granatami ręcznymi za pasem. Przez ramię przepasani byli czerwonymi wstęgami. (Nazwisk delegatów nie podaję ze zrozumiałych względów)...

Delegację przyjąłem spokojnie. Złożona ona była z samych młodych chłopców, uczniów V i VI kl. gimn., a więc młodzieży zapalnej, łatwo poddającej się wymowie i „nowinkom”... Chłopcom tym oświadczyłem, że z powodu mającego nastąpić planowanego ataku, odkładam na później rozmowę w podniesionej przez nich sprawie.

Tymczasem zaś, ponieważ zostało zerwane połączenie telefoniczne z Górą Stracenia, gdzie znajduje się bateria połówek oddana mi do dyspozycji, „proszę” ich, by udali się jako patrol łącznikowy do tej baterii z moimi dyrektywami. W pełni zrozumienia, że w chwili tej ważniejsze są kwestie związane z walką, aniżeli względy politycznej obsady dowództwa, delegaci spełnili moje życzenie. Widziałem, że gdy weszli na ulicę Janowską, tam

między parkanami, speszeni, zdejmowali swoje „czerwono-gwardyjskie“ szarfy...

Ja też przeszedłem nad tą sprawą do porządku. Mając jednak to wystąpienie na uwadze, zmuszony ze względu na cel walki do pewnego kompromisu oraz liczenia się z nastrojem części moich żołnierzy, przyjąłem jako odznakę odcinka czerwone opaski, jakie w międzyczasie włożyli na rękawy żołnierze prawego skrzydła. Opaski te nakazywałem nosić wszystkim oficerom i żołnierzom z tym jednak, że na opaskach tych ma być naszyty biały napis „Bem“.

Tak powstała „Czerwona gwardia“ lwowska, dokoła której tworzyła się później legenda...

Dzień 12 listopada minął spokojnie bez większych wydarzeń. Normalna, jak codziennie, silna ofensywna akcja patrolowa. Jeden z takich patroli podprowadza plut. Bryś aż pod koszary policyjne przy ul. Kazimierzowskiej i obrzuca je granatami ręcznymi, po czym wycofuje się bez strat.

Dnia tego zdecydowano wysadzenie koszar, przez podłożenie miny w kanale miejskim pod samym budynkiem koszar Ferdynanda. Przywieziono na odcinek odpowiednią ilość ekrazytu, który przechowywano w jednym z mieszkań na „Odcinku“. Wybudowano parkan z desek w poprzek ulicy Gródeckiej od rogu ul. Boczkowskiego, celem maskowania prac saperskich. Aby chronić je przed atakiem, co było możliwe w wypadku zdrady, umieszczono karabin maszynowy przy ul. Gródeckiej róg Bema.

Dnia 13 listopada ostrzeliwała nas silnie ruska artyleria. Pociski padały na wszystkie obiekty, gdzie znajdowały się nasze placówki. W szczególności wiele ucierpiała kamienica Bema nr 12 a. Pod dowództwem Odcinka przy ul. Bema nr 29 spadający gzyms, oderwany przez wybuch granatu, ranił w głowę ppor. Kasztelewicza, którego od niechybnej śmierci uratował hełm stalowy. W akcji patrolowej zaś na ul. Wolność został ranny w głowę kulą karabinową chor. Wolanek. Obaj ranni oficerowie, opatrzeni zostali w linii na Odcinku.

Od 14 do 17 listopada, w związku z planowanym wysadzeniem koszar, nie angażuję zbytnio oddziałów w walce ofensywnej na ich terenie, gdyż marnowanie ludzi w beznadziejnej akcji atakowej nie miałoby najmniejszego celu. W oczekiwaniu na rozpoczęcie prac przy podminowaniu koszar schodzi kilka dni aż do nocy z dnia 17 na 18 listopada. Tymczasem staramy się lewym skrzydłem posunąć jak najdalej w przód ku ul. Kazimierzowskiej, jednakże akcja nasza, odosobniona i napotykaająca ciągle na przewagę nieprzyjaciela nie daje pozytywnych rezultatów...

VI.

Wreszcie dnia 17 listopada wieczorem przybyli saperzy celem założenia miny.

Przyprowadzili ze sobą niedołężnego staruszka, emerytowanego kanalarza, który ma być przewodnikiem w podziemnych chodnikach...

Do przenoszenia ekrazytu, oraz worków z piaskiem dla zakorkowania naboju, dodaję owemu kanalarzowi zgłaszających się na ochotnika podoficerów: Mazurkiewicza, Mazura, Jędrzejowskiego, Urbańskiego i kilku innych szeregowych.

Praca jest ciężka i odrażająca. Kanały nieprze czyszczone są pełne odchodów. Do miejsca, gdzie ma być założony ładunek, żołnierze muszą brnąć przez cuchnące błoto, sięgające wyżej pasa. Nagromadzenie odchodów jest szczególnie duże przy zbiegu kanałów, mniej więcej na wysokości kościoła św. Anny. Do magistrali biegnącej pod ul. Gródecką wpada w tym miejscu kanał spod koszar. Droga przez korytarze kanału jest dość znaczna, wynosi około kilometra. Wejście do kanału mieści się przy ul. Boczkowskiego, stąd trzeba przejść korytarzem wzdłuż, pod ul. Gródecką, aż do kościoła św. Anny, a z tego punktu pod ostrym kątem zawrócić pod koszary Ferdynanda. Staruszek kanalarz myli się w odległości i miejsce na założenie ładunku wybiera już poza koszarami. Praca przy założeniu miny, zakorkowaniu oraz założeniu przewodu iskrowego zajęła całą noc z dnia 17 na 18.

Podminowanie koszar miało za cel naruszenie muru i wytworzenie paniki wśród załogi. Z momentu tego miały skorzystać oddziały mego „Odcinka” i zająć koszary w chwili tuż po wybuchu i wywołaniu tym przerażenia nieprzyjaciela.

Oddział został podzielony na trzy grupy. Grupy ustawione w odległości 80 do 100 kroków od ko-

sza, poza osłonami drewnianych budynków stajennych, wyczekują na moment paniki. Grupa pierwsza prawego skrzydła pod dowództwem ppor. Jarzębińskiego, środkowa pod dowództwem ppor. Bieniawskiego i lewoskrzydłowa koło magazynu „Marmeladowego” pod dowództwem ppor. Kasztelewicza.

Jedyne wejście do koszar Ferdynanda, niezabarykadowane, a tylko pilnie strzeżone, to okno w ścianie koszar od strony Domu Katolickiego. Tędy można wpaść do koszar w czasie zamieszania, albo też dostać się przez wyłom, jaki by wybuch uczynił, lub drzwi wejściowe (jest ich 5), z którejkolwiek innej strony, gdyby nieprzyjaciół w panice odbarykował je, chcąc ratować się ucieczką z zagrożonego zawaleniem gmachu... W oczekiwaniu na zapowiedziany wybuch, który miał nastąpić o godz. 4, oddziały pozostają na stanowisku od godz. 3.30.

Niestety, następuje jakieś opóźnienie...

Mijają dwie godziny denerwującego oczekiwania. Lada moment trzeba się spodziewać wstrząsu ziemi, huku i opadnięcia gruzów... Godzina 6, a wybuch nie następuje. Oddziały wyczekują, mimo że na tę godzinę wyznaczono zawieszenie broni. Mina jednak założona i podpalona — respektowanie więc zawieszenia broni, ogłoszonego na ten dzień i na tę samą godzinę jest niemożliwe. Wszystko już zostało dokonane, tylko wybuch nie nastąpił. Akcję zatem musimy doprowadzić do końca...

Wreszcie o godz. 6,10 mina wybuchła.

Wybuch wyrywa jednak tylko ustęp, mieszczący się na podwórzu koszar... Wyrywa ogromny lej, wstrząsa całym terenem i wznosi w górę słup ognia, gruzów i zawartości kanału...

I to jednak jest dostateczne do wytworzenia zamieszania w koszarach Ferdynanda. Pewna część załogi koszar odbarykadowuje wejście boczne, oraz opisane wyżej okna od Domu Katolickiego, z czego korzystają moje atakujące oddziały, które po wybuchu przedostają się pod same mury i wpadają na parter. Są to: grupa środkowa z ppor. Bieniawskim, lewa z ppor. Kasztelewiczem od Domu Katolickiego, oraz grupa prawoskrzydłowa, z Mazurem, od strony Komendy Uzupełnień.

Koszary wreszcie są w naszym ręku. Wywiązuje się walka wręcz już w środku budynku, przy czym zostaje ranny dowódca środkowej grupy atakowej ppor. Stanisław Bieniawski i pseudopor. Mazur, oraz zostaje zabitych 2 szeregowych, 6 zaś rannych. Ukraińcy przerywają walkę, twierdząc, że obowiązuje zawieszenie broni. Ja jednak nie chcę respektować zawieszenia, a tym bardziej opuszczać koszar. Dalsza akcja zostaje jednak wstrzymana na stanowiskach, jakie zostały przez nas zajęte. Oczekujemy przybycia rozjemców, zaalarmowanych przez ukraińskiego dowódcę koszar...

Około godz. 8 przybywa szef sztabu „Naczelnej Komendy“ kpt. Jakóbski, celem zbadania sprawy

i ostatecznie... wydaje mi rozkaz... opuszczenia koszar Ferdynanda... i wycofania się na linię placówek z dnia poprzedniego...

Trzy tygodnie walki pod koszarami Ferdynanda, zakończone dzisiaj ostatecznie upragnionym wdarciem się do głównego budynku, okupione ciężkimi stratami, przekreśliła decyzja kpt. Jakóbskiego.

Dzieje się tu krzywda żołnierzom i oficerom, którzy w walkach tych brali udział i osiągnęli zamierzony cel. Nie naszą winą było, że wybuch nie nastąpił przed godz. 6. A skutki cudzej winy poniósł dzielnie walczący żołnierz.

Co by się jednak stało i jaką decyzję wydałby był kpt. Jakóbski, gdyby mina założona była dokładnie pod koszarami i gdyby zawały się one o godz. 6,10 grzebiąc pod gruzami licznych Ukraińców? Kto poniósłby wówczas odpowiedzialność? Kto wskrzeszałby poległych Ukraińców? Kto odbudował ich pozycję, by przywrócić stan sprzed 6 dnia 18 listopada?

Przecież już samo wysadzenie miny o godz. 6.10 łamie zawieszenie broni. Zawieszenie broni zaś zostało złamane przez obie strony. Wszak z mojej strony padło 2 zabitych, i 8 rannych, a tym samym mój stan nie mógł być doprowadzony do stanu sprzed godz. 6 dnia 18 listopada.

Uznałem krzywdzącą nas decyzję kpt. Jakóbskiego. Wydałem rozkaz opuszczenia koszar moim zwycięskim, a jednak zwyciężonym, żołnierzom.

Przez trzy dni zawieszenia broni żołnierz mego Odcinka po ciężkich przejściach pocieszał się, jak mógł i dobrą miną tuszował niepowodzenie dnia poprzedniego. Zasada „na frasunek dobry trunek” była tu ściśle stosowana. Pili „Bemaki” między sobą, pili z nieprzyjacielską ukraińską załogą koszar Ferdynanda. Ba, złożyli im nawet wizytę w samych koszarach Ferdynanda. Na wizytę tę wybrali się: ppor. Kasztelewicz, pchor. Klauzal, sierż. Rembowski, sierż. Bryś oraz sierż. Lech Bolesław sławny harmonista „Odcinka”, wraz ze swoją harmonią, plut. Grzędzielski i kilku szeregowych.

Oficerowie ukraińscy przyjęli swych „przeciwników” serdecznie wystawną kolacją suto zakrapianą trunkiem. Kolację tę poprzedziło danie słowa honoru wzajemnej lojalności z równoczesnym złożeniem broni w jednym kącie sali. Przy dźwiękach harmonii Lecha mile spędzono czas...

W dniu zawieszenia broni zaroły się ulice od cywilnej ludności, która korzystała z przerwy w ogniu, zaopatrując się w żywność, odwiedzając krewnych, poszukując zaginionych, a odnajdując częstokroć zabitych lub rannych członków swych rodzin. Choć przechodzenie przez linie nie było dozwolone, nie czyniliśmy jednak przeszkód legitymującym się osobom narodowości polskiej, które wyrażały chęć przejścia naszej linii. Uniemożliwienie w tych warunkach krewnym skomunikowania się byłoby nieludzkie. Ukraińcy też składali nam wizyty...

I tak, przy placówce Bema 2 zjawił się w nocy z 19 na 20 chor. ukr. „Siczowych Strzelców“ i spędził kilka godzin na przyjacielskiej rozmowie, przy czym sam stwierdził, że nie wierzy w utrzymanie się „Ukrainy“ w tej formie i na takim obszarze, jak to sobie ich politycy wyobrażają. W innym zaś wypadku jeden z dowódców nieprzyjacielskiej kompanii podpor. Lewski, czuł się tak znakomicie i bezpiecznie wśród moich żołnierzy, że „urznawszy“ się dokumentnie przespał na mojej placówce cały ostatni dzień zawieszenia broni i noc tak, że gdy nadszedł termin rozpoczęcia walki na nowo, żołnierze moi musieli dowódcę swych przeciwników odnieść na jego pozycję... Wróciwszy następnie, gwałtowną strzelaniną zaznaczyli, że skończyły się piękne dni „aranjuezu“, a pozostała walka...

Dnia 19 listopada przybyły posiłki „Grupy Przemyskiej“ pod dowództwem płk. Tokarzewskiego. Został opracowany plan wspólnego działania, zdążający do oswobodzenia całego miasta.

VII.

Koniec zawieszenia broni ogłosiły działa nieprzyjacielskie, rozpoczynając silnym ogniem zarzucać obiekty zajęte przez moje placówki. Była to odpłata za minę. Strzelanina ta jednak nie czyni poważniejszych szkód. Lwów ma być za parę dni wolny, jesteśmy tego zupełnie pewni, nie anga-

żujemy się przeto zbytnio w bezcelowym ataku na koszary. Zresztą smutne doświadczenia poprzednich ataków zniechęciły żołnierza. Aby cośkolwiek robić, patrole markują jak dawniej ataki na koszary, jednak tak, by nie narażać się na straty. W dniu 21 listopada od odprysku ukraińskiego pocisku armatniego, zostaje ranny pchor. Władysław Pachulicz.

O g ó l n y p l a n a t a k u wygotowany przez Nacz. Komendę wyznaczył mojemu odcinkowi na Górze Jura i w Dyrekcji Kolejowej działanie defensywne. Pan rotmistrz Cieński nie trudził się nawet, by choć w tej chwili uzgodnić działanie tych poszczególnych grup, z działaniem ogólnym, zadowolił się jedynie przysłaniem dosłownego odpisu ogólnego planu ataku. Tak więc i na teraz jak też i na później, na wypadek, gdyby akcja oskrzydająca naszych wojsk powiodła się, my, leżący naprzeciw śródmieścia, mimo że naszym zadaniem jest oczyszczenie go z oddziałów ruskich, nie otrzymaliśmy żadnej dyspozycji. Mamy się więc zadowolić beczynnym wyczekiwaniem, aż od strony śródmieścia zjawi się ktoś z naszych i powie: „Panowie, gotowe — droga wolna! Można śmiało do „George’a“ na obiad...” — Działam zatem na własną rękę. Obserwujemy pilnie koszary, chcąc zauważyć, jak ich załoga będzie zachowywać się podczas akcji z grup atakowych, rozwijającej się na peryferiach miasta. Trzeba wyzyskać chwilę, by odciąć im odwrót.

Noc z dnia 21 na 22 listopada ma zadecydować o losach miasta, na razie jednak koszary jak dawniej zieją ogniem karabinowym. Koło północy dopiero ogień osłabł, około godz. 2.30 zaś ucichł zupełnie. Wysłany na wywiad z patrolem sierż. Gil alarmuje, że Ukraińcy opuszczają stanowiska i wycofują się ul. Kazimierzowską w kierunku miasta. W tej chwili ruszyło za cofającym się nieprzyjacielem prawe skrzydło „Odcinka” pod dowództwem ppor. Jarzębińskiego. Nieprzyjaciel wycofał się na plac Teatralny, odwrót jego krył mały oddział pozostawiony w koszarach policyjnych przy ul. Kazimierzowskiej. Uporawszy się z tym oddziałem (poległo 2 Rusinów, żołnierzy polic. austr.), grupa ppor. Jarzębińskiego ruszyła dalej.

Z placu Teatralnego cały oddział wszedł na plac św. Ducha. Tu znów utarczka z patrolem straży ukraińskiej, znów pod odwachem na pl. św. Ducha padł 1 żołnierz ukr. Jarzębiński spieszy dalej ul. Trybunalską na Rynek. W tej właśnie chwili jakiś oddział ukraiński opuścił ratusz. Ukraińcy wycofują się przez podwórze kamienicy koło firmy Hübnera.

Oddział ppor. Jarzębińskiego liczący około 120 bagnetów, podzielony na 4 grupy, ruszył czterema szlakami w poprzek miasta. Pluton pierwszy Rynkiem, Dominikańską, Podwalem i Kurkową, drugi — Ormiańską, trzeci — Skarbową i Podwalem, czwarty — placem Gołuchowskiego i ul. Strzelecką. Poszczególne plutony nawiązały bezpo-

średni kontakt z cofającym się nieprzyjacielem. Jego tylne straże, obsadziły chwilowo niektóre dogodnie położone budynki w tej części miasta. I tak: pluton pierwszy, jak już wspomniałem, zetknął się z oddziałem nieprzyjacielskim w Ryńku pod ratuszem, po czym w ul. Dominikańskiej spotkał i rozbroił patrol milicji żydowskiej.

W tym czasie przechodzą przez Rynek kierując się na ulicę Ruską i Łyczakowską oddziały naszych żołnierzy z odcinka „Góry Stracenia”. Pluton pierwszy, wkroczywszy na plac Strzelecki, połączył się z plutonem czwartym. Połączone plutony zaatakowały karabiny maszynowe umieszczone w koszarach Straży Pożarnej. Jarzębiński bezwzględnie natarł na Strażnicę Pożarną i wdarł się do środka. Ukraińcy zaskoczeni nagłym atakiem pośpiesznie opuścili Strażnicę wycofując się tyłami przez ogrody. Zdobyliśmy dwa karabiny maszynowe i dużo amunicji. Równocześnie drugi pluton zajął Narodny Dom, gdzie wziął do niewoli jeńców i zdobył dobrze zaopatrzone magazyny. Na Podwalu zebrały się wszystkie cztery plutony, maszerujące dotychczas odrębnymi drogami i ruszyły w górę ul. Kurkowej. Oddziały straży tylnej nieprzyjaciela obsadziły koszary 80 p.p. i Burzę Rzemieślniczą — Kurkowa L. 12. Broniły się jednak krótko. Jarzębiński posunął się dalej, kierując się do Lasku Cesarskiego. Jeden pluton poszedł ulicą Teatyńską, reszta Kurkową i Leśną.

Oddział ten depce po piętach nieprzyjacielowi, który cofa się boczną drogą biegnącą pod Piaskową Górą i Cesarskim Laskiem, w kierunku Łyczakowa, wzgl. Krzywczyc. Jarzębiński zaatakował energicznie Cesarski Lasek i zdobył dwa działa z jaszczami, kilka wozów taborowych, oraz jedną kuchnię polową, porzuconą przez nieprzyjaciela, który odciął konie od zaprzęgów. Fakt ten świadczy o pośpiechu z jakim uciekano pod naciskiem mego oddziału. O godz. 7 rano Lasek Cesarski znalazł się cały w naszym ręku. Nieprzyjacielska artyleria ostrzeliwała go z rejonu Zboisk.

W międzyczasie reszta oddziałów mego odcinka szła jako rezerwa w ślad za oddziałem ppor. Jarzębińskiego aż do śródmieścia i obsadzała zajmowane przez niego obiekty, a mianowicie: koszary policji przy ul. Kazimierzowskiej, Odwach na placu św. Ducha, Ratusz i inne. Przy placu św. Ducha oddziały te rozdzieliły się i prowadząc akcję opanowania tej dzielnicy miasta samodzielnie, posuwały się innymi ulicami; i tak: oddziały ppor. Kasztelewicza i sierż. Rembowskiego posuwały się ul. Halicką i ul. Wałową na Podwale, tu zdobyły Namiestnictwo, zatrzymały będące już w ruchu trzy auta osobowe, następnie przeszły ul. Łyczakowską w górę i zajęły szpital garnizonowy. Tutaj został sierż. Rembowski ze swoim oddziałem i obsadził obiekty szpitala, biorąc kilkudziesięciu jeńców i znaczną ilość karabinów; ppor. Kasztelewicz posuwał się ze swoim oddziałem

w górę ul. Łyczakowskiej do kościoła św. Antoniego, tu rozbił silną straż tylną ukraińską i zajął ul. Piaskową i ul. Wyspiańskiego, docierając aż do Lasku Cesarskiego, gdzie ostrzeliwał wycofujące się już przed ppor. Jarzębińskim oddziały nieprzyjacielskie, w momencie kiedy ppor. Jarzębiński zdobył już Lasek Cesarski.

W tym czasie ostatni oddział pod dowództwem chor. Wolanka posuwał się placem Bernardyńskim i ul. Piekarską, dochodząc do jej wylotu oczyszczając ulice z nieprzyjaciela.

Wszystkie oddziały doszedłszy do peryferyj miasta otrzymały rozkaz wycofania się i ściągnięcia do gmachu Namiestnictwa, gdzie mieściło się moje stanowisko i pozostały w tym dniu do dyspozycji Naczelnego Dowództwa. Pojmanych jeńców i zdobyczny materiał wojenny odesłano do dowództwa żandarmerii,

Tak więc, po bardzo pracowitym dniu, miałem przy sobie znowu większość moich oddziałów, tj. wszystkie prócz tych, które pełnią służbę wartowniczą przy magazynach na dawnych naszych stanowiskach, w koszarach policyjnych, na odwachu i w ruskim Narodowym Domu.

Meldunek mój do Naczelnego Dowództwa z akcji tego dnia brzmiał następująco:

„Meldunek. Z dnia 22. 11. 1918 r. Melduję, iż patrole moje posuwając się w pościgu za uciekającym nieprzyjacielem zaęły Dom Narodowy i Namiestnictwo. Ppor. Jarzębiński z 2 plutonami

mojej kompanii zdobył szturmem strażnicę pożarną i strzelnicę miejską. Dwa karabiny maszynowe wpadły w nasze ręce. Ppor. Jarzębiński posunął się następnie dalej i obsadził Lasek Cesarski, który nieprzyjaciół opuścił w popłochu, pozostawiając na miejscu przez odcięcie postronków 4 wozy taborowe i 2 polowe armaty. Plutonowy Rembowski obsadził szpital garnizonowy i przyprowadził 35 jeńców. W marszu naprzód oddziały stoczyły walkę koło kościoła św. Antoniego. W koszarach Ferdynanda nieprzyjaciół uciekając, pozostawił 2 karabiny maszynowe. Por. Schwarzenberg-Czerny¹⁾

VIII.

Zajęcie całego miasta przez nasze oddziały dało asumpt różnym grupom „łazików“ do podszywania się pod oddziały obrończe. Grupy te wyzyskując zamieszanie, rzuciły się do grabieży ludności żydowskiej. Całe oddziały podobnych „łazików“ grabiących ludność w dzielnicy żydowskiej, pokładło sobie bezprawnie czerwone opaski z napisem „Bem“. Patrole moje wiecznie czynne na mieście, wyłapywały grabiących „łazików“ i sprowadzały na odwach. Wielu z pojmanych nie umiało nawet mówić po polsku, byli to w lwiej części maruderzy ukraińscy, (może

¹⁾ Meldunek ten znajduje się w archiwum Obrony Lwowa w D. O. K. VI.

rozmyślnie pozostawieni) lub jeńcy rosyjscy. Poza tym elementem wybitnie agresywnie w tych dniach działali przestępcy zwolnieni przez Ukraińców z więzienia karnego na „Brygidkach“

Aby zapobiec bezprawnemu noszeniu odznaki odcinkowej, wydałem wszystkim moim ludziom legitymacje, w których zaznaczyłem, że tylko ich posiadacze są uprawnieni do noszenia czerwonej opaski z napisem „Bem“.

W jednym dniu 23 listopada przesunął się przez odwach korowód aresztowanych w ilości przeszło 500 osób. Wszystkich tych przesłuchał komendant odwachu ppor. Kasztelewicz i odesłał ich transportami na ul. Kurkową do koszar dawnego 80 austr. pułku piechoty.

Przez cały dzień zgłaszali się na odwach liczni poszkodowani z prośbą o interwencję. Wiele wśród tego było fałszywych doniesień. Przedsiębiorczy, a obawiający się o mienie i całość swojej skóry, mieszkańcy dzielnicy żydowskiej starali się w ten sposób o uzyskanie ochrony wojskowej, aby potem przydzielony sobie patrol przekupić i wyzyskać na czas zamieszek dla swojej obrony.

Były też i innego rodzaju fałszywe alarmy; np. delegacja Kahału zaalarmowała Komendę Naczelną, że rozbestwieni żołnierze niszczą świątynię przy ul. Żółkiewskiej. Wysłany patrol oficerski stwierdził, że bóżnica jest zamknięta, dokoła niej zaś panuje zupełny spokój, nie ma nawet żadnych grup gawiedzi, ruch w okolicy normalny. Zaintry-

gowany tym dowódca patrolu chor. Hornung kazał stróżowi bóżnicy otworzyć drzwi i przeprowadził rewizję budynku. Ku swojemu zdumieniu przekonał się, że wewnątrz nic nie jest naruszone, natomiast urządzono tam skład broni i amunicji; znajduje się tam bowiem i karabin maszynowy, amunicja do niego na taśmach, kilkanaście karabinów ręcznych i kilka skrzyń amunicji karabinowej...

Wśród rozgardiaszu, jaki panował na mieście, i na odwachu, gdzie co chwilę patrole sprowadzały grupy rabusiów obładowanych łupem, zjawił się w południe dnia 23 listopada dr Szulc, profesor Akademii Rolniczej w Dublanach i przedstawił mi sytuację Dublan, które lada chwila mogli zająć wyparci z miasta Ukraińcy.

Wobec tego przydzieliłem p. profesorowi pluton „Bemaków” pod dowództwem chor. Hornunga. Pluton ten, wraz z kilkudziesięcioma uczniami niższej szkoły rolniczej, otoczony prawie stale przez nieprzyjacielskie oddziały, bronił Dublan skutecznie przez blisko dwa tygodnie. Z mojej strony żadnej pomocy temu oddziałowi dać nie mogłem, gdyż oddział mój brał stale udział w akcji, przy czym mocno dawało się we znaki osłabienie, spowodowane wysłaniem grupy do Dublan. Oddział dublański trzymał się jednak dzielnie, kontaktując się przy każdej sposobności ze mną.

Pewnego dnia zdarzył się nawet taki wypadek: Z Dublan przybyło do mnie na ówczesny odcinek do Snopkowa (szkoła żeńska gospodarcza) dwu łącz-

ników, a to plutonowy Urbański Mikołaj i Mazurkiewicz, zdając mi raport z sytuacji, oraz przedstawiając potrzebę silniejszej obsady Dublan. W tym zaś czasie Ukraińcy otoczyli Dublany pierścieniem przeprowadzając atak. Nieprzyjaciół jednak nie uświadamiał sobie potrzeby przerwania połączenia telefonicznego Dublan ze Lwowem, skutkiem czego zawiadomiono mnie natychmiast o oblężeniu. Oblężeni twierdzili jednak, że sytuacja jest dobra i z tej strony Dublanom w tej chwili nic nie grozi, zaniepokojeni są jednak o losy swoich wysłanników tj. Urbańskiego i Mazurkiewicza. Uspokoilem ich, że obydwaj podoficerowie są jeszcze u mnie. Teraz dopiero zaczęła się najciekawsza część rozmowy, Mazurkiewicz i Urbański bowiem wyrazili gotowość natychmiastowego powrotu do Dublan. Umówiliśmy się więc, że w nocy obydwaj podoficerowie podejda możliwie najbliżej pod mury Dublan, zmieszają się z żołnierzami ukraińskimi, gdyby nawet tak wypadło i staną wprost żelaznej bramy zakładu, skąd dadzą znać o swojej obecności krakaniem. Otrzymaawszy odpowiedź z obrębu Dublan obydwaj ryzykanci mają się zerwać i wpaść w otwartą na moment bramę. Ten plan działania umówiony tak szczegółowo ponad głowami ukraińskich oddziałów, powiódł się w zupełności; około 1 w nocy zadzwonił telefon z Dublan i usłyszałem głosy obydwu podoficerów, które dźwięczały na tle silnego rechotu karabinowej palby. Dublany były w ogniu walki...

W Dublanach pluton ten pozostał przeszło dwa tygodnie i odszedł stamtąd zluzowany przez kompanię w sile około 120 bagnetów, pozostającą pod dowództwem por. Starka. Na drugi dzień po wyjściu plutonu chor. Hornunga z Dublan nieprzyjaciół zajął Dublany i rozbił kompanię por. Starka...



Na przykraj, uciążliwej i równocześnie demoralizującej żołnierza służbie minęły trzy dni, w czasie których sytuacja nieco się uspokoiła. Rabusiów już wyłapano, koszary na Kurkowej były przepełnione aresztowanymi. Znajdowało się ich tam przeszło 2000.

Żandarmeria zajęła się nimi.

Rozkaz przerzucił mnie bezpośrednio ze służby w śródmieściu na odcinek leżący poza miastem. Oddział mój odszedł na Pohulanę, aby tam zająć pozycję.

Tak skończyły się walki odcinka „Bema” w samym mieście. Oddział mój zdobył ogółem:

6 karabinów maszynowych, 2 armaty, 3 automobile osobowe, wiele broni ręcznej, amunicji i żywności, straciwszy przy tym 37 zabitych i 51 rannych.

IX.

W r o g o w i e i s w o i.

Podając relatywnie, w skrótach, przebieg walk, które żołnierz mój staczał na odcinku „Bema”,

z kolei muszę scharakteryzować czas, niektóre zdarzenia i ludzi, którzy w tych walkach brali udział.

Różni wiele pisali i mówili o przeciwnikach naszych z czasów obrony Lwowa, wiele w tym było głosów potępiających. Ja jednak muszę przyznać, że w batalionie Siczowych Strzelców będących pod komendą kpt. Franka, a obsadzających koszarę Ferdynanda, miałem przeciwników godnych i rycerskich.

Poza jednym wypadkiem strzelania w dniu 9 listopada na ul. Wolność do patrolu sanitarnego, nie było więcej podobnych wypadków, w tym zaś jedynym wypadku mam po części nieprzyjacielską załogę koszar za wytłumaczoną, gdyż patrol sanitarny ostrzelany tego dnia, złożony z sanitariuszek: Zofii Karwaj i Wilmy Bojanowskiej, odznaczał się wprost nieprawdopodobną odwagą i sanitariuszki na widok ранnego starały się zawsze nawet w największym ogniu dotrzeć do niego, zapominając często chorągwi „Czerwonego Krzyża”.

Miałem natomiast wiele stwierdzonych wypadków rycerskiego zachowania się żołnierzy ukraińskich i ich dowódców.

Ludność cywilna zamieszkująca ulice stanowiące teren walk cierpiała głód. W pierwszych dniach nie pamiętaliśmy o potrzebach tej ludności, zwróciła nam na to uwagę dopiero ona sama wywieszając w oknach napisy:

„Żołnierze, jesteście głodni! Chleba!”

Aby przyjść z pomocą głodującej ludności zawieraliśmy lokalne kilkugodzinne zawieszenia broni, w czasie których wydawaliśmy z naszych magazynów prowiant. Nie zdarzyło się nigdy, by ludność zaopatrująca się u nas, a częściowo byli to mieszkańcy ulic zajętych przez Ukraińców, była przez nich napastowana, lub żeby im Ukraińcy jakiegokolwiek czynili wstręty. Przeciwnie, rozumieli dobrze ciężką sytuację tych ludzi i nie sprzeciwiali się przechodzeniu ich na naszą stronę, mimo że mogli przecież spodziewać się zdrady.

Apropozycją ludności cywilnej zajmował się nasz wiecznie czynny raz gospodarczo, to znowu bojowo, pchor. Klauzal. Mieliśmy żywności pod dostatkiem, brakowało nam jedynie chleba, wobec czego konserwy mięsne sprzedawaliśmy ludności cywilnej po 1 koronie za puszkę (ubodzy otrzymywali bezpłatnie), a za pieniądze uzyskane ze sprzedaży konserw, zakupywano chleb w młynie Tohma, przy ul. Janowskiej.

Zaprowiantowanie oddziału nie pozostawiało nic do życzenia. S. S. Felicjanki tak z ul. Bema jak i Janowskiej, wywiązywały się znakomicie z przyjętych na siebie funkcji „polowych kucharek“.

Sława „Odcinka“ pod względem kulinarnym spłynęła szeroko, to też porcyj obiadowych wydawano codziennie 600 i więcej, chociaż stały stan bojowy oddziału wynosił 240 bagnetów. Żywili się więc u nas niemal wszyscy „bohaterscy

łazicy“ z całego Lwowa. Choć znane nam były te „typy“, dawaliśmy im jednak jeść, oni zaś musieli nam tę strawę „odrabiać“.

Z „łazików“ tych bowiem organizowano „przykorycie“ patrole dzienne, którymi niepokojono nieprzyjaciela. W ten sposób dając moment wytchnienia własnym żołnierzom stałej załogi, trzymano nieprzyjaciela w stałym napięciu nerwów i pogotowiu, nie wypuszczając jednocześnie inicjatywy z rąk własnych.

Koszary Ferdynanda obsadzał pełny batalion „Siczowych Strzelców“ w sile przeszło 400 bagnetów i 6 karabinów maszynowych, koszary policji przy ul. Kazimierzowskiej — batalion około 400 bagnetów. Z batalionu tego i kompania i 2 karabiny maszynowe zajmowały szkołę św. Anny i i kompania z 2 karabinami maszynowymi ul. Rappaporta, Jachowicza, Pod Dębem. Pozostałe 2 kompanie stanowiły w koszarach policji rezerwę odcinka.

Znane mi są jedynie nazwiska dowódcy batalionu w koszarach Ferdynanda kpt. Franka i dowódcy komp. w szkole św. Anny ppor. Lewickiego, podobno syna pośła Kościa-Lewickiego.

Nieprzyjaciel rozporządzał wielkimi składami prowiantowymi w Domu Katolickim, stojącym tuż obok koszar Ferdynanda. Był to: Magazyn Arcybiskupiego Komitetu Pomocy Ofiarom Wojny.

Magazyn ten, zawierał tak nieprawdopodobne zapasy czekolady i sardynek, że Ukraińcy przez 3 tygodnie nie zdołali tych zapasów skonsumować. Nigdy nie przypuszczałem, że aż tak rzetelnie dbał ten „Komitet Arcybiskupi“ o podniebienia ofiar, którymi się opiekował...

W walce, jaką z uporem staczaliśmy dzień w dzień, byliśmy właściwie bezbronni.

Nie mieliśmy prawie zupełnie granatów ręcznych, brak też było wszelkiego materiału wybuchowego, a tylko tymi środkami można było wywalczyć sobie przejście do wnętrza koszar. Kilka-naście sztuk granatów ręcznych, jakie posiadaliśmy, przechowywano pieczołowicie na czarną godzinę. Wdarcie się do koszar Ferdynanda, zbudowanych z murów o metrowej grubości, o oknach silnie okratowanych, a drzwiach wejściowych zabarykadowanych workami z piaskiem, było możliwe tylko przy użyciu, jak już wspomniałem, materiału wybuchowego. Inaczej czekać trzeba było na chwilę, w której odbarykadowano by któreś z wejść.

Zasadniczo za wejście do koszar służyło Ukraińcom okno w węższej ścianie koszar od strony Domu Katolickiego. Okna tego pilnie strzeżono i odpowiednio je zabezpieczono. Dojście do tego miejsca dla nas było wykluczone.

Kilkakrotnie zwracałem się do komendy „Szkoły Konarskiego“ o przesłanie mi materiałów wybuchowych, następnie miotacza min ciężkiego kalibru.

Komenda naczelna posiadała kilka sztuk takich miotaczy, wyrzucających miny o zawartości 22 kg ekrazytu. Prośb moich jednak nie uwzględniono.

Koszary Ferdynanda były kluczem do opanowania całego miasta, jednak nie doceniano ich znaczenia i opóźniano akcję przeciw nim.

Wreszcie, gdy postanowiono wysadzić koszary, odkładano wykonanie z dnia na dzień, aż dokonano tego w 10 minut po godz. 6 dnia 18 listopada tj. już w czasie obowiązującego zawieszenia broni...

Przez przeszło tydzień badano teoretycznie plan podziemnych chodników kanałowych. Inżynierowie biedzili się tylko po to, by w nocy z dnia 17 na 18 listopada całą inżynierską odpowiedzialną robotę oddać w ręce niedołęznego staruszka kanałarza.

Czas poświęcony tym pracom zmarnowano. Źle obmyślono założenie miny, saperzy winni byli dokonać tego osobiście i przejść kanałami z miarą w rękę, by nie popełnić błędu.

Istniała jeszcze możliwość opanowania koszar Ferdynanda przez ich otoczenie. Była to rzecz prosta i łatwa, trzeba było tylko częścią załogi „Góry Jura“ wzgl. „Dyrekcji Kolejowej“ obsadzić ul. Zygmuntowską i Zamkniętą, a wtedy nabrałoby sensu zajmowanie i obsadzanie kościoła św. Anny. W ten sposób uzyskiwało się szczelne zamknięcie ogniowe ul. Gródeckiej i połączenie jej z Kazimierzowską.

Placówki ul. Bema 2, Zamknięta, Zygmuntowska, kościół św. Anny i wreszcie róg Janowskiej i Kleparowskiej nie tylko zamykały odcinek, ale mogły wspomagać się wzajemnie ogniem krzyżowym.

Bezpieczeństwo więc placówek cernujących „Koszary Ferdynanda“ było zapewnione. Nieprzyjaciół chcąc wybawić z niemiłej opresji załogę koszar, mógł tego próbować tylko przez zaatakowanie mego lewego skrzydła, by po przełamaniu oporu poprzez ul. Wolność nieść pomoc załodze koszar, a równocześnie zlikwidować tak przeprowadzonym atakiem placówki: róg Janowskiej i Kleparowskiej, oraz św. Annę. To wszystko można było przewidzieć i zapobiec przez odpowiednie zarządzenia.

Zarządzenia bojowe wyższego dowództwa wytwarzały tylko ciężką sytuację, powodowały niepowodzenia. Jednak nieprzyjaciół, otoczony w mieście wrogą ludnością, nie potrafił wyzyskać należycie tych niepowodzeń.

Np. dzień 11 listopada, kiedy to własna artyleria błędnie ustawiona na „Górze Stracenia“ zapaliła „Sanitäts Depot“, jedynie wskutek niezdecydowania nieprzyjaciela nie stał się dla Odcinka ostateczną klęską.

Warunki wytworzone na odcinku były rzeczywiście ciężkie: nie tylko trzeba było strzec się nieprzyjaciela, ale także ratować zapasy sanitarne z płonącego magazynu, ba, nawet gwałtownie

opróżniać składy nafty i benzyny, mieszczące się tuż koło płonącego budynku, gdzie przeważna część załogi Odcinka pracowała bez broni. Niezdecydowanie nieprzyjaciela, który przez cały czas akcji zasypywał nas tylko ogniem karabinowym i nie rozpoczął ataku, uratowało odcinek. Uczucie niepewności w mieście o przewadze ludności polskiej uniemożliwiło Ukraińcom wyzyskanie w pełni ich trzykrotnie większych sił. Obawiając się do pewnego stopnia zaskoczenia od tyłu, tkwili oni na swych pozycjach, jak na wulkanie.

Z drugiej strony zaś, biorąc pod uwagę dzielność i pewność pozostających na swoich śmieciach naszych żołnierzy, walki lwowskie winny były trwać nie dłużej jak dwa tygodnie. Że walki te przeciągnęły się, to wina fatalnego systemu dowodzenia, braku decyzji, współpracy w akcji bojowej sąsiadujących z sobą „Odcinków“ i „Sektorów“.

Dowództwo nad „Odcinkiem III“ w przeciągu pierwszych siedmiu dni zmieniło się trzykrotnie (kpt. Kamiński, kpt. Łoziński, rtm. Pomian-Cieński). Ostatecznie „Odcinek“ objął rtm. Cieński.

Dowództwo jego było czysto teoretyczne, przynajmniej w stosunku do mnie. P. rtm. Cieński był jedynie składnicą meldunków, zapotrzebowań i miejscem poboru amunicji. Przez cały czas walki w obrębie ulic Lwowa p. rtm. Cieński nie kierował żadną akcją, a nawet nie postarał się, by poszczególne „Sektory“ współdziałały ze sobą.

Każdy dowódca Sektoru musiał uważać się za samodzielną jednostkę pozostawioną jedynie własnym siłom i całkowicie zabezpieczać swe skrzydła od strony sąsiadów.

Naczelne dowództwo było początkowo zakonspirowane. O jego istnieniu dowiedziałem się dopiero w dniu 6 listopada od przysłanego mi dowódcy ppor. Czarneckiego. Do tej chwili komunikowałem się jedynie ze „Szkolą Sienkiewicza” i uważałem kpt. Borutę Spiechowicza za dowódcę Obrony Lwowa, gdyż przybyłem na odcinek „Bema” z jego rozkazu, jemu przysyłałem meldunki, od niego otrzymywałem posiłki.

Nieszczęściem Lwowa była personalna obsada dowództw. Wielu osobiście nawet odważnych i dzielnych oficerów, nie umiało jednak dać sobie rady z taktyką walki ulicznej. Powinno się było obsadzać dowództwa grup oficerami piechoty, mającymi pewne doświadczenie w bezpośredniej walce rozgrywającej się częstokroć w rowach strzeleckich. Tymczasem powierzano je oficerom artylerii, kawalerii, a nawet intendenty... Dowódcami byli wyznaczeni kolejno kpt. Kamiński kpt. Łoziński i rtm. Cieński. Pierwsi dwaj zrezygnowali prawie natychmiast ze stanowisk, nie odpowiadających ich dotychczasowej praktyce. Kpt. Kamiński był oficerem gospodarczym, Łoziński zaś artylerzystą. Trzeci jednak, rtm. Cieński dowództwo to przyjął.

Taktyka, którą przyjął por. Abraham, dowódca Góry Stracenia, była, moim zdaniem, błędna. Taktyka jego polegała na trwałym obsadzaniu Góry Stracenia i wysyłaniu w przód jedynie słabych patroli nie mogących utrzymać trwałej linii.

Unieruchomienie tego oddziału przyczyniało się do ciężkiej sytuacji moich placówek na lewym skrzydle. Następstwem tego było wdarcie się Ukraińców w dniu 9 listopada na ul. Wolność poza moje lewe skrzydło.

Jednocześnie, taktyka por. Abrahama nie pozwalała mi na wysunięcie się tak głęboko w przód, jak to było możliwe. Były chwile, gdy nieprzyjaciel, zagrożony na innych odcinkach, przerzucał oddziały sprzed naszego frontu; wówczas zajęcie ulicy Kazimierzowskiej było zupełnie łatwe. Nie-możliwe jednak było dokonanie tego z chwilą, gdy zbyt wydłużone skrzydło musiałoby zawisnąć w próżni.

Walka o Lwów winna była być prowadzona z uporem o każde okno, bramę, dom, róg i ulicę.

Urządzanie harców kawaleryjskich było błędne i nie dawało rezultatów.

Wokół ludzi tworzących oddział „Bema” z czasem, choć tak nie wiele lat upłynęło, powstała jakaś dziwna legenda. Legendę tę wyimaginowała w mózgach ludzkich czerwona barwa naszych opasek tak, że nawet biały napis „Bem” nie był w stanie stłumić tej trochę żywszej czerwieni...

Faktem jest, że na prawym skrzydle znajdował się i uzurpował sobie — co prawda tylko teoretycznie — prawo dowódcy tego skrzydła Mazur. Ba, pragnął przecież i mnie usunąć, jak o tym już wspominałem. Mazur miał przekonania komunistyczne i agitował wśród żołnierzy na rzecz swego politycznego wyznania. Ranny w dniu 18 listopada przy ataku na koszary Ferdynanda, odszedł do szpitala na „Technikę”. Wtedy umysły rozagitowanej młodzieży uspokoiły się.

Wprawdzie po wyjściu ze szpitala Mazur rozpoczął na nowo swoją działalność komunistyczną, działało się to jednak już poza Oddziałem. Dawni jego sprzymierzeńcy, członkowie „Delegacji Rady Żołnierskiej” stali się moimi mężami zaufania na tajnych posiedzeniach, które Mazur odbywał z delegatami różnych Oddziałów i rodzajów broni.

W czasie jednego z takich zebrań, przy współudziale dawnych „Delegatów Czerwonej Rady Żołnierskiej” aresztowano Mazura i tym samym zlikwidowano aferę komunistyczną.

Według informacji, które otrzymałem, Mazur w czasie bolszewickiej ofensywy w 1920 r., miał być dowódcą Sowieckiej Brygady Piechoty atakującej Lwów.

Mógłby mi ktoś zarzucić, że działałem zbyt łagodnie w likwidowaniu zapoczątkowanego komunistycznego gniazda, jednakże muszę stwierdzić, że tych parę słów, które wypowiedziała „Delegacja”, dały mi do poznania, że mam do

czynienia jedynie z fanfaronadą młodych chłopców pozostających pod niezdrowym wpływem Mazura.

Uważałem przy tym, że wyciągnięcie następnie konsekwencji w stosunku do samego Mazura tj. aresztowanie go, mogłoby podniecić umysły tych, którzy byli z nim silniej związani, a nie miałem żadnych powodów skarżyć się na bojowe stanowisko żołnierzy, pozostających pod jego wpływem.

Uważałem, że zbagatelizowanie jego działalności było w danej chwili silniejszym kontragitacyjnym atutem, aniżeli aresztowanie.

Tak przedstawiałaby się w zarysach geneza „legendy” o „Czerwonej Gwardii Lwowskiej”.

A żołnierz, którym na tym odcinku dowodziłem, to wzór bitnego i ambitnego żołnierza frontowego, to zgrana i wspólną sprawą złączona grupa ludzi, która z uporem, mimo niezliczonych przeszkód, szła do celu.

Żołnierze ci, złożeni z najrozmaitszego elementu, żyli jednak ze sobą w braterskiej zgodzie. Legionista, za pan brat z austriackim „trepą”, stary weteran wojny tuż obok kilkunastoletniego smyka, którego karabin przerastał...

Wszyscy zgodnie szli w bój. Nikt tu nie był gorszy ni lepszy. Wszyscy równi w walce czy przy kotle. — Oficer armii „sztandarowej” miałby tu wiele do zarzucenia, raziłby go brak „drylu wojskowego”. — Tego tu stanowczo nie było. Oficer był starszym bratem żołnierza... był niańką prowadzącą niesforne dziecko drogami śmierci.

Żołnierz zaś ufał oficerowi i cenił go, bo oficer szanował i nie marnował żołnierza. Tylko w boju obowiązywała bezwzględna dyscyplina. I dziw, że ten żołnierz, skądinąd niesforne, był w walce najbardziej dyscyplinowanym z żołnierzy, jakich miałem w czasie wojny.

Pamiętać przy tym należy, że żołnierz walczący we Lwowie, to albo „smyk“, który się wyłamał z karności domowej i „wyrwał“ od rodziców, by walczyć, lub też stary weteran wielkiej wojny, który złamał już raz przysięgę i podał węzły posłuszeństwa w stosunku do oficerów, mimo że współżył z nimi może przez całe lata. Tych ludzi nie można było uchwycić z miejsca w karby dyscypliny. Wybryki ich poza polem walki należało traktować z pobłażliwością.

A dziwni to byli ludzie. Chwile triumfu nie kazały im się puszyć i na odwrót, chwile złe nie waliły ich z nóg. Z „kociokwiku“ opanowującego człowieka, po ciężkich przejściach i niepowodzeniach, „Bemak“ otrząsał się rychło. „Wisielczy“ humor nie opuszczał go nigdy. Oto przykłady:

Pewnego wieczoru przybywam na placówkę róg ul. Janowskiej i Kleparowskiej; mieści się tu szynk. Służy on za pomieszczenie placówki, lecz nie przedstawia już żadnej wartości konsumcyjnej. Wypite wszystko do ostatniej kropli... Chcąc namówić żołnierzy do akcji na tę noc, proponuję, by rozpocząć „ofensywę“ na szynk następny bo

„chyba wszystkim jednakowo gardło wyschło“. Na to otrzymuję odpowiedź jednego z „Bemaków“:

„Atakować, komendancie, to „frajer“, tylko cały „feler“ w tym, że najbliższy szynk na Kazimierzowskiej to Rozmusa, a to nasz chłop, fajny chłop, rozbić to go szkoda, a ominąć — drogi służbowej nie będzie“...

Mimo jednak tak wyraźnej odmowy, w której był honor lwowskiego „batiara“ i cudowne jego złote serce, szybko zorganizowano patrol i urządzono wypad na ul. Kazimierzowską. Ominawszy Rozmusa poszli dalej w głąb miasta. Wpadli tam do szynku zdaje się „Pod Capkiem“ i wyrzucili buszujących w nim Ukraińców. Chcieli i mnie przynieść namacalny dowód swoich sukcesów, niestety, przeznaczony dla mnie gąsior nalewki wiśniowej zginął tragicznie. Trafiony w sam środek kulą legł na drodze, zalewając strugami smakowitej „krwi“ ścieżkę odwrotu...

Jako drugi przykład humoru „Bemaków“ podam scenę już z późniejszego okresu walk lwowskich.

W drugi dzień świąt Bożego Narodzenia 1918 r. zostałem zaalarmowany zajęciem Zboisk przez Ukraińców. Ze Zboisk zluzował nas kpt. Majkowski w dzień Wigilii. Otrzymałem rozkaz natychmiastowego wyruszenia na Zamarstynów i odebrania Zboisk kontratakami. Około godz. 11 maszerowałem z całym oddziałem ul. Akademicką.

Oddział śpiewał swoją tradycyjną piosenkę zaczynającą się od słów:

Ukraińców bierze trema
Bo to idzie gwardia „Bema“ itd.

Orkiestra oddziału (harmonia) wtórowała pieśni. Skręcaliśmy właśnie z ul. Akademickiej na plac Mariacki, gdzie w Hotelu Francuskim mieści się dowództwo brygady. Pierś rozbrzmiewała pełnią głosów, a towarzyszyły jej wybuchy granatów padających na miasto i roznoszących po ulicach głucho echo... bum... bum...

Dźwięk pieśni wywabił dowódcę brygady płk Mączyńskiego, który z kilkoma oficerami sztabu wyjrzał przez okno. Zauważywszy go wydaje komendę „baczność“. Wtem jakiś Bemak-poeta dostrzegł także stojący w oknie sztab i w jednej chwili, mimo rozkazu, cicho na razie, pod nosem zaimprovizował piosenkę w takt padających gdzieś na miasto granatów:

Bum ! Bum ! Bum !
Naj brygada daje rum
naj nam daje okowitę
naj nam daje śliwownicę
a my zbijem Ukraince...

Natychmiast cały oddział podchwytuje słowa piosenki, harmonia gra do wtóru i pieśń wzbija się wysoko do dowódcy brygady. Rozweselony oddział staje pod dowództwem i powtarza piosenkę.

Skutek jej był nadzwyczajny. Płk. Mączyński znając swoich lwowskich „batiarów” i ich rubaszny humor, śmiejąc się, kazał wydać rum. Poszliśmy do kontrataku. W godzinę później Zboiska były w naszym ręku.

O pierwszorzędnej wartości tego żołnierza najlepiej świadczy fakt, który miał także miejsce już w późniejszym okresie walk lwowskich.

Oto w przeddzień powyżej opisanego wypadku zaalarmowało mnie dowództwo brygady, że Ukraińcy zajęli Skniłów. Otrzymałem rozkaz pośpieszenia z pomocą z całym moim oddziałem majorowi Baczyńskiemu, który miał kontratakować z rejonu Sygniówki.

Niestety, dziś pierwszy dzień Świąt i pierwszy dzień odpoczynku dla moich żołnierzy. W koszarach mam tylko trzech ludzi i zawdzięczam to tylko temu, że wszyscy trzej (rodzeni bracia) pochodzili gdzieś z dalszej części Małopolski Wschodniej i nikogo z krewnych we Lwowie nie mieli. Przerwałem więc ich sen i poleciłem, by natychmiast pospieszyli na Gródecką, gdzie znajdą z pewnością zabawiających się „Bemaków”. Spotkanych mają zebrać pośpiesznie w oddział, najstarszy podoficer, jaki się znajdzie, obejmie nad nim dowództwo i bezzwłocznie uda się na Sygniówkę, gdzie zamelduje u mjr. Baczyńskiego, że przyprowadził posiłki do kontrataku.

— Tylko nie zróbcie mi wstydu, zastępujecie cały oddział „Bemaków” — rzucam im na odchodnym.

Zebrało się 18 ludzi. Dowództwo nad nimi objął plut. Mazurkiewicz. Poszli i spisali się nadzwyczajnie. Dowódca kompanii, do której zostali przydzieleni, kpt. Zagórski wprost nie miał dla nich słów uznania.

Sami pierwsi poszli do kontrataku i odbili folwark Skniłów, obsadzony przez pełną kompanię ukraińską. Przez trzy następne tygodnie staczałem heroiczne boje, aby mi oddano moich ludzi. Kpt. Zagórski twierdził, że dopiero mając ich u siebie czuje się bezpiecznie. Codziennie prawie pluton przysyłał do mnie delegata z prośbą, abym interweniował w sprawie ich powrotu do oddziału. Byliby w końcu sami zwiali i przyszli, ale twierdzili, że z linii frontu nie wypada *im tego czynić*.

Ja zaś, chociaż tak mi zależało na powrocie tych ludzi, dumny byłem, że ich tak ceniono. Boć przecież, jeżeli istnieje przysłowie „jaki pan, taki kram” to i na odwrót zastosowane być może „jaki kram, taki pan”.

Był to naprawdę oddział ludzi dzielnych, owianych animuszem wojennym i odważnych aż do przesady. W bój szli zawsze pełni *humoru*, czy to jeszcze pod koszarami Ferdynanda, czy to podczas późniejszych walk. Cechowała zaś ich nade wszystko miłość do swojego miasta, miłość tak ogromna, że można im było ją wyrwać tylko wraz z sercem...

I wiele, bardzo wiele tych serc gorących utuliła wierna swoim obrońcom matka-ziemia...

X.

Mówiąc w ustępie poprzednim: Lwów wolny ! miałem na myśli jedynie tę wewnętrzną wolność miasta, którego bruk wolny był od stopy najeźdźcy... W całym jednak tego słowa znaczeniu Lwów uwolniony został dopiero z wiosną 1919 r. Tymczasem jeszcze szereg miesięcy spływał uliczny bruk krwią jego mieszkańców... Daninę krwi składały najobficiej kobiety... Te wystające przy studniach godzinami całymi matki i żony, czekające na możliwość zaczerpnięcia kubła wody... Wróg otoczył miasto zwartym pierścieniem. W jego ręku znajdowały się źródła, z których miasto czerpało wodę... Puste były rury wodociągów, jedynie stare studnie i skromne miejskie zapasy wody zaopatrywały mieszkańców oblężonego miasta.

Ileż to razy długi rząd kobiet czekający cierpliwie na kubel wody musiał się rozbiegać, gdy w gardziel uliczną wpadał nieprzyjacielski pocisk... Ileż to razy uliczny bruk spływał krwią tych cierpliwych kobiet stojących u studzień...

Na krańcach miasta czuwała garść żołnierzy, otaczająca swój rodzinny gród zasiekami wiernych, kochających serc... Czuwały one u bram miasta, wierząc niezachwianie w zwycięstwo.

W tym okresie walk, odmiennym od poprzedniego, żołnierz mego oddziału przerzucany z jednego frontu odcinka na drugi — walczył bez przerwy... Krótkie chwile odpoczynku przerywał co raz roz-

kaz do kontrataku... Skniłów — Rzęsna Polska — Kościana — Zboiska. I żołnierz mój zrywał się na alarm i biegł, by walczyć tam nawet w chwili zasłużonego odpoczynku.

Front lwowski kostniał zwolna w pozycyjnej walce, nim jednak ustaliła się stała linia obronna, trwała ruchoma walka na miejskich przedpolach. Zrazu nieprzyjaciel, tak gwałtownie wyparty z miasta, odbiegł daleko od miejskich granic, jednak szczupłość naszych sił uniemożliwiła nam dłuższe utrzymanie licznych nieprzyjacielskich watah na tej przyzwoitej odległości. Oddziały nasze zmuszone były cofnąć się pod miejskie zaplecze, by w każdej chwili zwarte w ciasnym kole szeregi obrońców mogły wzajemnie nieść sobie pomoc.

Nim jednak do tego doszło, oddział mój starał się dalekimi wypadami utrzymywać nieprzyjaciela w szachu.

Dnia 29 listopada szerokim wachlarzem rozestawne patrole wpadły do Starego Sioła, wsi o 25 km odległej, gdzie znalazły się w centrum zbierających się wojsk nieprzyjacielskich i przynajmniej na dni kilka opóźniły koncentrację sił. Hen po drugiej północnej stronie miasta, daleko, w Dublanach, detaszowany, walczył pluton chor. Hornunga, by nie dopuścić wroga do siedziby Akademii Rolniczej. My zaś, na południowym miejskim przedpolu, borykamy się z nieprzyjacielską przewagą.

Żołnierz „Bemak“, choć mało jeszcze wyszkolony, choć mocno szwankowała w tym ludzkim zbiorowisku wewnętrzna dyscyplina oddziałowa, posiadał jednak pierwszorzędną wartość bojową. Rozbrykanego wolontariusza nie tak łatwo ująć w karby wojskowej dyscypliny, w czasie walk toczących się bez przerwy... Trudno — jak młodość wyszumieć — tak cywil z żołnierza wyszumieć musi...

Tu jednak na pozór niezdyscyplinowana „banda“ posiadała pierwszorzędne wartości bojowe. Żołnierz był uparty, obrotny i pełen inicjatywy. Nieraz musiałem wstrzymywać, chronić tych zapaleńców od wykonania zbyt ryzykanckich wypraw i wypadów... To był żołnierz, którym przyjemnie było dowodzić w walce, choć nie należało do przyjemności kruszyć stale kopie w jego obronie na tyłach... I tyły wymagały dyscypliny, umiaru w wybrykach, ta zaś „banda“ kochana odznaczała się jednakowo fantazją na froncie i na tyłach...

Jakiego gatunku były to typki, niech posłuży przykład poniższy. Biorę tu najmłodszego prostego żołnierza oddziału Uruskiego — wesołka nad wesołki, któremu z tej racji nadano przydomek „Świrk“.

„URUSKI“

Gdy patrzę teraz na małą pękatą postać łysego jegomościa, wierzyć mi się nie chce, że to Uruski.

W czasach, gdy służył na „Bema“ i później w kompanii karabinów maszynowych mego Baonu Szturmowego, był także mały, lecz małością malca, nedorostka.

Ha — mówią: Dasz szczeniakowi wódkę, to nie urośnie.

Przydział amunicyjnego przy karabinie maszynowym nie pozwalał mu zabłysnąć osobistym męstwem i zostać głośnym bohaterem, a jednak nie było popularniejszej od niego postaci w całym batalionie. Zawsze, na każdym postoju witano go życzliwie w każdej grupie żołnierskiej bez względu na jej przynależność kompanijną. Bo zaiste Uruski posiadał niezwykle talenty towarzyskie — dobry humor nie opuszczał go nigdy, dowcipami sypał gęsto i rozśmieszał do łez słuchaczy, a z gwary lwowskiej potrafił wydobyć niespodziewane wprost efekty.

Te wszystkie jego zalety „towarzyskie“ były jednak walorami jednostronnymi, że się tak wyrażę, kulturalno-społecznymi baonu. Pod względem zaś gospodarczo-konfekcyjnym Uruski był plagą oddziału. Mimo moich osobistych starań, by tego wesołka przyodziać jakoś przyzwoicie, nie można było zmienić okropnego stanu rzeczy. Nie było pewnie w kompanii nikogo, kto by go dłużej niż parę godzin widział w całych portkach i butach. Jego ukochanym strojem (z taką bowiem zawziętością i predylekcją powracał zawsze do

niego po wszelkich próbach reformy) były podarte spodnie i, co ciekawe, wiecznie rozdarte z boku, od strony zewnętrznej i to od samej kostki aż do kieszeni; obuwia nie uznawał w ogóle. Taki „zaniedbany w stroju“, zawsze wesoły wyrostek, był bardzo miłym towarzyszem. Pomińmy wartość literacką jego monologów gwarowych, ilustrowanych muzycznie na ustnej harmonijce i podkreślanych oryginalnymi ruchami tanecznymi, lub też nadzwyczajną mimiką, niech nam wystarczy, że były one ulubionym widowiskiem żołnierzy w każdej wolnej chwili.

Nawet siebie i swoją głuchotę, która mimo kilkunastu lat zaczynała mu się dawać we znaki, Uruski brał za temat dowcipu. Kiedyś tam, jeszcze na odcinku „Bema“, podjechał konno pod jedną z placówek, gdzie go nie znano, odziany w mundur z dystynkcjami majora, wywołał podoficera, komendanta placówki i dał mu „szprycę“ w pięknym makaroniczno-służbowym języku, z taką swadą, zacięciem i umiejętnością naśladownictwa, że besztany podoficer uwierzył, iż ma przed sobą prawdziwego majora, który mu się jako Głuchy przedstawił. Toteż bardzo się zmieszał biedny podoficer, gdy nagle ujrzał, iż „pan major“ na swoim koniu małpie hocki klocki wyczynia i wrzeszczy przy tym urzędowym dyszkantem:

„Major Głuchy jestem, bo nie dosłyszałem“!!!

Bzikował Uruski, jak mógł, a najweselszym jego pomysłem było opowiadanie, wygłoszone w Sichowie po potyczce z nieprzyjacielskim pociągiem pancernym. Ponieważ opowiadanie to oparte było o niedawno przeżyte momenty potyczki, trzeba pokrótce opowiedzieć jej dzieje.

W okresie tuż po oswobodzeniu Lwowa, tj. gdzieś w grudniu 1918 r., wybrałem się z moim oddziałem na wypad w przedpole w kierunku na Stare Sioło. Celem tego wypadu było schwytanie ukraińskiego pociągu pancernego, którego dowódcą był mój przeciwnik jeszcze z koszar Ferdynanda, kpt. Frank. Idziemy marszem ubezpieczonym. Gdy jesteśmy już w środku Sichowa, nagle spoza wzniesienia terenowego, na którym stoi stacja Sichów, widzimy obłoki czarnego dymu, a za chwilę komin i górną część piersi stojącej lokomotywy. Szybko wydaję rozkazy, obsadzam piechotą rów szosy biegnącej równolegle do toru, ubezpieczam się z lewej flanki plutonem pchniętym w lasek sosnowy, rosnący ponad szosą i staram się obejść pociąg i zerwać część toru. Dwom karabinom maszynowym nakazuję zająć stanowisko w budce zwrotniczego stojącej tuż nad torem między wsią Sichów a stacją kolejową. Postanawiam otworzyć ogień dopiero wtedy, gdy środek pociągu tj. lokomotywa znajdzie się na równi z budką. Cały ten manewr odbywa się sprawnie, bez zwrócenia na siebie uwagi nieprzyjaciela; teren bardzo mi ułatwia zadanie.

Poszczególne grupy mego oddziału zajęły już swoje stanowiska. Pociąg rusza z miejsca posuwając się zwolna w naszym kierunku. Zatem zasadzka się udała. Jeszcze chwila i lokomotywa zrówna się z budką zwrotniczego. W okienku lokomotywy widoczna postać dowódcy pociągu lornetującego okolicę — szklanymi omiata dalsze partie terenu... nie przeczuwa bliższego niebezpieczeństwa. Wtem salwa i piekielny grzechot dwu karabinów maszynowych. Nagłe zaskoczenie dezorientuje załogę pociągu. Dowódca jej, kpt. Frank, pada zabity — maszynista jest ranny. Pociąg staje unieruchomiony pod morderczym ostrzałem. Zdaje się, że już nic nie zdoła go uratować: jeszcze chwila, a wysłany pluton zdąży do toru na jego tyłach... W tym decydującym momencie obsługa nieprzyjacielskiego działka, umieszczonego na tylnym wagonie, przerażona sytuacją, oddaje serię strzałów w nieszczęsną budkę, stanowisko naszych karabinów maszynowych. Na chwilę urywa się chichot k-emów trzymających w szachu lokomotywę. Z przerwy tej korzysta ktoś z obsługi i nagłym zrywem cofa pociąg w kierunku Starego Sioła, mijając pluton minerski w chwili, gdy ten dobiegał do toru.

Tak umknął nam ukraiński pociąg pancerny, ale później już nie odważył się zapuszczać w te strony.

Zaniepokojony o obsługę karabinów maszynowych wpadam do budki. Wszyscy z komendan-

tem Rembowskiem na czele, cali, brak tylko Uruskiego... Niespokojne pytania przerywa sam Uruski zjawiając się w towarzystwie jakiejś dziewczyny...

Pokój w którym stoimy, przedstawia zupełne rumowisko; w powietrzu unosi się jeszcze mgła wapiennego pyłu, w ścianach pełno otworów wybitych granatami, Uruski i jego towarzyszka biali od pyłu osiadłego na ich odzieniu. I w tej atmosferze rozpoczyna się makabryczno-humorystyczna opowieść Uruskiego.

— „Ta joj! Ludzi! — jak si ta pancerka pokazała i stanęła sobi tak pod oknami, że mogłeś karaimowi, jakby który jape otwarł, w brzuch wglądać, a maszynki nasze si roztrajkotali-ta-ta ta-ta-ta, tak mi komendant Rembowski bałaka: Megaj po ferszlagi! Tak ja giry w ruch i hybam na dół do sieni po ferszlagi — łape jeden ferszlag w jedne grabe — ee — drugi w drugu i już chcom, wracać na góry — a tu ci karaimy — ba — buch! ba — buch! Myślę se, ta joj, źle jest! W bezdzietnym stanie mnie chcom te pogany na drugi świat wysłać. I na pogrzebie mikrus żaden sirota nie zaskomli nawet za człowiekiem, ani żona nie zapłacze, kochana wdowa. — Tak ja se mówi: Ta ratuj si, Uruski, bo karaimy na ciebie armaty wycelowali i życia słodkiego pozbawić chcą... I, ludzi, powiedzcie, za co ta takie — ach matery by ich — na mnie zawzięte byli? co?

Za tu, że ja te skrzynki z różańcami nosze? Abo ja to do nich strzelam? I nikto im nic — tylko im bidny, głuchy Uruski zawadza. Za co? powiedzcie ludzie — za co? Frajer jestem, żebym si pod armaty na rozstrzelanie ustawiał? Łóżko, widzem jest i pierzyny na nim niezgorsze — to ja mig do łózka. — Ale patrzem jeszcze, a nad łóżkiem bidna sikora wisi, a ani okiem nie mrugnie tylko sobi furt tik — tak — tik — tak robi. Tak żal mi si, ludzi, sikory zrobiło — bo se myślę: rozbijo jeszcze taki fajny instrument i ja nem sikore, a karaimy znów — ba — buch!! tak we mnie celują, że aż strach! A po chawirze cegłówkami kida i różnymi meblami — o tu Franc Jozef leży w poniwirce, a tam imbryk od kawy... Kto by się nie dekował? Ha! Ta ja jak uha-pilem sikorę tak mig pod łóżko — Boże broń jeszcze by Uruskiego ukatrupili i kto by potem ferszlagi do maszynki nosił? Ale włożym pod wyrko, a tu patrzym, ta tam w konci dziwce leży i piszczy, co si boja... Mojre musi mieć, to sie wi... Ta ja ją głaszczę, pocieszam, a mówiem: nie bój si, bo ja sam w strachu i przytulam si do nij, a ona mnie odpycha. Tak ja jii mówiem: a sikorę chcesz? To ona kiwa głową... No ta, ludzi kochane, dałem jii te sikore a ona teraz si ślimaczy i pętluje co stratną jest, bo to niby jej fatrowa sikora była... Hu?! jaka tu sprawiedliwość. Miałem może ganiać i od Cypera sikorę nieść? Ha...?”

Tak się ta przygoda z ukraińską pancerką skończyła. Nie udała się wyprawa, ale i strat żadnych nie było — tylko na lwowskim przedpolu została, srodze podziurawiona budka zwrotniczego, a w niej markotna dziewczyna...

Z biegiem czasu, nieprzyjacieli zorientował się w naszych skromnych siłach i zaczął atakować, zrazu nieśmiało, potem z coraz to większą energią. Udało się jeszcze jeden wypad w dniu 2 grudnia do Pasiek Zubrzyckich dla ratowania mieszczącej się tam stajni wyścigowej. Już wtedy nieprzyjaciel orientujący się w moich siłach dokonał głęboko w tył zakrojone otoczenie, dążąc do przecięcia mi drogi odwrotnej między Sichowem a Lwowem. Meneur jednak zawiódł, nie udało się także przeszkodzić nam w wyprowadzeniu stajni, a nawet w zupełnym ewakuowaniu Pasiek z całym urządzeniem domów. Nieprzyjaciel tylko dobrze się zziątał, lecz nic nie wskórał — na miejscu pozostawiliśmy tylko puste ściany domostw...

Wypad na Pasieki Zubrzyckie, to ostatnie już dzieło naszej ofensywy.

Na długi czas front nasz znalazł się w defensywie. Monotonie pozycyjnych walk urozmaicały kontrataki lub wesołe przeżycia członków lwowskiej załogi...

W oddziale „Bema“, jak to już wspominałem, pełniły służbę dwie sanitariuszki: Wilma Bojanowska i Zofia Karwaj. Pierwsza inteligentka — lwo-

wianka, druga dość prosta sobie kobiecina — krakowianka. Obydwie sanitariuszki cechowała szalona odwaga w niesieniu pomocy rannym. Takie dwie kobiety oddane oddziałowi bez żadnego „ale” to dobrodziejstwo oddziału. Zośka miała ogromne szczęście w walce, kule ją stale omijały; mniej szczęśliwa natomiast była Wilma, bo zdaje się nawet dwukrotnie kulą oberwała. Za to Zośka mniej miała szczęścia w miłości — choć pewnie dzisiaj — gdy głowę siwizna przyprószyła, z dobrym uśmiechem na twarzy wspomina swe sercowe niepowodzenia. A Zosia romansowa była...

Baba taka sobie tuszą „nad miarę” urodziwa, choć gładka na gębie nie była. Latek — czy wiosen — liczyła sobie pod 30 i jakkolwiek z cywila była akuszerką — niemniej była romantyczna i na wdzięki męskie łasa...

A słuchy chodziły po „narodzie”, że Zośka ma „forsy całe kupe” i niejeden z młodych chłopaków do Zośki się podpuszczał.

Jednym ze szczęśliwych w umizgach do Zosi kawalerów był młody, przystojny, zgrabny podchorąży Fredzio K. Chłopakowi Zosia zaimponowała nietyle może legendarnym, czy rzeczywistym trzosem, ile raczej bujną postacią (są przecie tacy amatorzy), no i przede wszystkim nieprawdopodobną wprost odwagą.

Słowem, rozpoczął się po prostu flirt między Zosią i Fredziem. Fredzio, szczupły i drobny chłopaczek, mimo że utkwiała w jego sercu tak

ciężkowaga bogdanka, jakoś w tym czasie nie poma-
markotniał, ani też znać po nim nie było, że mu
tak wielki ciężar leżał na sercu. Zosia zaś, prze-
ciwnie, głęboko widać odczuła strzałę Kupidyna.
Potężna pierś jej falowała wydawaniem westchnień
seryjnych, a ręka raz po raz gładziła okolicę żo-
łądka, co podobno jest skuteczne przy uciszaniu
serca nadmiernie rozbujanego uczuciem.

Wiara, która Zośkę całym sercem kochała za
jej ofiarną pracę, z nabożeństwem spoglądała na
rozgrywający się akt dramatu i wszystko było
dobrze. Żaden czarny charakter nie usiłował
intrygami zamącić słodkiej idylli; tak trwałoby
może długo bardzo... gdyby nie to, że — jak to
zawsze z zakochanymi bywa — potrzebna im jest,
jeżeli już nie bezwzględna samotność, to przy-
najmniej lekkie odsunięcie się od grona ludzi,
z którymi się stale przebywa i na oczach których
miłość się zrodziła.

Z dążenia do odosobnienia się powstał u pary
zakochanej projekt pójścia we dwoje do teatru.
Projekt w zasadzie tak niewinny, że nikt przy-
puszczać nie mógł, iż będzie początkiem końca
wzruszającej idylli.

Zakochani umówili się, że zjedzą się przed przed-
stawieniem w westybulu teatru. Zosia, jak każda
zakochana dziewczica, chcąc koniecznie czymś olśnić
kochanka, zapowiedziała na odchodnem:

„Ubiorę się po cywilnemu. Zdębiejesz, jak
mnie zobaczysz“.

Fredzio drgnął, jakby targnięty złym przeczuciem.

Mimo to przybył do teatru naturalnie pierwszy, jak na grzecznego kawalera przystało, wygolony, wystrzyżony, wypudrowany, wyczesany w ząbek itd., czym stwarzał dla płci pięknej wcale ponętny obraz.

Strzały niewieścich ocząt rzucane wprost w postać kochanka, oczekującego nadejścia bogdanki, nieco krytycznie nastawiły myśli jego. Pamiętał zapowiedź strojnego wystąpienia kochanki i swoje złe przeczucia. Zamiast więc czekać na panią swego serca gdzieś na najbardziej widocznym miejscu, ukrył się za jeden z filarów i stamtąd śledził pilnie wchodzących. Teatr już pełny. Na korytarzach, na schodach grupy i grupki strojnych pań i panów. Wśród tego otoczenia, w duszy szarpanej powątpiewaniem, w miarę długości oczekiwania zaczęły rodzić się coraz to nowe obawy.

Wreszcie w tłumie zjawiała się — ona. Fredziem wstrząsnął blady strach na ten widok. Zosia szła z pewną siebie miną — z butnie podniesioną głową, z królewską postawą.

Ubrana była w kreację chyba własnego pomysłu. Głowę zdobiła strojna, jedwabna, różowa kapuza dziecięca zawiązana pod brodą na szeroką kokardę. Bujny biust Zosi okrywała bluzka zielona — wpuszczana w spódnicę koloru czerwonego. Komplet ten nakryty był czarną tiulową narzutką przepasaną różową wstęgą. Nóżki obciągnięte w grube

wełniane pończochy, a stopki otulone dobrze rozdeptanymi „komiśnymi“ butami. Dla kompletu Zosia okryła swoją wdzięczną postać wojskowym płaszczem z białą opaską Czerwonego Krzyża na jednym rękawie, z napisem „Bem“ na drugim. W ręce trzymała woreczek jedwabny suto naszywany świecidełkami i wachlarz ze strusich piór.

Cały ten tak pracowicie obmyślany strój był specjalnie dla naszego Fredzia przeznaczony. Czarująca bogdanka tylko przez niego chciała być widziana w całej krasie papuziego splendoru, podczas gdy on wiał po prostu z teatru na złamanie karku wzruszony tym czarującym zjawiskiem.

Skutkiem niesłowności Fredzia było naturalnie zerwanie; nie obyło się ono bez tragicznych momentów, a najstraszniejsza była chwila, gdy Zosia pochlipując nosem, rozmazując łzy grzbietem ręki po twarzy, tak się przed nami skarżyła:

— Tak go kochałam... ufśllii... wszystko mu dać chciałam... ufśllii... ale teraz... ufślliii... nic po mnie nie dostanie... ufśllii...

Dłuższy czas Zosia popłakiwała, aż wreszcie zmogła w sobie żal i złość przeciw Fredziowi; bo w testamencie swoim, który w rozżaleniu, łzami go pieczętując, słownie przed nami wytoczyła, temuż zbereźnikowi jako zapis dała: „złotny zegarek po mojej śmierci może sobie wziąć, co go mam schowany w młynku od kawy“.

Tak się ta sprawa romantyczno-tragiczna skończyła.

Oto garść radości — przeciwnieństw losu — walk i triumfów oddziału „Bema“. Przetrwał on pod tą nazwą w pamięci mieszkańców miasta aż do dnia 13 lutego — kiedy to objąłem Dowództwo Lwowskiego Samodzielnego Batalionu Szturmowego, a wraz ze mną przeszła do tego batalionu większość byłych „Bemaków“ kreśląc na przedpolach miasta historię tego oddziału.

LWOWSKA WIELKANOC.

20. IV. 1919 r.

Wielkanoc! — Ileż ich miałem w życiu? Ile było — przeszło — minęło. Na ekranie wspomnień zachowały się obrazy przeżyć, — przesuwa się długi — barwny — film życia. W zakamarkach mózgu wspomnienia świecą jasnym płomieniem.

Wielkanoc 1919 r. — Hej! dawno minione czasy ziszczonego „snu o szpadzie“! — Dawno minione dni życia stawianego na jedną kartę. Dni — wielkiej wojennej przygody — dawno minione dni.

Lwów od miesięcy ostrzeliwany z byle armatki, nie mógł dłużej cierpieć wyrządzanej mu zniewagi. Musiał przeciwdziałać, by uwolnić swych mieszkańców od wiecznej zmory codziennego bombardowania.

Linia nieprzyjacielska na południe i południowy wschód przebiegała tuż na krańcach miasta. Baterie nieprzyjacielskie, ustawione w Sokolnikach czy Zubrzy, miały dosięg nawet do północnych dzielnic.

U studzien ulicznych stoi długi rząd kobiet. Wtem — w uliczną gardziel wdarł się przeciągły i groźny świst. Zerwał się sznur kobiet — rozpierzchł. Błysk — przeraźliwy trzask — brzęk tłuczonych szyb — chrzęst wiadra walącego o bruk — sekunda ciszy — i jęk. Ktoś ranny padł u progu swego domu. W rynsztoku legło puste wiadro — zarumienił się krwią bruk uliczny. Po piwnicach domów mężczyźni pełni sił czekają na kubek wody. Na krańcach miasta dzieci strzegą jego granic. Zabrano z bruku krwawy ludzki strzęp. U studzien znów stanął długi rząd kobiet. Dziwny skurcz chwyta je za gardło, z piersi wyrывa się tłumiony szloch.

U studzien stoi kobiet rząd...

Noc z soboty na niedzielę wielkanocną wyznaczono na uderzenie. W nieprzyjacielską linię biją dwie grupy atakowe. Powierzono mi dowództwo nad jedną z nich. Rejon ataku „Stryjska Rogatka” w kierunku na Zubrzę i Sokolniki.

O oznaczonej rozkazem godzinie stoję na czele swego batalionu (Szturmowy) w miejscu zbiórki. „Stryjska Rogatka” — tu winien się znajdować batalion 40 pp.—tu łącznik dowództwa odcinku, winien wskazać miejsce zainstalowanego telefonu. Dokoła jednak pusto i głucho — nie ma batalionu 40 pp. nie ma też i łącznika. Należy połączyć się natychmiast z dowództwem dywizji i zameldować swoje przybycie na stanowisko. Wszelkie jednak poszukiwania łącznika lub telefonu nie odnoszą skutku. Cała okolica jak wymieciona. Gdzieś tam na „Betoniarni” światelko—może tam? Jest kilku żołnierzy, ale oni nic i o niczym nie wiedzą. — A czas ucieka. Rozesłani na wszystkie strony „szperacze” szukają telefonu. Oznaczona godzina na rozpoczęcie akcji mija!

— Telefonu! telefonu, psiakrew!

Wyobrażam sobie stojących w pogotowiu przy działach artylerzystów, czekających, by na znak „gotowe”, zamienić się w ogień ziejące „salamandry”. Napięty sznur zapalowy drży w rękach bombardierów. Wyobrażam sobie rozłożonych gdzieś tam w polu żołnierzy drugiej grupy, sypiących dosadną litanię przekleństw pod moim adresem. Wyobrażam sobie zjadliwe i ironiczne uwagi zawistnych. Czuję konsternację dowódcy dywizji. Gdzieś tam po drutach, biegną gorączkowe niespokojne pytania: „Czerny jest?” „Gdzie Czerny?” Parę tysięcy ludzi czeka, by w telefonie odezwał się mój głos — bym tylko

jedno puścił słowo: „Gotowe!” — A ja? Jestem! jestem psiakrew! jestem! — Cóż z tego, gdy nikt o tym nie wie. Konia nie ma, by posłać gońca, — wszystkie wyzdychały z głodu już dawno. Rozesłani „szperacze” nie wrócili jeszcze, trzeba czekać wyniku poszukiwania. Gdzieś tu, nad głowami może, biegną druty, niosące wieści. Gdzieś tu, może o parę metrów, przebiega drutem niespokojne pytanie, a ja nie mam możliwości dać odpowiedzi: „jestem”.

— Psiakrew! — Batalion 40 pp. jest, czy nie ma — głupstwo! Damy sobie sami radę — musimy! Ale telefon!... telefon!...

Nagle na gościńcu odezwał się tupot końskich nóg i turkot kół... Ktoś jedzie od linii placówek! Turkot głosi pojazd resorowy — a więc choćby sam furman — ale z dowództwa — musi coś wiedzieć.

„Stój!” — Z bryczki wyskakuje mój podchor. Klauzal. Ten dotarł szczęśliwie — wie dzie z sobą dowódcę odcinka, ppułk. Gauglitza.

— „Panie pułkowniku, gdzież telefon?...! Akcję trzeba rozpocząć”...

— „Nie ma co” — przerywa pułkownik — rozpocząć akcji. Jadę w tej chwili prosto z Zubrzy. — Ukraińców nie ma. — Może pan kapitan maszerować tam śmiało w kolumnie”.

— Prawda, czy nie? — Rzeczywistość czy kpiny?

— Przekonam się — mówię — wyślę patrol.
— Ależ nie trzeba. Przecież jadę stamtąd.
— Wszystko jedno, muszę tę wiadomość sprawdzić.

Pośpiesznie wyruszył patrol wywiadowczy, a my podciągnęliśmy na Bednarówkę, gdzie znajdował się batalion 40 pp. oddany mi do dyspozycji i... telefon.

Wysłany patrol nie dosięgnął jeszcze lasu, ale pewny, że nikogo nie znajdzie, „szedł głośno“. Tym poderwał nieprzyjaciela, który sypnął ogniem na całej linii.

— Pułkowniku — pan był w Zubrzy? — A to co?

— A, to pewnie wrócili...

Macham ręką na głupie „austriackie gadanie“ — melduję przez telefon swoją obecność na stanowisku i powód opóźnienia...

— Nareszcie — słyszę westchnienie ulgi — jesteście, to i reszta głupstwo. Zaczynamy. Życzę szczęścia, kapitanie !“

— Dziękuję, cześć !

— — — — —

Jak kapela na skinienie kapelmistrza — sto dział ryknęło zgodnym „forte“. Piętnaście minut tylko — piętnaście minut potwornego huku armat i przeraźliwego trzasku pękających pocisków.

Piętnaście minut nieprzerwanego ognia i deszczu żelaza — a potem: — Piechota — do ataku! Marsz! Marsz!

Przede mną, lekko pod górę, prostą linią ginącą w mroku nocy biegnie stryjski gościniec. Tam na górze na prawo, zamykając horyzont, Sokolniki. Wzdłuż wsi, nieprzyjacielskie pozycje biegną aż do gościńca, by po przekroczeniu go załamać się prostopadle, dążąc do wysuniętego głęboko w przód lasu Oświeca (Zubrzycki). Ciemna masa lasu podbiega tuż pod nasze pozycje wysuniętym w przód prostokątem. W gąszczach, silna nieprzyjacielska reduta.

Uderzenie całą skupioną siłą w to miejsce, po działa na wroga deprymująco. Wzięcie mocnej reduty otworzy drogę.

Uderzenie wykonuje batalion szturmowy. Batalion 40 pp. i obsada odcinka w rezerwie.

— „Szturmowy do ataku! — Kompania „poznńska“ prawe skrzydło w dwu rzutach. — Środek kompanie lwowskie 1 i 2. Lewe skrzydło 3 w dwu rzutach. — Kompania karabinów maszynowych za lewym skrzydłem. — Naprzód!

Kompanie rozbiegłe w gęste tyraliery sprawnie wykonały manewr. Milczkiem zerwała się ludzka fala dążąc ochoczo naprzeciw śmierci.

Szarzeje. Wzrokiem ścigam atakującą żołnierską gromadę. W szarym brzasku dnia błyska migotliwa linia bagnatów. Nieprzyjaciel czuwa. Od czasu do czasu zasypuje nas ogniem.

Dopadli lasu. Rozrechotała się nieprzyjacielska linia wściekłym szczękiem karabinów. Nie-samowicie warczą kule nad głowami, lub, zawa-dziwszy w biegu o twardą nawierzchnię gościń-ca, odrywają się od ziemi i śpiewnym skowytom głoszą niezadowolenie z przeszkody. Więzione dotąd w stęchłej ciemni ładownic i luf, teraz zwolnione z uwięzi wesoło mkną kule w świat.

Znikły w lesie żołnierskie szeregi. Idą tam gdzieś za zasłoną drzew — idą dać swemu miastu spokojną Wielkanoc... Idą.. Ileż niespokojnych serc w piersiach łomoce?...

Gdzieś tam w blokach miejskich domów matka piecze synkowi wielkanocny placek... Ale czy on wróci?... Czy go będzie jadł?... Wielkanocne jaja rechocą w niejednym plecaku... dar matki, żony, kochanki...

Patrzę za nimi, choć znikli już w lesie. Myśl służy za wzrok... Potężna siejba śmierci... Lecz jestem ich pewny! Nie stchórzą! Poznańskie Antki i lwowskie „batiary“ złamią opór! — Muszą! — Może w tej chwili — by przed szturmem tchu w piersi złapać — przypadli do ziemi

tam pod okopami reduty!. Uda się. Ucho do
ziemi przyłoży, a usłyszysz serc wielu bicie —
przyciśniętych do nagiego jej łona... Może w tej
chwili gotują się do śmiertelnego skoku. Drżą
palce, które za moment odepchną ciało od ziemi.
Prężą się mięśnie nóg i pleców — krtań chwytą
pełnię powietrza, by ryknąć głośnym — hurra!

Z zadumy budzi mnie głos łącznika:

— Panie kapitanie, pan pułkownik prosi...

— Gdzie jest?

— Przy telefonie.

Trzeba iść, może wzywa dow. dywizji.

— Jestem, panie pułkowniku. Czy telefon
do mnie?

— Nie — ja pana wzywałem.

— ?

— Chcę wiedzieć — co pan teraz myśli?

— Nic takiego, co by pana pułkownika mogło
interesować.

— Jak to? Ja chcę wiedzieć, co pan myśli.

W tej chwili do uszów naszych wdarło się po-
tężne hurra!

— Słyszysz pan pułkownik? Cóż mam myśleć?
Tam oni walczą. Myśleć będę, gdy przyjdzie
potrzeba. Mam tutaj na poparcie mej myśli
silną rezerwę. Czekam — nie myślę o niczym.

— Ale pan musi myśleć! Ja chcę wiedzieć
— co?!

— Myślę ! Myślę — słowa z wściekłością
wypluwam z krtani — żeby mnie pan pułkownik
w d... pocałował...

Zawróciłem na pięcie — odszedłem.

Psiakrew — pomysły ! — Mam układać prze-
różne strategiczne plany: Co zrobić, gdyby?
A co jeżeli? a co jeśli? a co gdyby? i to na to,
by nagle stanąć wobec wypadku, którego się nie
przewidziało, albo też wobec faktu, że pomy-
kiciły się we łbie projekty obmyślanych prze-
mądrych planów. W takich wypadkach trzeba
działać bez przygotowania i namysłu. Recepty
układają lekarze w obliczu choroby. Żołnierz
kieruje się intuicją.

Psiakrew ! Wymyślaj kombinacje — obmyślaj
wszelkie możliwości i niemożliwości na to, by
w chwili, kiedy ułamek sekundy decyduje o wszyst-
kim, gdy działać trzeba, jak piorun — rekonstruo-
wać sobie we łbie głupie wprzód obmyślane plany.
Do diabła z takim myśleniem ! Znam jedno
prawo: bić ! a potem myśleć, jak poprawić !

Tam w lesie wre bezpośrednia walka. Walczą
pierś o pierś. Ustała wściekła karabinów palba
Kolby — bagnety — noże i zęby w ruchu.
To tu, to tam, tylko od czasu do czasu huknie
strzał. Gdy strzały znów gruchną — zwycię-
stwo — lub odwrót... Głos strzałów, różnica.
w detonacjach, da jasną odpowiedź.

Ciężka jest tam walka. Zbyt długo trwa zmaganie się wręcz... Już myślę pchnąć dla wsparcia mego batalionu jedną lub dwie kompanie 40 p. p., ale ambicja każe wytrwać. — Nie ! — Chcę, by moi ludzie wybili wyłom.

A wtem znów strzały. Nerwowy ogień wdziera się do uszu zrywanym trzaskiem. — — — a trzask jest wyraźny... Zwycięstwo !... Strzelają moi !... Suchy trzask wystrzału pruje z poszumem głęb lasu i ginie w przestrzeni. Nieprzyjaciel w odwrocie, moi ścigają go ogniem. — — — Nieprzyjacielska artyleria powiadomiona już też o wzięciu reduty, wali w las granatami, starając się wstrzymać pościg.

„Batalion 40 pułku kierunek Sokolniki ! Moje stanowisko Zubrza ! Naprzód ! Obsada odcinka uzupełnia luki“.

Idę pobojowiskiem. Szerokim pasem, przed i za okopami, leżące ciała żołnierskie znaczą zaciąg śmierci. Cicho leżą zabici — z lekka postępując ciężko ranni, a głośno jęczą ci, co żyć mają i będą. Klną głośno sanitariuszy — mają dość siły i przytomności. — — —

Słońce ciekawie zagląda w gąszcz lasu. Kładzie jasne światła aueroli na głowy poległych, wesoły uśmiech wywołuje na usta konających. Cisi są oni, choć wiedzą, że to ostatnia chwila ich życia.

Idę pobojowiskiem. — Ślę ostatnie pożegnanie konającym. Nie czas mi dziś gawędzić z wami, iść trzeba ku żywym. Zobaczymy się jutro może.

— Kapitanie — gdzieś od ziemi wzywa mnie jakiś głos; to konający kapral Piecz. Nie ma dla niego ratunku, ciężko ranny w głowę. Kona przytomnie. Chce pochwały na nową, daleką drogę! — Dobrze było — prawda?

— Takim żołnierzem świat zdobywać można. Nie mam orderów, ale bym je wam dał i tym tu wszystkim, leżącym w krąg.

— Walka była ciężka... ich cała kupa... chłop przy chłopie w okopach...

— Cicho leżcie, Pieczu, nie mówić, zaraz wam dam sanitariuszy.

— Nie trzeba... nie pomogą... wiem, że umieram... Pragnę tylko powiedzieć tym, co się mnie wyparli — siostrze — że jej więcej nie będę zawadzać.

— Głupstwa to wszystko! Macie dziś swój najpiękniejszy dzień.

— Cieszę się, że się nie będę więcej smucić

— Bywajcie! — Iść muszę tam do tych, co walczą. — — —

— — — — —

Jak ciężki — jak strasznie ciężki jest marsz przez pobojowisko — gdzie niezakrzepła krew

jeszcze sączy się z ran i mdłą, słodką wonią
chwyta za krtąń, gdzie znane ci i drogie twarze
ślą za tobą pożegnalne spojrzenie — gdzie usta
każde chcą mówić do Ciebie, a uszy tak żądne są
wiatyku pochwały, gdzie jęk boleści wzywa
ratunku — gdzie z nieopatrzonych ran z krwią
ucieka życie. A iść trzeba — musisz ! — Chciał-
byś każdemu rzucić słowo pożegnania lub
pociechy, a głos więźnie ci w krtani. Wzrokiem
jeno omiatasz drogie ci twarze, bo gdybyś sercu
folgę dał, musiałbyś zostać, a przecie iść mu-
sisz ! Tam wzywają cię żywi !

U wejścia do Zubrzy spotykam żałobny kondukt.
Żołnierze niosą poległego dowódcę kompanii.
Kula rozdarła mu krtąń. Stary był, adwokat,
sepleniący, ślepy — ale poczciwy i odważny
chłop — por. Czerkowski !

— Żegnaj poczciwy towarzyszu !

Słońce wiosenne śle ziemi promienie, wypija
krew z łąk i rozwija kwiaty.

A w mieście stoją u studzien wesole kobiety.
Dobra wieść o zwycięstwie lotem ptaka obiega
wszystkich. Ulica — ulicy, brama — bramie,
okno — oknu podaje radosną nowinę.

Bezpieczne są od dziś kobiety stojące u studzien. Choć niejedno serce targa niepokój o tych, co dali tę radość, nadzieja niesie pociechę. Wieść radosna dla wszystkich tłumi smutek, czając się w głębi serc.

Wieść głosi: Zwycięstwo!

Tobie, o Miasto, żołnierze-dzieci i przyjaciele Twoi ślą wesołe

ALLELUJA!

DALEJ W GŁĄB PODOLA

Lwów jeszcze nie jest wolny. — Jeszcze na północnych i północno-wschodnich jego przedpolach znajdują się nieprzyjacielskie oddziały. Linia oblężnicza podchodzi nawet tuż pod mury miejskie na Żółkiewskim, oddzielona jedynie wąską smugą łąki nad Pełtwią. Kościarnia to ostatni bastion obronny miasta w tym miejscu. Dalej linia nasza przebiega pnąc się na wzgórza Zboisk, gdzie, doszedłszy szczytu, wykręca gwałtownie na zachód, dążąc ku Rzęśnie Polskiej. — Nieprzyjacielskie baterie rozmieszczone w Prusach, w okolicy Dublan i w Grzędach mają łatwy dostęp do północnych dzielnic miasta. Nim nadejdzie ostateczny moment przeprowadzenia generalnej ofensywy, zmierzającej do oswobodzenia kraju na wschód od miasta, północny odcinek obronny staje się coraz przykrzejszy i obrońcy dążą do zlikwidowania tej niebezpiecznej sytuacji.

Mój szturmowy batalion powołany był choćby z racji swojej nazwy do przeprowadzenia ataków, do wykonywania wszelkiej akcji zaczepnej, mającej torować drogę reszcie obrończych oddziałów. To też Dowództwo Obrony, ufne w jego wartość bojową, powierzało mu przeprowadzanie każdej decydującej akcji. I znów — ledwie zdążyliśmy pochować kolegów poległych w czasie „Wielkanocnej Ofensywy“, już w pierwszych dniach maja rzucono nas na północny odcinek do Zboisk dla wykonania ataku na umocnione nieprzyjacielskie pozycje w Malechowie.

Siły mego batalionu były mocno nadszarpnięte, ale powierzenie żołnierzom w tej sytuacji najtrudniejszej akcji, podczas gdy najsilniejszej liczebnie kompanii poznańskiej użyto do zatkania jakiejś dziury powstałej na południowym odcinku naszego frontu, podnieciło jego ambicję. I rzeczywiście, nie zawiódł on pokładanego w sobie zaufania.

Szczupłe trzy kompanie mego batalionu zajęły okopy na wzgórzu nad Zboiskami. Tam też zmasowałem całą siłę ogniową: 9 karabinów maszynowych. Przydzielony do akcji szwadron ułanów tzw. „Wilków“ i lotny szwadron K. M. umieściłem za garbem terenu, u wylotu drogi ze Zboisk do szosy żółkiewskiej. Dwie baterie armat stały poza folwarkiem w Zboiskach. Eskadra latawców, z kapitanem Bastyrem na czele, rozpoczęła lot wywiadowczy nad terenem walki. Zrzutnia meldunków wyznaczona tuż za szczytem koty,

daje wyczerpujące wiadomości o sytuacji rozwijającej się na tyłach nieprzyjacielskich. Gotowe. Latawce wzbiły się wyżej, aby dać pole armatnim pociskom. Zagrały działa. Walą kulakami pocisków w nieprzyjacielskie umocnienia. Folwark, położony naprzeciw naszego frontu, wygląda niczym twierdza. Workami z piaskiem umocniono mury, zatkano okna, pozostawiając szczeliny strzelnicze. Cios za ciosem godzi w mury. Tam wpadł pocisk w okno, rozwalił piaskową osłonę... Latawce zataczając kręgi, ogniem swych karabinów maszynowych siekają od tyłu nieprzyjacielskie pozycje, wtóruje im bateria moich karabinów ze szczytu wzgórz... Przygotowanie ogniowe w pełnym toku. — Odszczekują się zajadle nieprzyjacielskie działa, macają stanowiska naszej artylerii, to znów przerzucają swą zawziętość na oblatujące pozycje latawce, lub pragną stłumić gwar rozpyskowanych na wzgórzu maszynek... W okopach czai się, beczynn timer w tej chwili, piechota batalionu. Toruje jej drogę zespół ogniowy...

Kapitan Bastyr zrzucił meldunek: „Nieprzyjacielskie treny wycofują się z Dublan w kierunku na wschód“.

Dobra wiadomość.—Nieprzyjaciół widocznie zdeprymowany samym nasileniem ognia nie wierzy we własne siły.—Czas uderzyć i zadać cios decydujący.

Ruszyły ławą kompanie, tocząc się z wrzaskiem po pochyłości wzgórza. — Nad ich głowami,

świszczą lecące stadem pociski maszynek. Czarne szczekliwe pieski wypluwają gurt za gurtem jednym tchem. Znów latawce zataczają kręgi ponad nieprzyjacielską linią miotając pociski od tyłu. Umilkły nasze baterie. — Hurra! Hurra! — Nieprzyjaciel nie wytrzymał natarcia. Połamana linia cofających się oddziałów wybiegła na wiejskie pola... Zwycięstwo w naszym ręku!

Rozbić doszczętnie umykającego po równinie polnej nieprzyjaciela to myśl pociągająca... Rzucam więc szwadronowi jazdy rozkaz, by ruszył do szarży.

Z chrzęstem rusza szwadron. — Krótki galop. Błysnęły szable w blasku słońca, pochyłili się ułani na końskich karkach. Jadą. Serce we mnie rośnie... ale niedługo, bo gdy szwadron wychylił się z wiejskiej ulicy Malechowa, gdy ujrzał odwrócone ku sobie tyły nieprzyjaciela, z galopu przeszedł w kłus, z kłusa w stępa i utknął tak, tworząc w przyzwoitej odległości eskortę honorową... Zbliżyła się do ułanów powolna w ruchach piechota, mnie zaś powstrzymywał mój sztab i brak konia. Więc chyba tylko moje siarczyste zaklęcia mogły dotrzeć do ułańskiej ławy.

Choć ostatni atak wykonano tak ślamazarnie, dzień zakończył się jednak zwycięstwem. W ręce mych żołnierzy wpadły cztery armaty i trzy karabiny maszynowe, a nieprzyjaciel cofnął swe pozycje aż poza Dublany. Piechota Batalionu Szturmowego, czekając na zluzowanie przez inne od-

działy, objęła straż nowej linii, a szwadron Wilków powiózł w triumfie zdobyczne armaty... W ataku tym nie ponieśliśmy żadnych strat.

Zluzowane spod Dublan kompanie wróciły do miasta, lecz już dnia następnego, zerwani alarmem, dążyliśmy na poprzednie stanowiska. Gdzieś kogoś wyparł nieprzyjaciel z jego pozycji i zajął Dublany. Do samej linii frontu dowiozłem załadowane pośpiesznie na pociąg kompanie. Tu pustka na lewo, pustka na prawo, tylko w oddali widna przed nami następująca w ataku linia nieprzyjacielska. Jest nas tylko mała garstka — trochę czułem się nieswojo, gdym widział tę olbrzymią pustą przestrzeń, gromadkę moich chłopaków, a za nią bezbronne miasto. Zajęliśmy jednak rezerwowe okopy nieprzyjacielskie. Szczęście, że nie ubiegł nas nieprzyjaciel. Na razie więc — przedpiersie okopów daje nam osłonę, a okop sam tworzy przeszkodę, dającą nam wyrównanie sił nad znacznie liczniejszym nieprzyjacielem. Skrzydła co prawda nie są zabezpieczone, ale nieprzyjaciel nie wie tego zapewne, bo wali na nas wprost. W tej chwili jesteśmy w defensywie, a stanowisko defensywne możliwie najmocniejsze odpowiada nam teraz najbardziej. Nie ryzykujemy zbyt bliskiego dopuszczenia nieprzyjaciela. Nie mamy bowiem ani rezerw ani sąsiedztwa.

Nieprzyjaciel rozpoczął rzesistą pukaninę. — Zaczynam się jednak niepokoić, bo teraz jest już oczywiste, że atak skierowany jest na prawo ode mnie, poprzez wieś Prusy, naprzeciw siebie zaś mam tylko skrzydło i boczne ubezpieczenia. Przewaga po tamtej stronie na wszystkich punktach. I siła główna prze w ukryciu wiejskich sadów i zagajów, ja z moim batalionikiem tkwię na odkrytej pozycji polnej. Zastąpić drogę we wsi częścią mych sił niemożliwe, zbyt wielka dzieli mnie od niej odległość, jakieś 2 kilometry... W tej ciężkiej sytuacji nadbiega goniec: „Panie kapitanie, kompania uzupełniająca zwerbowanych ochotników spod Częstochowy i Radomska przybyła, czeka na rozkazy przy torze“. —

Kompania świeżych rekrutów, świeżych sił w takim momencie — brawo ! Nie ma czasu na żadne przegrupowania, na żadne mieszanie rekruta ze starym żołnierzem. Surową rekrucką kompanię, zostającą pod dowództwem młodego chorążego wysłanego uprzednio na werbunek i mającą zaledwie czterech kaprali w swym składzie, pcham na prawo na wzgórze ciągnące się nad wsią Prusy... Rozwinęli się — poszli. — Zrazu niemrawo, ociężale jakoś rozsypała się ta grupa rekrutów, lecz wnet, gdy wyszli na widok nieprzyjaciela, gdy nad głowami zaczęły świstać kule, wyrównała się linia jak na ćwiczeniach, żołnierze biegli na wyznaczoną sobie pozycję w skulonej przepisowej postawie... Już mój adiutant ppor.

Wolaniek objął tam komendę. Gruchnęła palba. Lewoskrzydłowa kompania — trzecia — wybiegła w przód na lewo wykonując manewr oskrzydłający i... atak został wstrzymany. Teraz my przeszliśmy do przeciwnatarcia uzyskując pola na wysokości wschodniego wylotu wsi Prusy. — Sytuacja uratowana...

Po męczącym dniu nastąpiła noc. Wbrew utartym przekonaniom higienicznym przeznaczyliśmy ją na posiłek. Bez szkody dla zdrowia zresztą po całym dniu hasania po polach i strzelaniny, spędziliśmy tę noc na niecierpliwym wyczekiwaniu na żarcie. Po obfitym posiłku, znów gardząc przepisami higieny, jedni zwalili się spać na wilgotną ziemię, inni zaś czuwali nad snem towarzyszy, strzelając od czasu do czasu. Osobna wzmianka należy się bohaterskiemu kucharzowi 3 kompanii, który w nocy dokonał szarży kuchnią polową na nieprzyjaciela.

Był to, jeśli się nie mylę, kucharz Grzędzielski. Wyjechał ze swoją kuchnią jak i inni, szwendać się po nocy i namawiać do jadła umęczonych chłopaków swej kompanii. Było ciemno zupełnie: wjechał na drożynę polną, którą mu ktoś wskazał jako prowadzącą do jego kompanii. Jechał Grzęda drożyną, a w kotłach smakowicie chlupotała zupa... Jechał i jechał — bo i dojechać chciał, by się zupy z kotłów pozbyć. Jechał. — Może tam się i zdrzemnął, dość, że w pewnej chwili zamajaczyła mu jakaś kostropata, ciemna linia przed oczyma. Zobaczył linię frontu i krzyknął: „Zupa !”

Zupa to zupa. — Poderwało się kilka cieni ludzkich z ziemi i poszły po zupę. Ale tu, przy kuchni słyszy Grzędzielski, że cienie te między sobą i z nim po rusku „bałakają“... Cicho na razie siedzi Grzędzielski, zupę daje, po rusku szwar-goce, a patrzy, kiedy będzie koniec pierwszej transzy, bo to jak wiadomo z okopów kompania staje w sznurek nie od razu, tylko grupami. Wzięli pierwsi i odchodzą. Grzęda wszedł na kuchnię, warząchew do ręki wziął, a na zestrachanego woźnicę „Jazda!“ krzyknął. Właśnie z dwu stron zmierzały po zupę nowe postacie, wjechał „Grzęda“ w gromadę, po głowie tego i owego kopyścią zawadził i rwał z kopyta, byle zupę dla swoich zachować. No i udało się. Zupę, choć z małym uszczerbkiem, jednak do swoich dowiózł... Śmiało się bractwo z przygody Grzędzielskiego, a przymawiali mu, aby się na drugi raz nie spóźnił do szarży, to będzie mógł szwadron „Wilków“ wyręczyć... A zupy też nie ma „Karaimom“ dawać, bo tu swoi też „doliwki“ by chcieli... a odpasać nieprzyjaciela — też nieprzystojna rzecz...

Wypadek ten dał temat długotrwałym rozmowom tym bardziej, iż na dzień następny nie wyznaczono żadnej akcji. Ten wesoły nocno-kuchenny nastrój przerwał inny wypadek, który zmienił ogólną atmosferę i skierował gdzie indziej zainteresowanie żołnierzy. Lewe skrzydło mego batalionu zajmowało niewielki lasek olchowy. Przed laskiem ciągnął się wąski pas łąki, 200—250 metrów

szeroki, dalej znów rósł podobny olchowy lassek, a za nim piętrzyło się strome urwisko. Lasek sąsiedni, jak i urwisko, zajmował nieprzyjaciel, wykorzystując naturalną konfigurację terenu dającą możliwość stworzenia dwupiętrowej reduty. Bliskość pozycji dała możliwość nawiązania „towarzyskiej konwersacji” — toczącej się niezbyt w wersalskim stylu, a w braku innego zajęcia bawiła obydwie strony. Przelicytowywano się w dosadnych dowcipach, przy czym, jakoś zatarły się różnice językowe i obie strony rozumiały się doskonale. Moi więc mówili, właściwie pyskowali po rusku — strona przeciwna po polsku. — Która tam strona wzięła górę w tych pyskówkach, trudno dzisiaj osądzić. Zdaje się jednak, iż niewyparzone pyski moich „batiarów” mocno dały się stronie przeciwnej we znaki, bo do pomocy wezwano artylerię, by zlikwidowała to gniazdo zjadliwych szerszeni ... Ale nie tylko to było zadaniem artylerii, bo po pierwszych pociskach wyrzuconych z połówek zaczęły spadać ciężkie pociski. Z systematyczną stałością pakował nieprzyjaciel granat po granacie w parumorgową powierzchnię lasku, a każdemu wybuchowi towarzyszył ironiczny wrzask „Antak trzymaj! — Kuferek leci!...”

Widoczne, iż nieprzyjacielowi zależało wielce na naszym stanowisku w olszynie, jego zaś pewność pobudziła nas do działania. Chwilowa przewaga nieprzyjaciela w konwersacji najbardziej zafrasowała wesołków i dowcipnisiów batalionu,

którzy tak widocznie zostali zdystansowani. Z nabarmuszonymi minami obmyślali odwet. Moje zarządzenie wprowadzające na arenę wydarzeń „Petlurę”, przyszło w sukurs zafrasowanym batiarom. — „Petlura” był to miotacz min wielkiego kalibru, wyrzucający minę 22 kg wagi na odległość do 1000 metrów. Miotacz ten pochodził z wytwórni lwowskiej, powstałej w listopadzie, której komendantem był kpt. Bartel. On też był prawowitym ojcem tegoż potworka, którego nieproszonymi rodzicami chrzestnymi byli moi „obwiesie” dający mu imię „Petlura”. — Stał wtedy nasz „Petlura” poza okopami, gdzie mu wydłubano jamkę-schówek, przyzwoicie wyplantowaną do poziomu, załadowano mu, w wiecznie otwartą, łakomą paszczę odpowiednią porcję prochu, zasadzono wreszcie czapkę na łeb zadarty, krótki i dziwnie mały w stosunku do rozplaszczzonego niskiego cielska i... pociągnięto za sznurek... Sznurek uruchomił sprężynkę, sprężynka bolec, ten dał pstryka w piętę kapsli, kapsla plunęła strumyczkiem ognia, a ogień zapalił proch złożony w paszczy potwora i tak go zmuszono do wyplucia pigułki starannie mu uprzednio zaaplikowanej... „Petlura” stęknął lekko, gdy mu przemocą ten przysmak z japy wydarto, „piguleczka” wzbiła się w górę i tam wysoko machnęła z radości parę koziółków i padła w sam środek „karaimskiej” reduty. Potworny huk i fontanna ziemi. Za pierwszą poszła druga, za drugą trzecia,

a każdej towarzyszył homerycki śmiech moich wesołków i tryumfalne wołanie: „Wasyłu — trzymaj! Karmanadle idut...”

Te trzy „pigułki” zrobiły swoje. — Redutę z przeciwka zaległa cisza — zajęliśmy więc tę nieprzyjacielską siedzibę, by na przyszłość nie przyszła im chętka sięgania po cudzy azyl... Jednym słowem: „Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada”...

Od owej olszynki podlwowskiej, batalion już szedł niewstrzymanym pędem w głąb kraju podolskiego w miarę tego, jak rozwijała się nasza ofensywa. Szedł na lewym skrzydle Dywizji Lwowskiej i nigdy nieprzyjaciel nie zmusił go bezpośrednim atakiem do odwrotu. Jeśli Batalion Szturmowy cofał się, to tylko, gdy zmusił go rozkaz wydany skutkiem sytuacji na całym froncie. Umiał on wywalczać sobie pole, nie było dla niego sytuacji złej, choć żołnierz częstokroć, jak ta surowa rekrucka kompania, zdobywał wyszkolenie dopiero w boju. Lwów ostatecznie był wolny. Daleko odrzucono nieprzyjacielskie watahy.

Kiedyś może nie będą ludzie pamiętali, a nawet wiedzieli o tym. Spisałem więc te perypetie, czyny, dowcipy moich chłopaków, aby pamięć o nich nie zginęła. Niech ludzie wiedzą, jacy to bywają żołnierze.

BUNT W LEGII KOBIECEJ WE LWOWIE

Bunt !... Słowo grozę budzące, wywołujące w nieubłaganej konsekwencji krwawej rzezi obrazy...

Bunt ! — Bunt ! — Bunt !... Bunt w Legii Kobiecej we Lwowie... Groza nowej klęski pada na miasto... Pobladły ludzkie oblicza w oczekiwaniu strasznych scen.

.

Drobne nieraz wypadki wywołują w następstwie groźne w skutkach wydarzenia. I bunt w Legii Kobiecej wywołany został przez taki drobny wypadek; a jak się to zdarzyło, opowiem:

Gdzieś jeszcze w lutym 1919 roku zgłosił się do służby w Batalionie Szturmowym młody ochotnik-gołowąs, Wiktor Mroczkowski. Zdrowa cera, dość silna budowa ciała i zapał wi-

doczny w oczach sprawiły, iż bez wszelkich formalności ochotnik Mroczkowski został wciągnięty na listę żołnierską Batalionu Szturmowego i wcielony do drugiej kompanii. — Z czasem jednak wydało się, że Mroczkowski nie jest żadnym Mroczkovskim, ale po prostu — Mroczkowską. Stało się to jednak już za późno. Bo dawny „rekrut Mroczkowski“ zdążył już wykazać swą wartość bojową i dosłużył się stopnia kaprała. Przy tym szczerą „skrucha“ kaprała Mroczkowskiego z racji jego upośledzenia płciowego sprawiła, iż na płęć tę „przez palce“ patrzeć zaczęto, a raczej w ogóle nie patrzano. Kapral Mroczkowski musiał zostać kapralem Mroczkovskim i na to rady nie było. Trudno przecie wymagać, aby wzywano w rozkazach: „kapral Wikcia“. Zatem Wikcia pozostała nadal tytularnym mężczyzną, a w ten sposób ranga kaprańska, choć tak mocno nadwyreżona, szwanku istotnego nie poniosła...

Wędrował tedy kapral Wiktor Mroczkowski wraz ze Szturmowym Batalionem, wypełniając sumiennie swój obowiązek żołnierski i biorąc udział we wszystkich bitwach batalionu. I przyznać trzeba, że kapral Wiktor był dzielnym żołnierzem. Miał jednak jeden grzech na sumieniu, który przed swoją zwierzchnością zataił: był — d e z e r t e r e m, dezenterem z tyłów na front — z Legii Kobiecej do Batalionu Szturmowego...

Tak ciężkie przewinienie musiało wywołać odpowiednie represje ze strony komendy Legii.

Postępek ten godził w całość i byt Legii, której groziło rozpłynięcie się w męskich szeregach, a w konsekwencji wielkie zamieszanie w statystycznych obliczeniach... Dopóki przeto kapral Wiktor siedział w batalionie, mógł drwić ze wszystkich kart dezercyjnych rozesłanych przez komendę Legii. Nikt w batalionie nie wiedział nic o dezercji Wikci Mroczkowskiej, ani też Legia nie wiedziała o przydziale kaprała Mroczkowskiego. Ale front czyni żołnierza zuchwałym, wyrabia w nim pewność siebie. I w tym wypadku zbytnia pewność siebie omal nie doprowadziła do zguby kaprała Mroczkowskiego...

W czasie chwilowego pobytu kaprała Mroczkowskiego we Lwowie przypomniał on sobie dawną swoją płęć i swój dawny przydział do Legii. A wraz z tym zaraz białogłowskie nawyknienia przyszły mu do głowy, więc nie namyślając się ruszył na plotki do Legii... Trzeba się przecie nagadać z dawnymi koleżankami no i... zaimponować szarżą uzyskaną wśród męskiego zespołu... Wszak to walory tak cenne, że tej pokusie nie mogła się oprzeć Wikcia udająca tylko, choć z powodzeniem, Wiktora...

Tak to kapral Wiktor poszedł za radą Wikci na plotki do Legii Kobiecej... Na dobitek złego opowieść, jaką o życiu frontowym snuł kapral Wiktor przed zasłuchanymi dawnymi koleżankami, była tak barwna, tak misternie ułożona i wykończona,

że legionistki porwane jego wymową zapragnęły same przeżyć tak piękną przygodę i nagle — w cichych koszarach Legii Kobiecej wybuchł bunt !

„Idziemy na front !” — „Precz z Legią Kobiecą !”.

Powstał tumult — słowa zamieniono na czyn. Szumnie a tłumnie ruszyły legionistki do kancelarii swej komendy domagając się zwolnienia, bo... chcą wstąpić do „Szturmowego”...

Więc bunt ! Bunt, który wymagał natychmiastowego wkroczenia władzy — władza zaś musiała sięgnąć po środki zaradcze, by groźną sytuację opanować i bunt stłumić w zarodku... Na stos ofiarny rzucono pierwszą buntu przyczynę; dezertera Wiktorię Mroczkowską zaaresztowano i stawiono za spełnioną zbrodnię przed sąd polowy...

Epilogiem była rozprawa sądowa... Aż cztery groźne, na broń nasadzone, bagnety przywiodły dezertera legionistkę Mroczkowską na salę rozpraw... Oskarżenie — zeznania świadków — odczytanie zaświadczenia służby frontowej, nominacji kapraleskiej i... wyrok uniewinniający.— Groźne bagnety zniknęły w pochwach. — Legionistka Wiktorja przedzierzga się znów w kaprała Wiktora, kaprała samodzielnego Lwowskiego Batalionu Szturmowego, batalionu co nie tylko z nazwy był szturmowym, lecz wszystkie szturmy

miasto oswobadzające wykonał i hen, ku wschodowi, gnał falę nieprzyjacielskiego zalewu...

W Legii ucichło. — Z pewnością po nocach śniły się legionistkom bitewne kurniawy — pewnie w marzeniach przeżywały wielkie przygody wojenne, ale w koszarach zapanowała cisza, cisza, nie mówiąca nic o tajnych serc pragnieniach...



172/38



13528/